

WYBOR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYŁANE TATKI)

SERY II.

T. 2.

OPRACOWANIE
KSIECIA WOJEWODY
WYDAWCA
Z PAPIERÓW FIO GLINCE

WYDAWCA

WYDAWCA

1902

Rigius 4000.
N 424.







WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom dwudziesty siódmy.



OSTATNIE CHWILE
KSIĘCIA WOJEWODY

(PANIE KOCHANKU).

Z PAPIERÓW PO GLINCE

SPISAL

J. I. KRASZEWSKI.



WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1884.



Доволено Цензурою.
Варшава, 15 Октября 1883 года



Sicut vita
Mors ita...

... Naszej ostatniej podróży z księciem Jegomo-
ścią, choćym sto lat żył nie zapomnę. A bo też to by-
ła droga, panie boże odpuść, krzyżowa. Księcia już
w tych czasach, bodaj od czasu jakieśmy do Berlina
i Wrocławia, do tych tam doktorów jeździli co nam
nic nie pomogli, ani było poznać. Okrutnie się nam
zmienił, sposepniał, zrudniał, stał się milczącym, po-
murnym, obojętnym na wszystko. Bywało siądzie
w krześle, ręce na brzuchu splecie, palcami nabrzękle-
mi kręci, głowę na piersi zwiesi, sapie i milczy.

Przyjdzie który z nas i chrząknie, ażeby dać
znać o sobie (bo już nie widział nic), to pozna każde-
go po głosie, podniesie czasem głowę: A co tam? —
spyta — i niedoczekawszy odpowiedzi, pograży się
w zadumie.

Myśmy to już aż nadto dobrze znali wszyscy,
że oddawna był niewidomy; ale się do tego nie przy-
znawał nigdy, chyba przed najponiższymi dla innych
udawał, że tylko niedowidzi.

W Nieswieżu. — panie miłośnieru! — wszystko
miał, czego tylko dusza zapragnąć mogła; ale go ja-
kiś niepokój opanował, iż w miejscu usiedzieć nie
mógł. Zachciało mu się jechać. Dokąd? do Białej —

Ostatnie chwila

Po co? sam podobno nieboraczysko nie wiedział... Ot, w miejscu mu było tęskno... aby się ruszać. — Lekarzowi powiedział, że chce do Najśw. Panny do Leśnej! Morawskiemu, że tam powietrze lepsze; mnie, że tam woda zdrowsza; księciu Hieronymowi, że w Białej sepecik z papierami zostawił, który sam odebrać musi, bo tam są najważniejsze papiery: ale bajki to były, jako żywo; w istocie niepokój go ogarniał przedśmiertny, nudził sobą wszędzie.

Wieczorem we Czwartek, jak dziś pamiętam, wyszła dyspozycja gotować się do podróży. Wyznaczyli i mnie, bo księżę czasem ze mną baraszkować lubił; więc pakuj co żywo na łeb na szyję węzełki. choć się nie chciało — a no, mus! kiedyś grzyb, leż w kosz! A tu drogi ośliźle, pora choć psy goń: nie nie pomoże: sic volo. sic jubeo. Jedziemy!

Ruszył przodem Stanowniczzy i kuchnie, poszły cugi na przeprzęgi; caluteńką noc zostawało się jak w kotle. bieganina ze wschodów na wschody, po dziedzińcach, po stajniach, z latarniami—bo nagle to przyszło i nikt się nie spodziewał. Doktor tylko ramionami rnszał. Pytał go siostrzeniec, pan pułkownik Morawski, czy nie zaszkodzi? — bąknął na to: Wszystko już jedno, nie zaszkodzi ani pomoże, niechaj już jedzie kiedy chce. Któż wie? powietrze zmieni, a może go to rozerwie.

Ale gdzie zaś! Na pierwszym noclegu, jak siadł zjadłszy, myśleliśmy, że się zdrzemie. Nie, ino się tak zadumał, zawinął w tych myślach, że ani słowa było dopytać.

Drugiego dnia, trochę nas pocieszył, bo wydawał się rzeźwiejszym i jadł lepiej. Wieczorem, na mnie przyszła kolej dyżurowania. Świece pozasłaniałem, pod piecem siadłem, czekam co Bóg da.

Chrząknął:—Jest tam który?

— Jestem mości Księżę.

— Tak ciemno, że wasana nie widzę.

Umyślnie światło przysłonięte. żeby WKs. Mość nie raziło.

Machnął ręką.

— Która godzina...?

Spojrzałem na cebulę—było po ósmej.

— Po ósmej mości Książę.

— Co tam na dworze?

— Słota, mości Książę.

— Co się tam z księżycem dzieje? bo zapomniałem. Nów czy co?

— Ostatnia kwadra.

Szepnął i zamilkł. Jam się i tem ucieszył com posłyszał, bo dawno już i tyle nie mówił.

— Jest tam jaka gazeta z Warszawy—zapytał.

— Po drodze żadnej nie odebraliśmy. ostatnią w Nieświeżu.

— A mówiłem żeby za mną kresy ślali: toć to Sej-mowy czas...

Znowu zamilkł i westchnął.

Tego wieczora więcej się już nie odzywał; się-gnął tylko ręką do różańca po Sierotce, który na stole leżał, i zaczął się modlić. Skończywszy modlitwy za-żądał do łóżka. Rozebraliśmy go tedy i nocny dyżur już kto inny trzymał.

Mówili, że spał dosyć dobrze, tylko przez sen kilka razy krzyknął. Bywało to i dawniej, bo jak sam powiadał, we śnie mu przychodziły przypomnienia róż-ne, to czasów młodości, to podróży za granicą, kiedy był na wygnaniu, to niebezpieczeństw różnych i przy-gód. Sam nieraz słyszałem, bywało. jak huknął:

— Wiara, do mnie! a wał go! a bij! a tłucz!

To znowu nieboszczyków nawoływał: Wołodko-wicza, którego bardzo kochał. Rejtanów, ba, i różne imiona kobiece, zaponmiane i nam nie znane, znać z czasów księcia Miecznika.

Nazajutrz po polewce rannej—karczma była ohy-dna ruszyliśmy dalej w drogę.

Słota jesienna jak na złość się uparła; choć koni cugowych osiem było najlepszych w kolebce, musieliśmy się wlec noga za nogą. Nie bez tego żeby w błocku i po tych naszych wertepach powóz się nie przechylał, choć go hajduki ciągle podtrzymywały a niekiedy. można powiedzieć, na plecach prawie niosły. Dawalo się to czuć księcin. stękał.

— Teraz bo i drogi, jak ludzie, w niwecz się popsuly—mrucał—nigdy takich nie bywało.

Wieczorem, tyłkośmy na plebanii stanęli, zaraz z księdzem się przywitawszy, do łóżka poszedł.

W łóżku jadł, pacierze leżąc mówił (na co dyspensę miał) i wkrótce się zdrzemnął. Sen był znown niespokojny.

Takeśmy dojechali, *mutatis mutandis*, a raczej dowlekliśmy się, do Sławatycz nad Bugiem. Smutniejszego nic w świecie nie znam, nad ten kąt dóbr książęcych; choć to nadbużny, sławny kraj—ale, Bogiem a prawdą. pustynia. odludzie. tylko lasy a lasy sosnowe a błoto kepiaste, albo piachy. Piaskubny tu stało na wszystkie kancelarje w świecie; ale niech Bóg nchowa, żeby ich tak wiele być miało. bo z tego pisania kancelaryjnego, obraza Bozka. krzywda ludzka i ogłupienie skrybentów.

Dwór na ekonomii stary. drewniany. zawczasu był oporzędzony. wyszorowany, wykadzony. tatarkiem wysypyany, pozawieszany i powyscielany jak można najlepiej.

Książę zajmował izbę ogromną, ciepłą. zaciszną. bośmy Stanowniczego mieli Bohuszewicza, który uniał z niczego pałac wystroić. Panie świeć nad jego duszą. bo mu się już zmarło. gdy to piszę.

Pochowali go w Slucku.

Książę dobiwszy się do Sławatycz, znużonym się uczul i zapowiedział. że kilka dni tu spocznie; choć niewiele mil było do Białej.

Bohuszewicz przodem pojechał na zamek, ażeby tam wszystko stało w pogotowiu; ale o tośmy oba-

wy nie mieli, chyba, żeby piece wcześniej poopalali dla swędu.

Z Białej tu, zawczasu, na przypadek, i zwierzy-
nę i co do kuchni było potrzeba zwieziono: nie zbywa-
ło na niczem.

Wieczorem zaraz Sławatyccy żydzi. z wielką
pompa, przyniesli na kuchnię szczupaka ogromnego
dwudziesto-funtowego. na drewnianym blacie karma-
zynową kitajką z galonem obszytym. i z cytryną w py-
sku, za co im książę kazał dać pięć dukatów, ale pono
ich nie wzięli.

Nie było nam tu tak bardzo źle, bo i piwnica się
znalazła zaopatrzona u Strzałkowskiego, który na eko-
nomii siedział — a dobrze mu się działo. Nie było ju-
ścić źle, ale wściekle nudno... A tu deszcz — dziur.
dziur—od rana do nocy.

Wzdychaliśmy do Białskiego zamku. już choćby
dla ciasnoty, bo cały dwór w domu się nie mógł pomie-
ścić; tuliliśmy się, jak się komu udało na przeciwku,
po szopach. po chatach. po karczmach, po żydowskich
izbach, a konie pod szalasami i w oborach, gdzie do
kostek gnoju było.

Któregoś wieczora, znowu dyżur przyszedł na
mnie.

Ledwie siadł. książę się odzywa:

- Jest tam który?
- Glinka. mości Książę.
- Która godzina?

Spojrzałem, było około dziewiątej. aleśmy wszy-
scy radzi byli, gdy się prędej na spoczynek położył.
wyciągnął się, zasnął a sił nabrał; myślałem że nie
zgrzeszę, gdy trochę zegarek posunę. Powiedziałem
mu że dziewiąta.

— Jakto teraz i ten czas leci — począł — dawniej,
panie kochanku, nieraz na raku jechał czy na ślima-
ku, a dziś sobie skrzydła przyprawił. Hm! a co na
dworze?

- Trochę się wyjaśnia.

— Z której strony?

Odpowiedź była trudna, ale ksiązę nie lubił gdy mu się kto niewiadomością składał, szczególnież co do pory i nieba; mawiał zawsze, że szlachcic jako żołnierz, powinien był dzień i noc wiedzieć co się na niebie dzieje, zkad wiatr wiał i jakie tam chodziły chmury. Palnałem na pamięć, że od zachodu, boć u nas wszystko prawie od zachodu idzie, i słońce i pogoda.

— A toby nie źle było—rzekł—ino ty Glinko, pewnie nie wiesz gdzie zachód w Sławatyczach? było się Łydów spytać, oni wszystko wiedzą.

— Ale wiem, mości ksiązę.

— Na zdrowie ci, panie kochanku.

Gdy to mówił, zauważyłem w głosie zmianę, silniejszy był ale jakby gorączkowy. Sapał też mocniej. Po chwili zapytał znowu.

— Co mówisz? nie słyszę!

— Nicem się nie odzywał, mości Ksiązę, szepnąłem cicho.

— Toś się pewnie zdrzemnął.

— Nie, mości Ksiązę.

— Bo to wy teraz, panie kochanku, wszyscy jesteście piecuchy i śpiochy; oczy wam od snu zarastają... he??

— Nic nie mówię, mości Ksiązę.

— A dla czegoż się nie bronis? panie kochanku — zapytał z półuśmiechem—co?

Sam nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć, aż mi na myśl przyszło rzec: że myśmy nie żołnierze, i że nas dobroć księcia popsuła.

— He! he!—zawołał—i z waści. Glinko, pochlebca!

W głosie czuć było jakąś siłę, której dawno w nim nie uważałem. Byłoby mnie to pocieszyło, ale mi się zdawało, że gorączkę miał; szczególnież, iż się to zawsze na wieczór zbierało, a wedle fizyków to znak nie dobry.

Westchnął, pięścią się uderzywszy w piersi.

— Czyby Finkego nie zawołać?—spytałem.

Finke jako doktor był z nami w podróży.

— A po jakiego licha? panie kochanku! — zamruczał. — Czy ty myślisz, że on więcej co wie jak ja i ty? Weźmie za puls, potrzyma, języka sobie każe pokazać, głowę pokiwa, powie, że wszystko dobrze — byle pieniądze wziął. Co te doktory, co te doktory, panie kochanku: choćby i ten Trales, co go trzeba było na wagę złota kupować, a osioł panie kochanku, niemiec, słowa nawet po polsku nie umie. jakże on polską chorobę leczyć może?

— Czy Księciu mówienie siła nie zaszkodzi pod noc? — zrobiłem uwagę.

— Cóż to i ty doktorem zostałeś? — obruszył się — a tobie co do tego? He! drzemaćbyś chciał pod piecem.

— Ale nie, mości Książę, z troskliwości.

— Patrzajcie go, jaki gorliwy. Milczałbyś, panie kochanku.

Westchnął, podparł się na kulaku i zmilczał sam.

Wpatrzyłem się w niego, oczy miał otwarte, ale jak mgłą zasłonięte, nieruchome, choć na twarzy jakiegoś życie grało.

— Spisz, Glinka? — zapytał po chwili.

— Nie mości Książę, mnie się wcale na sen nie zbiera; w drodze się dosyć drzemało na zapas, choćby całą noc siedzieć, to mi nic.

— Tak, gdyby kto z tobą choć w družbart grał, albo panna Marcjanna słodkie oczy robiła do waszeci, to wierzę... na senby ci się nie zbierało, panie kochanku; ale słuchać jak w starym garnku klekocze, pono nie weselej jak gdy deszcz dziurgiem z rynny bieży...

Uśmiechnąłem się.

— Zobacznno, która tam?

Było po dziewiątej, ale raz skłamawszy, musiałem już zegarek wyprzedzać.

— Pół do dziesiątej, mości Książę.

— Onoby to spać isć wypadało, bo mówią że sen przed północą najposilniejszy — zamruczał. — Ale łgą... i spać mi się nie chce. Który dziś dzień?

— Środa.

— A no, prawda, post! szczupak był po żydowsku. Nie przyjechał tam kto z Białej, panie kochanku?

— Tylko Tryzna przed wieczorem.

— A co mi po Tryźniel

Zaczął coś szeptać do siebie.

Znać posłyszawszy z sieni naszą rozmowę Finke wszedł, drzwi lekko skrzypnęły — poznał go zaraz po chodzie.

— Ty, Eskulapie jakiś — odezwał się — pewnie mnie chcesz do łóżka jnąć pędzić. Otóż nie! Gdy się położę, to mnie zaraz w piersiach dusi. Idź sobie z Panem Bogiem, będę siedział, aż się zdrzemie.

Finke podszedł tymczasem i za puls go wzięwszy, trzymał. Księżę choć nic nie widział, z nałogu nań oczy obrócił.

— Księżebym się może limonady napił? — zapytał.

— Kiedy ty do niej saletrę sypiesz — oburzył się wojewoda. — To, rzecz, panie kochanku, niebezpieczna. Mnie gorączka spaliła na węgiel, do węgla saletry dodawszy, proch będzie. Od lada świecy, panie kochanku, eksplozja może być i Radziwiłł w górę wyłeci. Jeszcze tego nie bywało.

Finke się głośno reześniał, a jam mu wtorował.

— Dobrze się tobie śmiać — podchwycił Księżę. jak był dawniej nawykł, z wielką serją — znałem takiego hiszpana, któremu brzuch z tej przyczyny pękł, ledwie mu go potem zaszyto. Część kiszki stracił nieborak, i cokolwiek jadł po cztery tygodnie trawić musiał.

Zdziwił się Finke, a cieszyłem się ja, że Księżę po staremu począł koncepta swoje prawić, dawno bowiem tego nie bywało. ałem uważał, że doktorowi twarz pochmurniała. Podał limonadę.

— Limonada bez saletry, mości księżu.

— No to daj aby się odczepić! — napił się dosyć chciwie. i oddając szklanekę rzekł:

— Jednakże, Glinka. świecę odemnie trzymaj zdaleka. Finke bez saletry nie stąpi. musi łaciny namieszać.

Doktor odszedł na kilka kroków.

— Idź spać, Eskulapie, panie kochanku — dodał książę — tylko nie chodź do Ekonomowej, proszę cię, żebym potem z twojej przyczyny procesu nie miał.

— Ale. proszę Księcia Mości — odparł Finke — ekonomowa Strzałkowska ma pięćdziesiąt lat.

— Tak ci się zdaje. panie kochanku — westchnął książę — ja ją pamiętam gdy miała osiemnaście. jużci tak prędko postarzeć nie mogła. Oni na wsiach. panie kochanku, powoli żyją. W dzień zresztą będzie wyglądała na pięćdziesiąt, a wieczorem na dwadzieścia. I to się praktykuje.

Finke ramionami ruszał.

W. Ks. Mości, po fatygującej podróży wczesnyby się sen należał — dodał — przed północą sen najposilniejszy.

— Słyszałem — rzekł książę — to nie nowina. Idźże się nim posilaj. a mnie się nie chce. Wy się tego od kur nauczyliście. a co kura to nie człowiek... Daj mi z tym Morfeuszem pokój. Dobranoc ci! Glinka — dodał zwracając się ku mnie — prosz pana doktora za drzwi, panie kochanku.

Finke kwasny wyszedł, jam go przeprowadził do progu.

— Książę ma trochę gorączki — szepnął mi — gdyby pić chciał, limonada przygotowana. Nie dawaj mu się zbytnio rozgadywać, bo się ze snu wybije.

Ledwie się drzwi zamknęły. Książę zapytał.

— Poszedł szołdra?

— Tak jest mości Książę.

— Siadajże i nie śpij, a słuchaj. bo mi się chce gadać. Jużciż powinienem mieć kogoś. żeby mnie słuchał.

Pomimo tej obietnicy zamilkł natychmiast; zmienił tylko rękę, sparł się na drugiej i mruczał coś niewyraźnie. Trwało to ze ćwierć godziny. Wtem kury,

nie wiem czem, zdala gdzieś spłoszone, bez pory piąć zaczęły na trwogę.

— He? cóż to takiego jest? kury już pieją? — zawołał jak przebudzony. Zobaczno godzinę, co im się znowu przysniło? Powiedzieć jutro Strzałkowskiej, żeby mi tych buntowników w pień wycięto. Przeciwno prawu Bożemu pieją mi przed północą!! A wara, panie kochanku! Cóż to mi za gatunek kur znowu, co sobie pozwalają piąć przed terminem? Cóż na to djabli powiedzą? djabłów też sobie narażać nie potrzeba. Glinka! nie śpisz? — dorzucił.

— Nie, mości Książę.

— To ci się chwali. A świece gdzie, panie kochanku.

— Za parawanem, mości Książę.

Poncierajże im nosy, bo pewnie na nich grzyby narosły. Tylko nie palcami.

Rozśmiałem się.

— Są przecież szczypce, mości Książę, i to nawet srebrne — rzekłem idąc za parawanik.

— A cóż to ty myślałeś, że n Radziwiłła żelazne być mają albo mosiężne? Jeszcze na szczypce nas stało, choć wyssali nas dużo. Ale póty szczypców, póty mnie. . . oni to wszystko przetopią i potopią.

Począł się w piersi bić i wzdychać ciężko; milczał już, lecz słyszałem oddech stłumiony, przyspieszony i jakby jęk strzymywany, któremu się dobyć *ex pectore* nie dozwalał.

— Książę może limonady? — spytałem.

Ręką mi dał znak, że niechce.

Po chwili, nagle podniósł głowę i wyprostował, jakby coś zobaczył przed sobą. Dłonią się niby od światła zaslonił i cicho szepnął trwożliwie.

— Glinka, kto tam stoi?

— Nie ma nikogo oprócz mnie, mości Książę — rzekłem żywo.

— Ty bo oczów nie masz, panie kochanku! — za-

mruczał i zamilkł opadłszy na krzesło, ale ciągle się w jedno miejsce wpatrywał.

Nierychło potem, dziwnym głosem jakimś począł, jakby do kogoś niewidzialnego dla mnie.

— Znam cię, znam! takim jesteś jak na obrazie w Nieswieżu, ale czegoż chcesz? Czy już wybiła godzina? Nie. Jeszcze mi trzeba o jedno przebaczenie prosić, tego mi nie dano. . .

Czyś przyszedł słuchać rachunku sumienia?

Cóż to jest? więcej was. . . dwóch, trzech! Czar-ny także, Lizdejko. . . Rndy. . . Bogusław, Mikołaj; co was tu przyszło! . . . ale godzina moja nie wybiła jeszcze. Obiecałem się przystawić do Białej — i musi też tu przyjść ta, przeciw której zawiniłem. Pan Bóg ją zesle. Katembrink mi to obiecał. . . kury piałły przez głupotę. Chciałbym pożyć jeszcze, póki te sto tysięcy nie staną, które sejm wotował. . .

Cóż wy głowami kiwacie? myślicie może iż sejm darmo głosował i że z tego nie będzie nic?

Strach mnie przejął słysząc ten głos i chciałem przerwać mu. Zbliżyłem się pokaszlując, a nogami szastając.

— Mości Księżę, nikogo niema.

Rozgniewany ręką rzucił, jakby odpychał, i głośno zawołał do mnie.

— Milczeć, panie kochanku. . .

Ślepy chyba jesteś. Oto Lizdejko stoi, arcykapłan, siwa broda po kolana, w ręku pasterał, na głowie infuła. Pokłonił mu się. . .

W głosie jakby łzy czuć było, począł się w pier-si bić.

Me a culpa! me a culpa! Choć Radziwiłł, alem człowiek i grzeszny. Przyszło mi się rodzić na ciężkie czasy. . . Prawda, ślepy byłem często, panie kochanku, arcykapłanie, za to też mnie Pan Bóg na dni ostatnie ukarał ślepotą, gdy najwięcej na światby się patrzeć chciało. Ślepym był, alem drogi szukał, a ludzie nie poczciwi wskazywali mi ją bałamutnie.

Zbawienia kraju pragnąłem zawsze, któż mógł wiedzieć, w kim ono i gdzie było.

Jęknął boleśnie, a mnie na głowie włosy się jeżyły i ciarki chodziły po skórze.

— Radomska, tak, ślepym był; prawda... ale co mnie barska kosztowała!... Com ja winien? król ekonomczuk, ale pomazaniec boży, panie kochanku. W piśmie Świętym stoi, że i od bydła brał Bóg pastuchów na królów. Co on temu winien? On się na tancmistrza rodził, a jemu królem być przyszło...

Nie patrzajcie tak na mnie! Było wam nie za Jagiełłów i Zygmunatów a za Ekonomczuka się urodzić, chodzilibyście jak ja z zawiązanymi oczyma po tym labiryncie. Gdzie się człowiek obrócił, przepaście...

Złotem Radziwiłłowskiem nie było ich zasypać, ani łzami Radziwiłłowskiemi nie zalać...

Pułk dałem rzeczypospolitej i działa, niech choć te wezmą co są w Nieświeżu.

Zamilkł, a po chwilce mówił znowu.

— Król JMé pruski, kuzyn prawda, ale ja żadnemu Niemcowi nie wierzę. Polityk wielki, udaje że nas bardzo kocha. Gdzieby zaś mógł miłować owce ten, co jej boki powygryzał! Człowiek gładki i grzeczny, ananasami mnie chciał karmić we Wrocławiu, ale ja wolę polskie ogórki kwaśne, niż pruskie ananasy...

Przyłożył rękę drzącą do czoła i patrzył, majacząc ciągle.

— Wołodkowicz! a co ty tam robisz za niemi w lisiej kurtce? czy na polowanie do Nalibok? po coś poszedł? po mnie? Nie mogę, przyjacielu, panie kochanku, jakem pocziw nie mogę. Ty to najlepiej wiesz... o d niej nie mam przebaczenia, a bez niego na sąd stanąć nie mogę. Kury te, co dla mnie śpiewać mają, nie piałły jeszcze... Czekaj kochanie! Już nie długo.

Opadła mu głowa po tym wysiłku, a jam słuchając drżał, bo i mnie z tego wrażenia przyśniwały się

w mroku cienie jakieś. Najwięcej mnie to nderżyło. iż dwa razy wspomniał o przebaczeniu. którego o d niej potrzebował. Łamałem sobie głowę nad tem, od kogo? bom książęce życie, na dworze się wychowawszy, znał dobrze, de visu et auditu, a na myśl mi nie mogło przyjść. o kim mowa być miała.

W tem jak krzyknie: Glinka! śpisz? — ażem się rzucił.

— Ale nie, mości Książę!

— Widziałeś ty ich?

— Nikogo nie było.

— Tak! dla ciebie ich nie ma, ale dla mnie są. Tys ich oblicza oglądać nie godzien; nie do ciebie oni przychodzili i dla twoich oczu są zakryci. . .

— A ja widziałeś? — dodał. Taka piękna jak i była, taka dumna i taka nieubłagana! Nie przebaczyła mi, panie kochanku! nie! czekać muszę i dusza nie wyjdzie z ciała. aż ona mnie rozgrzeszy.

Począł wdychać. Zdawało mi się. że łzy mu pobiegły po twarzy. Nie wiedziałem co począć: doktor zakazał, aby nie mówił wiele, a przerwać mu było nie podobna. Gdy się nieco zaciął. myślałem, że się na tem skończy i podałem mu szklanę z limonadą.

Dotknąwszy się jej ręką, cofnął ją.

— Co to jest? trucizny mi chcesz dać?

— Limonada, mości Książę.

Ruszył lekko ramionami i zdał się powracać do przytomności.

— A tak! zeszło na klejek owsiany i na limonadkę, na łacińską kuchnię i na włoską piwnicę księciu Wojewodzie, kto to słyszał! To dla bab. Gdyby mi dali starego węgrzyna, zarazbym się uczuł lepiej. ale doktor sam go wypić woli. Limonady tylko włosi używają. a to są sodomici; daj ty mi pokój z limonadą i pójdz precz pod piec.

Cofnąłem się posłuszny, a przez chwilę pewien byłem. iż mu się na sen zbierało. Oparty na rękę z oczyma zamkniętymi spoczywał, ciężki tylko oddech

słyszeć było. Wtem znów szmer doszedł mych uszu. Księżę po cichu mówił sam do siebie; zrazu było to tylko mruczenie spieszne, niewyraźne. lecz powoli mowa coraz się dobitniejszą stawała.

— Znowuscie przyszl! Skruchy żądacie! Winienem, winienem, winna moja, wielka winna, przedziadowie, ojcowie, pobożny biskupie Jałmużniku, i ty Jerzy, purpuracie rzymski, świętobliwy panie, i ty księżę Kanclerzu i wy wszyscy, coście mnie na świecie poprzedzili, *me a culpa!* Spowiadam się przed wami... życie było grzeszne, ale mi się panie kochanku, urodził pod słońcą... po błocie iść a nie zawalać się, to chyba anielska rzecz; jam skrzydeł nie miał i brnąłem po kostki, *Me a culpa!* Miecznik najwięcej nagrzeszył a Wojewoda długo za niego pokutował. Na świecie odbyłem ciężką za grzechy karę...

Zapłaciłem za wszystko z nawiązką: groszem. krwią, łzami, tułactwem, biedą. panie kochanku. Wszak po barskiej dosyćżem na tragedję patrzył co nas rozewiartowała, a tego mi nie liczycie? Radziwiłł musiał się potem kłaniać ekonomczukowi i w rękę go całować, panie kochanku, a Czartoryskich do piersi przyciskać! Co roku potem szły klęski i upokorzenia. W porę oślepelem. aby nie patrzeć na resztę, panie kochanku...

Robiłem co mogłem! W Albie mi morza nie dali dokończyć; teraz wyschnie i winny w nim, piskorze będą mieszkali. Z pułkiem też nie wiem co się stanie... Kto wie co z samemi Radziwiłłami? Już to bieda gdy pień uschnie a od korzeni puszcza odrośnie. bo te zawsze karłowate, panie kochanku...

W Naliborskiej puszczy z niedźwiedzi zejdzie na krety. Kto wie co z Hieronimowskiego bębna wyrosnie... Mnie Wiśniowiecka rodziła, a jego jakaś Taxica... inna krew... Jam niedźwiedzie do karety zaprzęgał. on chyba kozy do wózka dobierze... może osły? Wnuki ~~godne~~ chodzić piechotą, panie kochanku.

Zakrył oczy i płakać zaczął po cichu.

— Kardynałowie. biskupi. wojewodowie. kanclerze, ndzielne książęta, krew królewska w żyłach, na tronach siadaliśmy... a jutro może sługi tych, co się nam kłaniali i brali od nas jałmużnę, a pojutrze prochu garsć. którą rozwieją wiatry i pamięć nawet zaginie.

Drżałem słuchając, ale mi nie też tej spowiedzi i lamentów ciekawość brała grzeszna, żem ani mu przeszkadzał, ani wołać chciał kogo. Milczał chwilę spoczywając, a niekiedy jakby zachłystując się płaczem.

Miserere mei Deus, miserere mei, quia derelinquisti me!

W tem, jakby się nad nim i jego cierpieniem Bóg ulitował, sen mu spadł na powieki. począł spać i sapać straszliwie. Ani się go budzić godziło, ani odejść; czekałem więc, ażeby się sam ocknął i do łóżka iść zażądał. W tem, owo chrapanie, które niemal na cały dom słychać było. zmieniło się w śmiech. Śmiał się przez sen tak, jak był zwykł dawniej, gdy na dobry figiel patrzył, lub sam co trefnego powiedział.

Ten śmiech ze snu go wyprowadził; lecz nie oprzytomniał, gorączka owszem coraz się zdawała silniejszą.

— Hej tam na górze. kapela... od ucha mi grać, panie kochanku... i trąbom gęby nie żałować... Srebrną beczkę ze skarbcza wytoczyć, tygrysią nakryć ją skórą. Co mi szkodzą karmazynowe hajdawery, mogę w nich beczkę jako Bachusa okraczyć, hajdncy niech ciągną na sale... albo zaprzadz do niej niedźwiedzie. to baby potruchleją... Przodem Bachantki we kwiatkach, albo boso i bez ceremonii, panie kochanku. Co mi tam!! Radziwiłłem się urodziłem... Znaj Litwo Radziwiłła! Kto mi w drogę wlezie, łeb zetnę i zapłacę. Mniejszej gawiedzi po sto bizunów, bizun po dukacie! panie kochanku! Żyda szelmę powiesić na wieprzowej kiszce, a nie, to go w robotę sadłem smarować... Hulaj dusza! Wołodkowicz kochanie, Rejtanie, duszko moja, podajcie mi ręce... ot tak! Trąć-

my się... a kto nie wypije! tego w cztery kije... panie kochanku...

Poniatowszczuka precz zmiecemos z tronu, tron po nim opaskudzony wyszorować. Dać mu dwieście złotych, niech na folwarku pisarzuję, bo rękę ma dobrą, gryzmoli niczego...

W Albie port uczynimy. panie kochanku... Turcy tu będą po świninę przyjeżdżać a Hiszpanie po dziegieć, którego w domu nie mają... Przywiożę nam fig dla szlachty, a pomarańcz dla panów senatorów... i różków dla dzieci... Kurdesz nad Kurdeszami!...

Czemu nie gra muzyka, panie kochanku, struny im popękały czy ręce? Światła pogasły... Noc, a ja boso... panie kochanku... Kto żyw ratuj! gdzie cholewy moje? Co to? Eperiesz? Wenecya? Nic nie widzę...

Niech mi zaraz Trales zasłonę z oczów ściągnie... albo, albo... dam mu miasteczko i wsi dzieśięć dożywociem... mało? dodać cegłę złotą i jednego apostoła... ale Judasza... niech zna Radziwiłła... Jak mu się nie uda... ściąć szołdrę na rynku... panie kochanku.

W tem, gdym już sądził, że koniec temu straszliwemu dyalogowi z losem, głos się odmienił.

— Zchodzę bezpotomny! Tyś temu winna, ty... cos mnie przekłęła! Za ciebiem się męczył życie całe, i umrzeć spokojnie nie mogę... Prosiłem na klęczkach... nie chciałaś przebaczyć, a gdym winę popełnił... przy zmysłach nie byłem. Felisiu... serce moje... przez cie gine.

Zaszłochał, przebudził się i jak przestraszony krzyknął:

— Jest tam który? hola!

— Glinka, Mości Książę.

— Co to jest? która godzina? — począł żywo? — może ja co przez sen mówiłem? Wody mi daj! pić się

chce, we wnętrznościach mnie pali. . . Godzina? która godzina?

Nie było jeszcze północy, alem się odezwał bez rozmysłu.

— Pierwsze knury ino niesłychać jak zapieją.

A cóżes to im dał komenderówkę? — zawolał. — Zkądże wiesz, że zapieją? Jak można wiedzieć kiedy kobieta zdradzi. a kur zapieje?

Wziął szklankę i limonady pociągnął. ale po niej splunął.

Gorzka jak żółć, dejweldrekn do niej niemiec namieszał, tfu!

— Księciu dawno czas do łóżka! — rzekłem.

— He? to ty mnie coś tak jak kogntom chcesz rozkazywać? Ale dajże ty mi z tem łóżkiem święty pokój! Chybaby chciał umorzyć Księcia Wojewodę za to, że ci spać nie daje i dokuczył. . . Mnie się jeszcze żyć chce. a w łóżku dusi i pod ścianką śmierć zaczeka jona siedzi.

Tu się macnął po kieszeni jakby pieniędzy szukał, a nie znalazłszy nic. westchnął.

— Groch przy daszy u Radziwiłła nie ma, wymolili wszystko... a co cyrografów napodpisz? kazali... tylko jeden Bóg, wielki drugi niegodziły pędomocny.

I znowu do siebie przemówił:

— Nepta zdecydła bez otomnie jak ja! . . . Księdz Katembryn na prośbę nie koniecznie, Wołodyjowa robaki iedze... wzywa moi dawni towarzysze i przyjaciela pią w trumniech... nie dru i bel ja si, przewróciła, a ja przez te opieszale Feli, która z rozczepieniem nie przychodzi, czuwa na moim grzechy, aż póki po ścianie upadku nie uderzy w moździerze na rezurekcyę i tryumf... Noweż mi przyleci anioł. i jako Tobie szewi oczy mi potrzeba... radość i szczęście patrzył. . . Ten z lewej był stopni.

Znac głos księżycowy brzmiał w niekiedy domoim. . . musiał w sieni śpiących i po drucich izbach szwaja-

ć w ciemnościach.

cych zaniepokoić, skrzypnęły bowiem drzwi po cichu i wszedł stary Wiśniowski, szlachcic, którego Książę lubił, bo był przy nim dworzaninem od młodych lat i przebywał z nim wszystkie ntrapienia, niedole i tułactwa, krokiem go nie odstępując. Wiśniowski miał się już dobrze, wioskę knpił na dziedzictwo, zastawą trzymał dwie, ale trwał na usługach, raczej przez miłość dla starego pana niż dla zysku.

Wszedł tedy, w płóciennych spodniach i kożusku, jak z łóżka się zerwał, stanął w progu. ręce powkładawszy w kieszenie, począł się rozpatrywać do koła. Książę jakby poczuł, że ktoś jest więcej, podniósł głowę.

— Wiśniowski? — zapytał.

— Sługa W. K. Mosci.

— Ja ciebie zawsze węchem poznam, koński potchnąć od waszeci, ale ja go lubię. Czemuż ty stary nie śpisz?

— No, ja to ja, ale dla czego Książę Wojewoda nie idzie do łóżka?

— Powiem ci Wiśniosiu prawdę. ja się łóżka boję. umierać mi się nie chce.

— E! e! Co bo o tem myśleć i mówić! — rzekł spokojnie stary — Książę sam masz w sobie wigoru dosyć. będziesz zdrow. i wzrok n endownego obrazu odzyszczesz. i zapolujemy jeszcze na niedźwiedzie.

— Tere fere kukn! strzela baba z łuku! Zapolujemy! Dobryś! tak, tak, ze świętym Hubertem razem, w tym lasku, w którym się Absalon obwiesił! — zawołał wojewoda. — Ty stary mój też już w piętkę gonisz. Ja już i pchły nie upoluję. Mówisz. o endownej wodzie czy coś. . . jakby to Bogn wody było trzeba, żeby cnd zrobić. gdyby chciał. . . panie kochanku; ale woli jego nie ma, Radziwiłł mn dojadł, pluje na niego!

W mowie cnd było gorączkę i nieprzytomność chwilami. Stęknął i rzekł:

— Pamiętasz Wiśniosiu to polowanie?

— Które, Mosci Książę, małoż ich było?

— Jak? które? — począł — żywo — jedno tylko w życiu takie było. Oblawa z delfinami na morskie cieleta... Wypłynęliśmy szczęśliwie na Adryatyk około Gdańska i jużśmy mieli rozpocząć, gdy syreny się nkazały... Podstolanka, dwie cześniówne i ta śliczna Felisia... i Baska, którą później Sapięha ukradł i uwodził na półgęsek.

— Nic nie pamiętam Mości Książę...

— Jakto nie pamiętasz? Toś już ostatek pamięci stracił, panie kochanku... Wszak ci to wówczas hajdukom kazawszy przytrzymać królowę morza, gwałtem się z nią zaręczyłem... Wzięła to na seryo... dla tego, panie kochanku, z żadną żoną później wyżyć nie mógł, i schodzę bezpotomny... Bezpotomny! — westchnął i dodał poważnie:

— Jak tobie się zdaje Wiśniosiu? co będzie z tego malca?

— Z którego Mości Książę?

— A z Dominiczka? Złe mu imię dali — westchnął Książę — nie było pono żadnego Radziwiłła D o m i n i k a, bo wszyscy byli całą gębą D o m i n i. Już to zły o m e n, bo na nim ród zmaleje jak imię.

I mówił jakby do siebie:

— Głowy się im pozawracają: roztrwonią Radziwiłłowszczyznę, rozlezie się to, rozproszy, zczęźnie. Będą w końcu chodzili po jałmużnie z herbem na tobołach... Dobrze, że tamci w trumnach, te Krzysztofy. Stanisławy, Mikołaje, Albrechty, Jerzowie. Moje oczy po za grób widzą choć ślepe... Czarno tam będzie. czarno... W Nieświeżu puszczyki i sowy koncerta dla wróbli odprawiają. H u l a v i m n s, Wiśniosin, zapusty się skończyły. popielec i post, śledź w prnskim mundurze jedzie.

W tem słysząc rozchwor, nadszedł i siostrzeniec Wojewody, pólkownik Morawski.

— Cóż to wujaszek nie śpi, wszak to północ? jakże zdrowym można być?

Jak winowajca pochwycony na uczynku, zmilczał

Książę głowę spuściwszy, potem głosem spokojnym, zmienionym, po cichu, prosząc się żałośliwie, rzekł:

— Ale, panie kochanku, nie pędźcie mnie do łóżka, bo mnie do grobu wpędzicie! Niby to w krzeselku spać nie można, kiedy się komu chce? Ja, panie kochanku, na koniu w pochodzie sypiałem siedząc, jak dziś na najlepszem łóżku nie potrafię.

I odwrócił się. Morawski stał patrząc nań, sam nie wiedział co czynić. W tem na folwarku pierwsze kury piał poczęły. Zerwał się naprzód jeden i krzyknął:—kukuryku! — za nim ciekim głosem jakiś student zaprobował też sobie, a wnet trzeci, aż ich tam kilkanaście wrzeszczeć zaczęło.

— Otóż i kury pieją — odezwał się — chwała Bogu i dwie wkrótce zapewne będzie... Ale po co kogutów tyle? Strzałkowska chyba, żeby zgorszenia nie było, trzyma po jednym do każdej kury...

Wiśniowski mimowolnie prychnął.

— To pewnie Glinka drwinki sobie stroi. — dodał Książę — dam ja ci, bezbożniku, libertynie, żartować z kogucich małżeństw.

Jam się nie odezwał.

— Możeby Finke co na sen poradził? — wtrącił pan Morawski.

— A tak—odezwał się Książę — na sen, zwłaszcza wiekuisty, oni mają doskonałe recepty. O to nie trudno. Ale ja mam jeszcze w Białej co do czynienia; poczekajcie, co wam tak pilno?

Nie było sposobu; obstąpiliśmy chorego, ale ani do łóżka, ani do snu nie podobna go było zmusić. Już się nawet na wesołość silił, ażeby nasze natręctwo rozbroić. Żał nam go było, aż Finke, który też nadszedł, powiedział, by go nie drażnić i własnej zostawić woli, tak się też stało. Po chwili Morawski w rękę go pocałowawszy, i dobranoc oddawszy, poszedł; rozeszli się i inni; Wiśniowski ze mną pod piecem usiadł i zaczęliśmy drzemać dnetem. Książę też w krzesle zasnął mocno, kiedy niekiedy przez sen kawałkami od-

mawiając łacińską litanie loretańską. I—dziwna rzecz—choć między jedną a drugą inwokacją więcej niekiedy kwadransa czasu upływało, a sen ją przedzierał, szły po sobie w doskonałym porządku, iż żadnej nie opuścił.

W końcuśmy się wszyscy pospali jak bobaki, aż gdy dobrze rozedniało, dopiero rozespanego Wojewodę, w kilku wzięwszy na ręce, zanieśliśmy do łóżka, i jak padł, tak się do godziny dziesiątej z rana nie obudził.

Nazajutrz dzień był słotny. mieliśmy niby to jechać do Białej, ale i za późno już było i deszcz prażył taki, że nikt ochoty nie miał, aby mu za kołnierz ciepło. Mnie ciągle w głowie stała ta jakaś Felisia, o której Księżę mającąc kilka razy wspominał, a razem o jakimś przekleństwie i o przebaczeniu.

Chociaż z późniejszych lat znałem doskonale Nieswiezkie dzieje, domyślałem się, że to coś być musiało jeszcze z hulaszczych czasów pana Miecznika, kiedy mnie tam nie było. Postanowiłem tedy, korzystając ze słotnego dnia, wziąć na spytki starego Wiśniowskiego. Ten, byłem pewny, że wiedzieć o wszystkim musiał. Inż i to mnie podzegało, że nie śmiało nie mówić o owej Felisi, gdy o innych chodziło historii siła, a mimo to Księżę o niej sam ciągle wspominał, jakby miał ją na sumieniu, mimo lat ubiegłych ciężaru tego pozbyć się nie mogąc. Nie lada więc historia być musiała, o której wojewoda na starość jeszcze pamiętał, a ludzie o niej gadać nie śmieli.

Wiśniowski jeden owe czasy zapamiętał; do kogoż, jeśli nie do niego, jak w dym? Grzeszna to pewno ciekawość była, alem zawsze co się tyczyło Radziwiłłowskiego domu i samej osoby księżęcej jak mrówka zbierał, aby to dla potomności zapisać, która i uwierzyć nie zechce, co się to za naszych dzieła czasów. Ponieważśmy przez cały ten Boży dzień siedzieć musieli, patrząc przeze drzwi na deszcz i poziewając na wyprzodki, uczepiłem się starego.

— Mój Łowczy dobrodzieju (tytułowano go bowiem

jakiemś łowiectwem), co to jest za jedna ta Felisia, o której Książę w nocy przez sen wspominał?...

Wiśniowski na mnie popatrzał z uwagą. oczy wyrapiwszy, ramionami rzucił, cznaprynę potarł. głowę pokiwał, i słowa nie mówiąc odszedł, jakby się tylko dziwił, że mn takie zadał pytanie.

To, przyznam się. mocniej mnie jeszcze zaciekało. Cóż u licha? żebym z próżnem wiadrem odszedł od studni? jak żak? Czekajże. pomyślałem, est modus in rebus, wiem jak cię zażyć. poprobujemy. Wiedziałem, że Wiśniowski byś jak kołowrotek stary. co to go z początku ani rozruszać; ale gdy się rozejdzie. trąkocze. że go znowu zatrzymać trudno. I to wiedział z doświadczenia. iż na czezo milczący był. a po obiedzie otworzysty; że po winie dopiero nsta mn się chętnie odmykały.

Jadaliśmy wszyscy ogółem w sieni. bo ta była najprzestronniejsza. ale nie wykwinie, jak w drodze i na popasie, z pozwoleniem. nie jak Radziwiłłowscy słndzy, ale jak ostatnie cinry. Stół był składany z dwojga drzwi, bodaj od stodoły wziętych i na czterech beczkach próżnych od piwa ustawiony. Na to kładli obrusów kilka. bo Strzałkowska tak wielkiego jednego nie miała. anibym przysiągł, żeby się na ten raz prześcierałem z podwójnego łoża małżeńskiego nie posługiwała. Musieliśmy jeść cicho i sprawiać się jak w kościele, bo tnż był i pokój Księcia.

Więc przed obiadem zaopatrzyłem się u pana piwniczego, dawszy dukata, w kilka butelek wytrawnego węgrzyna, i chłopcu kazałem oczyścić izdebkę na tyłach osobną, prawda, że zimną. Bylibyśmy w niej na kominie ognia naniecili, ale ktoś babę tak zapchnął głęboko i mocno, iż nikt jej dobyć nie mógł. Mimo to, okna pozatykawszy było znośnie, a byliśmy sami tylko. Chłopak znalazł co potrzeba, aby izbę uczynić mieszkalną. stół z jakichś drzwi i ławeczki; postarał się o wszystko, bo był żwawy i roztropny jak rzadko. Prawda, że później źle wyszedł z tym za

wielkim na swój stan rozumem. bo mi część gardero-by zabrawszy. parę pistoletów i przeszło sto talarów. drapnął do Prus, a tam go do wojska postrzyżono. i królowi pruskiemu karabin nosić musiał.

Nie tyle mi chłopca wartogłowa żał było, co tych pistoletów i jednego pasa, com go miał od Księcia na pamiątkę.

Chłopak się wcześniej z kuchtami porozumiał, aby było co jeść. Nigdyśmy my u Księcia stołu wykwintnego nie mieli, bo i sam Wojewoda w zamorskich się przysmakach nie kochał. ale zdrowo, smaczno i dostatnio nas karmiono, równie w świętki jak piątki, w drodze i w domu. Było czem życie utrzymać. ale gęby pieścić nie myslano. Dla gości też Książę nie występował. chyba od wielkiego dzwonu, gdy zamorski ptak się zjawił. Zrazy, bigos, pieczeń huzarska, sztnkamięsa kawał z kwiatkiem. kołduny z majerankiem, zwierzyna z rożna. ryba po polsku na różny sposób przyprawna. to były zwykłe książęcego stołu potrawy. Piwa dawano ile kto chciał. wino w powszednie dni kieliszkami i pod miarą. I tego dnia mieliśmy barszcz zabielały, pieczeń sarnią, zrazy, bigos i kaszkę sypką z cukrem. a było bardzo dosyć. Wegrzyna dano lekkiego: nie gardząc nim, postarałem się o lepszy, którego kilka butelek pod stołkiem moim stało i pod ręką.

Wiśniowski zrazu milczał, gadaliśmy o rzeczach obojętnych. czekałem, ażeby się stary rozgrzał. rozruszał. rozdobruchał. Jakoż przy końcu drugiej butelczyny. widząc go w dobrem usposobieniu. począłem:

„Jużci mnie macie za wiernego sługę Radziwiłłowskiego, że pana miłościwego i domu nie zdradzę. żebyście też moją ciekawość zaspokoić chcieli. co to jest za Felisia. o której Książę wspominał, a ja o niej nie wiem nic?

— A po co to tobie wiedzieć? — zapytał Wiśniowski — po co? a ciekawość pierwszy gradus do piekła.

— Mówię mu: — Panie Łowczy jeżeli to istotnie gradus do piekła, to ja już na nim dawno stoję. Takim mnie matka na świat wydała, żem zawsze nosa wścibiał, czy gdzie było potrzeba, czy nie, a mam tego za... cztery litery, kto niczego nie ciekawy.

Począł się Wiśniowski śmiać. wziął kieliszek, wypił, a jam mu nalał świeży co najprędzej, i począł bąkać powoli:

— Widzisz asindziej, są takie sprawy na świecie. ba i u Radziwiłłów. o których lepiej nie wiedzieć. a kto o nich wie. zapomnieć. Po co ci to? nie jedno na pamięci cięży, bodaj tak, jakby na smmieniu!

— Mój panie Łowczy — rzekłem — a jużcioby też wstyd było nawet, swojego pana kochanego historji nie wiedzieć. Czasem się to i na to przyda, ażeby go od ludzi obronić.

— Zapewne! — odparł Wiśniowski — wazec go zaznales, gdy się już było młode piwo wyburzyło; my! my pamiętamy inne czasy. Szumiała krew. zapomniał się człowiek, i sam potem żałował, że sobie poczynął po szalonemu; ale często się zrobi nie jedno, czego odrobić niepodobna. Lepiejbyśmy nie mówili o tem, bo i długa historja i smutna; we dwu słowach ją opowiedzieć czarniejszaby się jeszcze wydawała. a tak jak trzeba, wszystko, ledwie do wieczora skończymy.

— A no! — rzekłem — albo co lepszego mamy do roboty? Koło Księcia dziś kolej przyszła na innych. nam tu niezgorzej i dwie butelki jeszcze mam starszego. którychby wstyd było nie wysuszyć.

I takem go przynaglał, że mi się oprze* w koncu nie mógł; a co mi opowiadał, zapisałem nie omieszkując, aby później pamięć nie zawiodła.

*

**

Za czasów, gdy Książę, młody jeszcze był Miecznikiem litewskim, dwór w Nieświeżu i życie nie było podobne do tego, jakie waszmość widzisz dzisiaj. Krew w Księciu kipiała, na całym świecie było mu ciasno, a że go otaczała młodzież, której także bujne życie grało, działały się u nas różne rzeczy, które dziś strach przypominać. siwe włosy kołem stają.

W okolicy Nieświeża drżało wszystko przed nami, a gdy Książę z przyjaciół i drużyną przeciągał jadąc na polowanie, albo do innych dóbr, przez wioskę szlachecką, uciekało przed nim co żyło, bo pod szalony humor, w pierwszym impecie dokazywał, nie poszanować nie chcąc.

Nie raz to przyplącił i grubo. nie raz się potem nagryzł sam. gdy go potem szła odszedł; ale pochlebcy mu bębenka podbijali. czasem wziął za punkt honoru. żeby co najryzykowniejszego dokazać—i—i stawiał choćby życie na kartę.

Bywały u nas takie zapusty. żeśmy dnia od nocy rozeznac nie mieli czasu, ani się policzyć z dniami, nie jeden z nas życiem przyplącił.

Tu się Wiśniowski przeżegnał, westchnął, i po bożnie pięścią w piersi uderzywszy, kieliszek duszkiem wychylił.

Tegoby i na wołowej skórze nie spisał, jakieśmy mieli uciechy i ile się tam przed spowiedzią wielką nocną nagrzeżyło. Książę, gdy raz sobie cugle puścił. już go nic powstrzymać nie mogło, a gdy kto próbował hamować—i sam oberwał i popchnął go jeszcze, bo dla punktu honoru, gotów był na wszystko. Jednego razu. jak dziś pamiętam. wracaliśmy z polowania, wszyscy podchmieleni, powiem prawdę pijani śpiewając: Zajac sobie siedzi pod miedzą...

Wierzcie nie wierzcie, tak było jak powiem.

Jechaliśmy bryczkami, bo konie wierzchowe zhasane były. w każdej bryczce po cztery w poręcz zaprzężone. W tem pierwsza, co szła przodem. w której Księżę siedział z Wołodkowiczem. stanęła. Było to nad Niemnem. Prom stał z drugiej strony, a przewoźnik położywszy się gdzieś w krzakach, usnął. Nuż gukać, nuż strzelać. Bywaj! czy pijany był czy głuchy, prom jak niema tak nie ma.

Księżę począł kłać. W tem krzyknie nagle do woźnicy. nderzywszy go w kark pięścią:

— Ściągnij lice i wpław!

Chwilę się namyslał, ale księżę poprawił:

— Wpław! słyszysz!...

Brzeg był dosyć wysoki, rzeka szeroka, głębina ogromna, ale gdy Księżę kazał. musiało to być. Nie-wiele myślać, przeżegnał się woźnica, ściągnął lice, batem po koniach i w wodę. Bryczka skórą wybita spłynęła. konie też płynąć poczęły, ale że silne były i rwały okrutnie, przybili szczęśliwie do brzegu. Druga bryczka też przeszła, trzecia się wywróciła. szczęściem. tamci pływać nmieli i choć konie woda uniosła, ludzie się uratowali. Reszta u brzegu na prom doczekała, ale wprzódym go posłano, przewoźnicy po pięćdziesiąt bizunów dostali, ledwie się ze snu gorzałczanego porwawszy.

Wszyscy, co tej sztuki dokazali, płynąc, odnawiali zdrowaśki i strach ich tak wytrzeźwił, że na drugi brzeg przybyli jakby na czczo.

Innym razem z polowania wracając, w moich oczach Sołoczyński pijany głowę z wózka zwiesił. obręcz z koła zerwała się i czaszkę mu strzaskała. że ani—Jezus. nie pisał. Przywieźli go tak do ganku z głową zwieszoną. ale w niej już mózgu nie było.

Mieszkał podówczas w Smoczynie szlachcic. niemający, ale rodu starego, powagi wiejskiej. Wojźbunem go zwano, imię miał Mikołaj, a tytuł nosił Wojskiego. Znać kiedyś dawniej urząd ten sprawiał albo on, albo ojciec, bo tytuły nie raz na dzieci jure

ha *hereditario*, acz *caduco*, przechodziły. Wioszczyne jedną miał. zwała się Rabka Czerwona, dla rozróżnienia od Czarnej Rabki, którą dziedziczyli Sulistrowscy. Rozpowiadali ludzie o tych Wojźbunach, że ród niegdyś miał być możny bardzo, że kilkanaście wsi posiadali, ale im nie szło, nie szło i zeszło na tę jedną Rabkę.

Wojski żonaty był *primo voto* ze Strzezińskiej, niezamożną szlachcianką, którą zawczasu ntraciwszy, ożenił się po raz wtóry z równie też niemającą panną Łaską; z tych pono Łaskich, co niegdyś senatorskie krzesła zasiadali, poselstwa sprawiali, na dworach królów przemieszkiwali, a w końcu na nic zeszli, wszelako o prozapii swej nie zapominali do ostatka i nosili się wysoko.

I ta druga żona odumarła go zawczasu, zostawiwszy mu córkę jedynaczkę. Chowała się ona przy ojcu, a stary Wojźbun sam ją prawie na ręku wykołysał. I wyszło to na prawdziwe cudo piękności, ale po Wojźbunach i po Łaskach wzięło dumę i hardość, śmiałe było, butne coś amazońskiego i rycerskiego mając w sobie.

Ludzie o niej prawili niestworzone rzeczy, o jej piękności, rozumie, odwadze i hardości. Każdy ją był ciekaw zobaczyć, ale mało kto mógł i śmiał się tam posunąć, bo z jednej strony ojciec czujny stał na straży, a z tym też żartów nie było, z drugiej ona sama nie bardzo do siebie ludzi przypuszczała.

Choć naówczas młodziuchną była jeszcze, mówiono, iż zaswatano ją, i miała narzeczonego, niejakięgo Tomka Dulembę, którego ojciec znaczne dobra w okolicy dziedziczył. Opowiadano sobie, jak się ich dwoje kochało, a niecierpliwie oczekiwało, żeby rodzice na ślub pozwolili. Zwlekano z tem, wedle starego zwyczaju, żeby konia do siódmego roku nie brać w uprząg, a chłopca przed trzydziestym nie żenić. Stary Dulemba kazał mu wojskowo służyć w kawalerji i kupił mu w niej podchorążstwo, dając poczet sowity,

aby chłopak nie był obcym rycerskiemu rzemiosłu i między ludźmi się obcierał. Nie mało to kosztowało, ale też uczyło wiele i stosunki się zawiązywały nie ladajakie, gbyż w kawalerji i towarzysze byli nie lada. Dulemba stojąc z regimentem niedaleko, często, gdy mu się zateśkniło, na konia siadłszy ukradkiem, pięć mil kłusował po to, żeby swojej milej twarz zobaczyć z daleka, pokłonić się jej i nazad znowu do obozu.

Zazdroszczono chłopcu szczęścia tego, chociaż go był wart, bo i urodziwy i roztropny i serdeczny i do wypitej i do wybitej, kochany był powszechnie.

Panna też od dzieciństwa do niego nawykłszy, bo to się w okolicy razem chowało, miłowała go bardzo. Starzy jednak oba znajdowali, że z małżeństwem nic było co tak spieszyć, aby oboje dorośli i sił do życia nabrali. Dulemba szczególnie w synu się lękał zadomowienia przed czasem, wiedząc, że gdy się z ukochaną ożeni, nie ruszy się pewnie za próg od swego szczęścia i gniazda.

Tymczasem ludzie panną Wojszczanką oczy pasli i zachwycali się. Kędy się tylko pokazała, biegła do niej młodzież jak do cudownego obrazu. A no, próżno mn się było przypatrywać i głowę tracić, bo...

Wzdychał pan do obrazu

A obraz doń ani razu.

Śmiała się Wojzbunówna ze wszystkich tych adoratorów. Po okolicy nosiła się sława panny Feli-si szeroko, mówiono, że takiej piękności osobliwej drugiej na całą Koronę i Litwę próżno szukać było. Paplano o niej często i na Nieswiezkim dworze, niepotrzebnie Księciu nabijając tem uszy. Gadał nieustannie Wołodkowicz, klnąc się, że piękniejszej nie widział, napomykali inni, aż ciekawość Księcia Miecznika rozbudzili do najwyższego stopnia. A zajątrzyli go i tem, że o Dulembie też szczęśliwym napomykali, że tam już dla nikogo przystępu nie było, bo

klamka zapadła; i o starym Wojźbunie, iż opryskliwy był, nieprzystępny i do domu swojego nierad wpuszczał. Zdawało się jakby ludzie się naposiedli, aby Księcia do niecierpliwości, do wzięcia na kiel doprowadzić, a to był właśnie ten czas, że mu dosyć powiedzieć było, iż czego nie można, aby mu się właśnie tego zachciało, a gdy co sobie uroił, już go od tego nikt i obcęgami nie odciągnął.

Pamiętam, już mi się to nie podobało, gdy raz w czasie wieczornej pijatyki, wzięto na zęby Wojźbunównę, a ciągle powtarzano, iż ten książęcy kasek szlachcicowi się dostanie, a Miecznik naówczas zżymnął się i krzyknął:

— Milczałbyś panie kochanku, przecie to nie po ślubie, a choćby i tak było, jakbym zechciał...

Wołodkowicz się rozśmiał.

— Nie wszystkiego chcieć można...

— Milcz!—powtórzył książę groźnie—ja tego panie kochanku, nie znam... co nie można.

Na tem się skończyło, ale pamięć miał dobrą, a ludzie też nieopatrzeni przypominali ciągle.

Nadeszła jesień, było to jakoś przed Najświętszą Panną Zielną, wieczoru jednego znowu pił okrutnie, szlachty różnej było huk. Miecznik w mniejszem kółku ze swoimi wybranymi w gabinecie siedział, a jak to a nas pospolita rzecz, iż się wszystkie rozmowy na kobietach kończą, znowu tedy mówić zaczęto o pięknościach. Naówczas książę był do kobiet strasznie zapamiętały, krewki z natury, cugli sobie i hamulca założyć nie miał. Ale dlań jeszcze, byle młoda, a piękna, choćby prosta chłopka, wszystko było równo. Po Nieswieczyźnie całej, po ekonomskich i małych szlacheckich dworach hasało się, dokazywało, mnzyki sprowadzało, gościło po tygodniach, a gdy oficjalista lub szlachcie pokrzywdzony larum podniósł, dostawał naprzód na kobiercu, jeśli nadto głośno wrzeszczał, a potem z kasy konsolację. I kończyło się to weselem i zastawą lub posażkiem.

Do tego się nawykło, iż wszystko uchodziło bezkarnie.

Aż w końcu te amory porywcze w zgrzebnych koszulach, choć je na batysty przebierano, przestały smakować. Zbrzydził je książę, czegoś więcej szukając w kobiecie, niżeli samej owej piękności, co się tylko nśmiechać umiała, gadać nic, albo mało co, a rozumieć nie wiele.

Znowu tedy tego wieczoru począł pan Wojniłowicz opisywać Wojźbunównę, a gdyby był naumyślnie to czynił, żeby księcia ciekawość zaostrzyć, inaczejby sobie nie począł. Rozwodził się detalicznie, bo niedawno ją gdzieś widział: a jaka rączka, a jaka nóżka, a jakie kosy czarne, a jakie liczko białe... a co to za wejrzenie, a głos jaki słodki, a roznm mężki, a śmiałość rycerska... i t. d. i t. d.

— Ale bo ją, panie kochanku, przechwalacie—rzekł Książę.

— Nic a nic! gdyby Książę pan ją widział sam, powiedziałbyś co i my... jeśli nie więcej... Przecie wszyscy zgodni jesteśmy, bo drugiej takiej nie ma. Na biedę, że się z nią spotkać i widzieć ją nawet trudno; z domu rzadko wyjeżdżają, chyba do kościoła...

Książę spytał.

— A gdzież parafia?

Wołodkowicz wymienił kościół, poczęto się sprzeczać, aż któryś podochocony dorzucił:

— Dajcie już pokój; choć Radziwiłł, ale tam już zaglądać nie ma po co.

Miecznik się zerwał z siedzenia, ogniem mu oczy zapalały: odwrócił się doń i krzyknął:

— Kto to właści powiedział, panie kochanku?

A po chwili jakby sam do siebie mruknął:

— Jak zechcę, to zobaczę... a jak mi się podoba, to ją będę miał panie kochanku...

Nikt mu już nie odważył się sprzeciwić...

Jesień była piękna, polowania następowały jedne po drugich. Przed samą N. Panną Zielną zadyspono-

wano całe tabory, sieci i namioty i łowiectwo w lasy... Czy umyślnie czy przypadkiem trafiło się tak, iż obóz rozbito w miejscu niedalekiem od kościoła parafialnego. do którego Rabka Czerwona należała. Zanosiło się tu nie na dzień ani dwa. ale na tygodnie.

W sam dzień świąteczny nigdy nie polowano, odpoczynek był. Książę samotrzeć tylko, ubrany nie-pocześnie, jakby się nie chciał dać poznać. wybrał się na nabożeństwo. wiedząc pewnie, że tam Wojżbunówne zobaczy.

— Przyznam się — dodał Wiśniowski — żem był z Księciem w kościele, bo mi kazał jechać z sobą. Zajechaliliśmy przed kościółek mały, drewniany na uboczu pod sosnowym laskiem, wśród jałowców stojący. ubogi, ale schludny. Ludu w nim. na cmentarzu. do koła było mnóztwo... Z fur, któremi włościanie i szlachta poprzyjeżdżała. jakby jarmark się zrobił. Nawieziono mnóztwo ziela, kwiatów, zboża. wianków do święcenia, do kościoła ledwie się przez zakrystję docisnąć było można. Księcia nie bardzo kto tam znał w okolicy, a w tej opończy. w jakiej przybył umyślnie, mało się go kto mógł domyśleć.

Weisnęliśmy się jakoś i dotarli do przysłoniętego kąta po za boczny ołtarz, aby nas nie łatwo mógł kto zobaczyć i odkryć. Szlachty różnej, nawet i takiej, co w postołach chodzi choć przy szabli, było siła; wmięszaliśmy się między nią i zniknęli...

Własnie naprzeciwko nas, w pierwszej ławce. siedziała z ojcem Wojżbunówna. Ojciec stary, siwy, figura poważna. choć koło niego ubogo było, na senatora wyglądał. Szaraczkowo się zawsze nosił, jak to starzy Litwini byli nawykli. w makowym kontnszu. Łeb łysy, włosów już na nim mało co, kresa przez czaszkę od pałasza taka, że małoby się w niej palec nie schował. Znać za młodu rąbać się lubił. Obok niego klęczała córka: choć małować taka w niej krasa... słuszną bardzo, szykowna, wejrzenie śmiałe, oczy czarne, usta dumne. Patrzyła w dźną książkę rozłożoną przed

nią i wzroku prawie nie odwróciła od niej przez całe nabożeństwo. Wojski też rece, w których koronkę trzymał, złożywszy, na pamięć pacierze odmawiał. Księżę się wpatrzył w pannę tak, że o modlitwie zapomniał; przez całą sumę oka z niej nie spuścił, i po suplikacjach ludzie już wychodzili, a on jeszcze patrzył na nią. Gdy się pospólstwo do drzwi ruszyło, przebrał się przez lud, drogę sobie torując. młody i piękny mężczyzna, w mundurze kawalerji i submitywał się ojcu i panie. Stary go nśmiechem przywitał. a Wojźbunówna rękę podała i razem z kościoła wyszli. Za nimi i mysmy się wysunęli niepostrzeżenie. Wózek niepoczesny, parą końmi zaprzężony, a raczej kałamaszka stała, czekając na nich; młody Dulemba dosiadł konia i tak razem do Rabki pociągnęli. Mysmy się tylko przyglądali, jak chłopak z konia się do panny schylał i rozmawiał z nią wesoło.

Księżę też zaraz potem do swoich koni się dostał i nazad do lasu. Przez całą drogę nie powiedział ani słowa, zadumany był jakiś i chmurny.

W lesie, jakem mówił, formalnym leżeliśmy obozem, jakby na wyprawie przeciwko nieprzyjacielowi. tylko żeśmy się nie okopywali i hulajęgrodów nie było... Zresztą nic nie brakło, bo nocami nawet, wigiej dla fantazji niż z potrzeby, warty stawiano, a zrana trąbiono pobudkę... Pośrodku obozu rozpięty był wielki namiot wezyrski z pod Wiednia, w którym były ścianami poprzegradzane kompartymenta i miejsca dla dworn dosyc. Tuśmy z księciem jadal i jeśli słota lub zimno na dworze nie dozwalało. Nieco opodał stały namioty pomniejsze dla służby dworu, szalasy dla czeladzi, dla koni, napręde sklecone kuchnie i spiżarnie...

Ile z nami i za nami wozów szło, ile ludzi, ile koni, ile zapasu potrzeba było, ażeby to wszystko czasem po tygodniu i dwa przeżywić, trudno zliczyć. Takich łowów jużesmy później rzadko widywali.

Codzień inny, opatrzony wczesnie ostęp. oblawa- mi i sieciami ostawiano. Chłopstwa spędzonego z wio-

sek okolicznych bywało po kilkaset—a to częścią pod gołem niebem. częścią pod szalasami też leżało nieco opodał... Chleby. ogórki. piwo. wódkę. furami dla nich wożono. Wieczorami było i śmiechu i hulank i figlów i gawęd do późna, bez pijatyki często gęsto się też nie obchodziło. Tego dnia. jako w uroczyste święto. i strzelcy i obława i goście odpoczywali pod namiotami, a Księżę raczył suto...

Powróciwszy z kościoła, gdysmy do namiotu weszli, zastaliśmy już wszystkich z bigosem oczekujących na gospodarza. Postrzegli nas z daleka kucharze i dymiące misy weszły jednemi drzwiami. gdysmy drugiemu wchodzili.

Księżę się odwrócił do Wołodkowicza i rzekł ze śmiejącą się twarzą:

— No. panie kochanku. co prawda to prawda. mieliscie słusznosc. nie ma. nie było i nie będzie piękniejszej nad Wojźbunównę!! Raz mi tylko z przypadku w oczy spojrzała, a dotąd wzrok jej siedzi we mnie i nierychło si go pozbędę. Przebiła mnie jak sztyltem...

Zaczęto się śmiać, winszować i żartować. a dopiekać. jak to bywa przy kieliszkach. Jeden i drugi powtórzył, że tam się nie ma po co posuwać...

— Radziwiłł się z Wojźbunówną nie ożeni — rzekł Wołodkowicz — a do niej. gdyby i Dulemba nie było, innej jak przez kościół nie ma drogi...

Miecznik tylko popatrzał ostro na mówiącego i rzekł:

— Zobligowałby mnie bardzo. ktoby mi. panie kochanku, okazję nastreczył. żebym też piękną Wojszczankę mógł zobaczyć z bliska. a choćby z nią pomówić

— I o to nie łatwo — odparł Wołodkowicz — bo nigdzie nie bywają radzi. z domu ich wydobyć trudno: ale, któż wie... trafić się może.

Zasłyszeli to ludzie. a że Księciu każdy się starał dogodzić z serca, ten i ów myśleć począł gdzieby i jak Wojszczankę mu pokazać.

Zręczność się nie nastęrczyła. aż dopiero w zapusty. Zdaje się, że tam ktoś i podrobić to musiał. Oddawna szło o to bardzo panu sędziemu Zabielle. żeby też raz choćby. Radziwiłła miał u siebie. Byli ci Zabiellowie ludzie, jak wiadomo. niegdyś bardzo majątni i pięknie spokrewnieni, ale nieładem fortunę puścili. Świeciła się jeszcze szczątkami. mimo długów procesów i rozmaitego ratunku. który tylko oddalał ruinę.

Sędzia w Nieświeżu często bywał. Nosił się po francuzku, choć języka tego nie umiał i nie rychło strój ten przywdział. Smakowały mu stosunki książęce i rad się pańskiej trzymał klamki. Choć majątku ledwie resztką była. występowano przy okazji tak, że by Radziwiłłom zrównać. Śmiał się z tego książę Miecznik. śmieli się drudzy, ale pompa nie ustawała. Sędzia szeszciał konni jeździł. z których i jednego nie było bez kalectwa. służba miała barwę paradną choć łataną. dworu cma się uwijała. której gdy do Nieświeża z sobą przywiózł na przekarmienie. to się wygłodzeni jak szarańcza do mis rzucali. że przy nich nikt się już nie pożywił. ani miał co polizać.

W zapusty namówił ktoś Zabiellę. ażeby wieczór wyprawił. zaręczając mu. że i Radziwiłł przyjedzie. jeżeli tego dokażą. aby Wojżbunówna u nich była, bo ją Miecznik widzieć chciał z bliska. Sędzia wziął na kiel i zaklął się. iż Wojskiego namówi, uprosi. choćby przed nim miał nkleknąć. Jakoż pojechał sam zaraz; ale nadaremnie molestował. męczył, kękał. Wojski wręcz dał rekuzę. Nie dano mu za wygraną; pojechała nazajutrz pani sędzina. w nadziei tej. że się kobiecie nie odmawia niczego. Siedziała cały dzień. i zmęczyła tak Wojżbuna. iż się nareszcie zgodził z córką przybyć do P...

Zabiello pobiegł zaraz do Nieswieża księcia zapraszać. który nie rad do takich domów uczęszczał, gdzie ceremonii było wiele a swobody mało i ostatecznie kończyło się tem, iż przyplacić musiał.

Na pierwszym wstępie Sędzia oświadczył. iż Wojski z córką na ten dzień przybyć mu przyrzekł.

— Mówiono mi. że W. Ks. Mość ciekaw zbliska oglądać to nasze domorosłe cudo, które się na świat rzadko pokazuje. Otóż może choć na tę wędkę wdzieków panny Wojszczanki zwabię Księcia do siebie.

Książę się zarumienił.

— Mój mości dobrodzieju, panie kochanku — odezwał się — miło mi zawsze sobie zaskarbiać serca obywatelskie.. i nie dla panny Wojszczanki, ale dla służenia im. przyjadę.

Uradowany Zabiello zebrał prawdziwe pospolite ruszenie na mil dziesięć dokoła. Dom mieli spory, stary, drewniany. sal w nim dużo, choć niskich, ale wcale obszernych; na tę jednak uroczystość, choćby dwa razy większy dwór nie starczył. Poopróżniano więc i pobielono na nowo izby, z których wyrzucono łóżka i pościele. aby tych gości jako tako pomieścić. Kapelę Zabiello sprowadził ze Słucka. cztery moździerze wystawiono w dziedzińcu i od ogrodu, dla ogłaszania wiwatów. Zkąd na ten występ pieniędzy sędzia wziął, Bogu tylko i żydom było wiadomo. Dosyć, że paradnie się dzień ten obchodzić zabierano.

Mróz był trzaskający, ale we dworze jak w łaźni; izby pełne, że się drzwi zamykały z trudem. Opisywać to ciężko i nie ma po co, boć Waszeć nieraz godów takich świadkiem bywał. Dla tego samego, że Radziwiłł miał przybyć. szlachta się zbiegła, on też jechał ze dworem znacznym.

Gdyśmy przybyli pod obiadową godzinę, czekali gospodarstwo w ganku, mimo zimna. a moździerze oznajmiły radosną nowinę. Nie obeszło się bez mowy jednej, którą miał sam sędzia, a drugą rejent Pace-

wiecz, nie licząc przydłuższych i wyczonych kompletów.

Tłok i ścisk, że się ledwie można było za księciem tam dobić. Kobiet co najpiękniejszych było multwo, a naprzód dwie sędzianki, hoże i śliczne gdyby róże, ale to wszystko gasło przy Felisi Wojźbunównie, która po prostu była ubraną, a po niej na żadną spojrzeć się nie chciało. Książę wszedłszy zaraz ją zoczył, lecz zbliżyć się nie mógł. U stołu go posadzili przy starej gospodynie, a z drugiej strony lufułał. Wojźbunówna siedziała opodal. Iłwałem jednak, iż mało co jedząc ciągle oczyma ku niej strzelał, o czym ona zdawała się ani wiedzieć, ani suponować nawet.

Pierwsze zdrowie Księcia Miecznika z trąbami i moździerzami się ozwało, potem poszły i inne. Wzięła się ochota okrutna, że na klęczkach potem pito zdrowia, jedne po drugich na zabój, i końca temn nie było. Książę się chciał wymknąć, ale koło niego się wszystko skupiało, więc do późna go nie puszczono. Dopiero, gdy polskiego zagrała kapela, gospodynię wzięwszy wstać mógł, aby tańce rozpocząć. Po pierwszym nastąpiły wnet inne, od których się już Miecznik wymówił, ale od kieliszków, któremi go obsadowano, nie mógł. Drugi i trzeci raz powtórzono zdrowie jego, za wszystkie dziękować musiał i to wielkim puharem, któremu by inny rady nie dał. Ale naówczas!! nam się to naparstkami wydawało...

Nierychło go wyzwolił Wołodkowicz i ja, żeśmy trochę mogli się przejść pomiędzy gości. Wszędzie tłum był na biedę taki, iż sobie z trudnością drogę, musieliśmy torować. Drąc się jakby przez gęstwinę w lesie, dobiliśmy się tak gdzie stała Felisia Wojźbunówna, a koło niej panien kilka. Za wrzawą rozmawiać nawet było trudno, musieliśmy czekać, aż się muzyka nciszy i tancerze odpoczywać będą.

Musiano pewnie Wojźbunównie powiedzieć co o Księciu, jak to ludzie zwykle plotą i powtarzają, że się kilka razy odzywał: nie ma jak Felisia Woj-

żbunówna! bo gdy się ku niej zbliżył. dziewczynie lice krwią całe zapłynęło, i z oczu poznać było można, iż w sobie gniew hamować musiała.

Nie przedstawiano księcia. bo go tam wszyscy znali. ani panny. bo jej piękność już ją zalecała wszystkim.

Zbliżył się więc książę Miecznik wąsa pokrecając i odezwał:

— Nigdy w życiu nie tańczę i nie mam ochoty do innego, chyba do tatarskiego tańca: ale gdybym miał szczęście z panną Wojszczanką pójść. gotów bym nie tylko w tany. ale choć do piekła...

Spojrzała nań wielkimi temi. czarnymi oczyma zagniewanemi, pomilczała chwilę i odezwała się tak śmiało, jakby do łada szlachcica mówiła:

— Nie pospolity to honor dla mnie. że W. Ks. Mość raczyłeś na ubogą szlachciankę zwrócić oczy... ale ja też tańczę mało i to tylko z tymi, których znam blisko... a choćby z największym panem i choćby do nieba nie poszłabym dla fantazji...

Książę, który się takiej hardej nie spodziewał odpowiedzi, zamilczał chwilę. Nierychło dopiero, zaczął ciszej:

— Rzadko się to Radziwiłłom trafia, żeby ich z kwitem odprawiano; dla osobliwości przyjmuję ten despekt. jaki mi panna Wojszczanka wyrządziła, ale w sercu pamięć o nim zachowam.

— Nie jest to despekt żaden—zimno odezwała się Wojżbunówna. która całą zachowała przytomność — jeśli Książę masz fantazję dziś poskoczyć, toć jest w czym wybierać sobie do pary.

— Właśnie. Mościa panno. jam z tych co im. panie kochanku. najlepiej smakują zakazane owoce — odezwał się Radziwiłł — no. i z tych. co się nie lekają sięgnąć po nie, choćby je ciężko zdobywać przyszło.

Pomilczała trochę Wojzbunówna. a dziwnie jej pięknie było z gniewem. którym pałała... Ruszyła ramionami.

— Nie rozumiem W. Ks. Mość — rzekła.

— A jakże mówić mam. byś mnie WPauna chciała zrozumieć?—odparł Radziwiłł.

— Nie tak jak w pałacach do pięknych i wyuczonych pań mówią, ale tak jak do nas prostych szła chcianek bracia nasi mówić nawykli.

— Tego języka mi się, panie kochanku. uczyć nie trzeba — odezwał się Książę ożywiając coraz — myśmy też szlachta z kośćmi i skórą a nie żadna cudzoziemska dzicz..

— Co Radziwiłł, to nie my drobna szlachta—mówiła Wojszczanka — każdy ma swe miejsce na świecie i swojego pilnować powinien. Kanarki z wróblami nie idą w tany... a my szare wróble.

Księciu się policzki zarumieniły.

— Strasznie mnie pauna Wojszczanka chłoszczesz za nie moją winę—odezwał się —a gdybym jej chciał posłuchać i żyć tylko ze swemi. tocbym chyba do grobów familijnych zstąpić musiał, gdzie pradiadowie leżą. Tego sobie jeszcze nie życzę, panie kochanku... a według mojego zdania. piękność w kobiecie choćby tronn ją czyni godną. Pannie Felicji w koronieby chodzić.

— Wolne żarty, Mosci Książę, ja ani mitry nawetbym nie chciała—zawołała Wojzbunówna—cierniowe to korony...

Książę się obejrzał do Wołodkowicza i szepnął:

— Z tą nie łatwa rozmowa...

Wojzbunówna. jakby odejść chciała i uniknąć dalszych zaczepek, posunęła się krok, Miecznik jej zastąpił drogę.

— Czyśmy się już z panem Wołodkowiczem tak WPaunie naprzykrzyli. że od nas zamysłasz uciekać? Namby też na słońce się popatrzeć chciało..

— Mości Książę — przerwała Wojźbunówna — wielki to honor dla mnie bawić W. Ks. Mość. ale ja się nie czuję na siłach ani w humorze...

— A cóż humor popsło? — spytał Miecznik — chyba za kim tęsknota?

— Mogłoby to być — odezwała się szybko Wojszczanka — ale nie wiem czy w zapusty obowiązana jestem do spowiedzi.

Zagryzł Miecznik usta

— Dosyć — rzekł — że w tym gościnnym domu Sędztwa, jedna panna Wojszczanka nie łaskawa na mnie...

— Ani łaskawa, ani niełaskawa — odezwała się Wojźbunówna. — Książę mnie po raz pierwszy widzisz, ja W. Ks. Mość znam tylko przez ludzi, z kądżeby łaska lub niełaska urodzić się miała?

— A jakże mnie Asińdzka przez ludzi znasz, panie kochanku? — spytał Książę — źle czy dobrze?

Wojźbunówna śmiało mu spojrzała w oczy...

— Nie zwykłam ludziom zbyt dowierzać — rzekła.

Księża coraz bardziej mięszały te śmiałe odpowiedzi, głową kręcił i wesa targał.

— Znać to z mowy, że mnie przed Asińdzką obgadano — mówił dalej — nie byłabyś dla mnie tak — (tu się książę zaciął, i wyrazu stosownego nie znalazłszy, dołożył) — tak... okrutną

Wojźbunówna posłyszawszy to, rozśmiała się chłodno, a Miecznik zmieszany coraz bardziej, nasrożył się.

— Księżu ani o moją grzeczność, ani o prostactwo nie wiele chodzić może — odpowiedziała — nie zabawi chwili, a wszystko się to zapomni.

— Nie tak to łatwo! panie kochanku! o! nie tak łatwo — zawołał Miecznik — jeszczeby się dobre słowo mogło rychlej wygluzować z pamięci, ale ostre... nigdy...

— Ostregom też nie powiedziała — zawołała Wojszczanka.

— A jeszczeż mało?—zapytał Miecznik.

— W. Ks. Mość nawykłeś zbyttnio. że przed nim na twarz padają. a my tego nie nczeni... nie potrafimy Ruszyła ramionami, znown chcąc odejść, Miecznik nie puszczał...

— I tak mnie Waćpanna chcesz odprawić. bez dobrego słowa? rzekł

— Ta popatrzała nań...

— Jeśli starczy. pokorna sługa W. Ks. Mości...

To mówiąc nisko. się pokłoniła. oczy podniosła i szydersko nieco dodała:

— Stopy całuję W. K. Mości...

Gdy to rzekłszy ruszyła się iść. już jej Miecznik nie zatrzymywał. ale my cośmy go znali. po licuśmy poznać mogli. iż strasznie był wzburzony. Wkrótce potem, mimo usilnych prośb Zabiełłów. mimo zaklęć gości co go otaczali. uparł się jechać a na odjezdne poszedł Wojźbmównę wyszukać dla pożegnania. Gdy go zobaczyła zbliżającego się. gniewem jej twarz zapalała.

— Nie chcę odjeżdżać bez pożegnania rzekł Książę — a na odjezdne chciałbym pannę Wojszczankę upewnić. że choć nie łaskawa na mnie. ja się odprawić tak nie dam i dokuczać jej będę. aż się doproszę. pannie kochanku. lepszego przyjęcia...

Skłonił się nisko.

— Ja W. Książecą Mość upewnić mogę. iż jaką mnie dziś widzisz. taką będę zawsze.. bo jestem uparta ..

— A ja też! a ja też! — podchwycił Radziwiłł i nie łatwo się mnie zbyć.

Wojszczanka dygnęła i co żywiej ustąpiła. Ledwieśmy siedli do sań, bośmy we czterech jechali razem ogromną budą na gryndzach. Książę krzyknął:

— Gotowem na wszystko. a tę dumną jejnosciankę. trzeba poskromić! Piękna jak bogini. ale też tony sobie daje. Nie będę miał pokoju. póki na swoim nie postawię!

Ja i Wołodkowicz i ilu nas tam było, poczęliśmy zaklinać i prosić. aby to sobie z głowy wybił, opowiadaliśmy o dumie Wojźbunów i Łaskich, o chłopcu, którego panna kochała, o niepodobieństwie zbliżenia się; ale to było wszystko grochem na ścianę. milczał, ile się zaś razy odezwał, swoje prawil, nie chcąc ani słuchać.

Nazajutrz też sama litania: Wojźbunówna na śniadanie, na obiad i na wieczerzę, o nikim i o niczem nie mówił, tylko o niej. Wiedząc. że ani ja, ani Wołodkowicz. ani żaden z naszych mu tej sprawie nie posłuży. trzeciego dnia. jakesmy się do wie-dzieli, wezwał Włocha. który był przy teatrze nieświeżkim, zwał się Tramotano... Człek był wesół. figlarz. na wszystko gotów. a że już od lat wielu przy dworze wisiał. różne funkcje sprawując. znał całe sąsiedztwo, miał u ludzi łaski. bo ich bawił i wszrębował się wszędzie. Książę go nie lubił. choć się nim bawił. a żartował sobie z niego i figle mu płatał bez litosci. Miał to jedno dobrego w sobie włoszysko, że czy żart był mokry. piekący, śmierdzący, czy bolący. nigdy się zań nie pogniewał: zno-sił wszystko. pewny będąc. że się każda rzecz. im-by przykrzejszą była. tem lepiej opłaci. Przytem. Tramontano nigdy się nie wahał podjąć niczego, nie przebierając ani w rzeczy. ani w środkach.

Niestary jeszcze. ale już łysawy, z włosami i oczami czarnymi, zdrów, silny. z ciałem jakby napęczniałem. cery blade-żółtawej, zawsze w krygach i w migach. nigdy chwilę nie mogący ustać spokojnie. Tramontano miał minę kuglarza, a ponieważ nim i był.

Sztuki różne pokazywać umiał. gdy było potrzeba. bardzo zręcznie. z kartami wyprawiał szczególnie co chciał. tańczył mimo tuszy lekko, jak motyl i wesół był na rozkazanie. Po polsku się nauczył mówić źle. ale rozumiał dobrze, a gdy mu wyrazu nie stawało. na sposób włoski gestykulacją się

sztukował. Śmiechyśmy z niego mieli, ile razy nam humor brakło.

Nie wiedzieć zkąd Księciu przyszło. takim, mosanie—z pozwoleniem—błaznem, się posłużyć; pewnie dla tego chyba. że innyby takiej służby się nie podjął. Dosyć że, jakem się później od samego Tramonty dowiedział. do gabinetu go wziął i odezwał się do niego. swoim sposobem:—Słuchaj ty skurczypałko, panie kochanku, masz rozum i sprytu dość—spróbujże czy mi tego dokazać możesz, aby w zapusty do jakiego szlacheckiego domu ściągnąć Wojskiego Wojźbuna z córką. Nigdzie nie bywają. a ja pannę widzieć chcę; do nich zaś jeszcze mi nie czas jechać... Rozumiesz?

Włoch żądał instrukcji. dokąd i jak? ale Książę się ofuknął: — Gdybym wiedział dokąd i jak. to bym. panie kochanku. skurczypałko ty jakiś, ciebie nie potrzebował. Na to twój rozum, albo jeśli ci go brak. to go choć od djabła pożycz sobie. A jeszcze ci to powiem tylko. że kto chce przyjęcie urządzać takie, aby na niem Wojźbunówna była, co go ono kosztować będzie, zapłacę i z nawiązką

Włoch odmówić nie śmiał. ale poszedł z nosem na kwintę. tak mu się rzecz wydała trudną. Radził się we dworze przyjaciół, nikt mu nie umiał nic do brego nastreczyć, aż drugiego dnia kazał sobie konie dać i pojechał.

Nie było go dzień. nie było dwa i trzy Wieczorem, trzeciego. gdy na pokojach koncert był, bo Książę naówczas i sam grywał. jak hetman Ogiński. ale fałszował. że uszy wędły. patrzymy, Włoch u drzwi stoi, ręce na piersiach złożone i niby z pobożnością wielką i zachwyceniem przysłuchuje się grze książęcej.

Filut zawsze, skarbiąc sobie łaski książęce. wpadał w admirację. kiedy Miecznik grać poczynął I tym razem oczy wywracał, aż mu białka świeciły wzdychał. i łzy, których nie było. ocierał. Postrzegliśmy

go wprzód nim Księżę. który tyłem do drzwi przy pulpicie stał.

Ciekawość nas brała dowiedzieć się, co też dokazał? bośmy zakłady między sobą porobili o to. czy też dokaże tej sztuki. czy nie.

Z miny miarkując zdawało się. że Włoch na swoim postawił. Musieliśmy. choć niecierpliw. czekać. aż się koncert ukończy. Tylko co Księżę od pulpitu odstąpił i odwrócił się. wnet Włocha stojącego z tą miną ubłogosławioną ujrzał. i nie zważając na to. że kapela grała. chwycił go do gabinetu.

Myśmy iść za nimi nie mogąc. musieli czekać ukazania się Miecznika. Z twarzy Włocha. nawykłego do maskowania się. wyczytać nie było łatwo. ale z naszego Księcia. jak z drukowanej i to wielkimi literami książki. kto chciał. wszystko wydecyfrował. Nie było na świecie człowieka. coby jak on. twarzą prawdę mówił. Rankor. gniew. smutek. wesołość. co miał w duszy. wszystko nosił na wierzchn. Gdyby był utaić co chciał (a często wielceby mu się to było przydało). nie potrafiłby. Przezroczysty był tak za młodu. jak go Wmość widzisz dzisiaj.

Gdy po półgodzinnej prawie konwersacji. wyszedł do sali Miecznik. wszyscyśmy odgadli. że Włochowi udać się musiało.

Szedł za nim Tramontano pokorny. skromny. jak zwykł bywać kot. gdy złasuje co w garnku.

Kapela dokonczywszy grać milczała. ale stała jeszcze. Księżę kazał zawołać pryncypała i grać marsza Sobieskiego. Słyszałeś go Waćpan pewnie nie raz? wiesz co to za muzyka. od której włosy na głowie wstają i kipiątek w żyłach płynie. Huknęli tedy marsza. a Miecznikowi się twarz rozjasniła. Tramontano w kąć poszedł.

Po muzyce wieczerzę dano. wesołość była wielka. lecz Księżę się ani słówkiem nie wygadał z niczem. Myśmy Włocha oblegli. — Mów! Zaklął się. że nie ma jeszcze nic. że... to. że owo i zbył nas psim śwędem.

Ciekawość paliła. z Księcia tyle tylko widać było, iż rad czemuś. ale mówić też nie chciał. W dni kilka, z rana! Miecznik mnie zawołać kazał.

Słuchaj ty. wasała — rzekł do mnie, jak był zwykły przy dobrym humorze — ty jeden milczeć umiesz. Pod wieczór niech na przypadek konie będą gotowe do sianek... pojedziemy może gdzie... ty, Wołodkiewicz, Koręga i kilku ludzi. Wielkiego dworu nie trzeba, ale odziać się o świąta. żeby wstydu nie było.

— Dokądże, Mosci Książę?

— Al dokąd? a tobie co do tego? zaraz mi, panie kochanku, inkwizycję będziesz zaprowadzał? Przed siebie i kwita.

Poszedłem do koniuszego i rozkazy zaniósłem. Zmierzchać zaczynało. gdy Książę wyszedł od siebie ubrany. Ażem się zadziwił, bo suknie wziął stare. wyszarżane. jakby umyślnie, a do nich guzy, spinki. różne łańcuchy a wisiadła co najkosztowniejsze. Jedno się z drugim kłóciło. Kazano saniom zachodzić. Od ganku Książę tylko rzekł:

— Ruszaj!

Dokąd?

— Przed siebie! na groblę! dowiesz się, panie kochanku. kpie jakiś.

Za groblą dopiero kazał znowu do Zabiellów jechać. Nie słychać tam było o żadnem przyjęciu. ani zabawie, ale u nich mało kiedy gości nie było.

Gdysmy przed dworem stanęli. świecił jak latarnia. W dziedzińcu ludzi stało mnóstwo, którzy się przez okna przypatrywali, co się wewnątrz działo. Muzykę słychać było i pary się przesuwaly, znać tańczono. Gdy nasz woźnica z bata począł palić, a dzwonki od saní zabrzęczały, wybiegł w ganek pan Zabiello.

— Co ja widzę! — zawołał — Książę pan! o niewysłowiona łasko pańska!

A Książę na to:

— Po drodze, panie kochanku. do miłego sąsiada... jeśli wstąpić wolno?

Wyszli słysząc szum w ganku i inni goście, zdumienie tedy wielkie, apłanzy, kielichy — i z po-
nalewanemi, śpiewając: „To pan. to pan. to dobro-
dziej nasz!“ — wprowadzili nas w tryumfie na salę.

Nie było w niej takiego tłumu jak ostatnim ra-
zem, przecież osób dużo, kobiet szczególnie. Spoj-
rzałem. Wojżbunówna siedziała też, a zobaczywszy
Księcia, zaczerwieniona wstała, jakby się cofnąć
chciała, ale tyle tylko, że się za inną pannę ukryła.
Mielśmy ją już na oku. Kapela marsza grała, ka-
zano z moździerzy ognia dawać. Szlachta koniecznie
na rękach nieść żądała Księcia, ale im się nie dał.
Przystąpiła pani Sędziua, wnet i inne damy. Za-
biellowie, jak to byli ludzie mądzy, a o słabości
miecznika dla pięknych twarzy wiedzieli, na włas-
nych córkach nie chcąc fundować łask pańskich, bo
te mu i pierwszym razem w oko nie wpadły. Wojż-
bunównę zaś dziką myślą z głowy wybić, postawili.
nie bez zamiaru, ubogą kuzynkę Wojszwilłównę, a wy-
stroili ją jak lalkę, z czem na prawdę nie do twarzy
jej było. Wojszwilłówna urodziwa, nie można powie-
dzieć, wzrostu pięknego, świeża, hoża, śmiała dosyć,
mogła się była podobać, tylko nie przy Felisi i nie
wówczas, kiedy Miecznik już z tamtą miał na pieńku.

Spełzło to tedy na niczem, choć ją ciągle na
przód podsuwali, i Zabiellowa Księcin tę „sierotę“
przedstawiała sama, i sadzili ją blisko, i biedna
dziewczyna oczyma, jak umiała manewrowała. Je-
dnak się to na nic nie zdało, bo Książę też z pro-
jektem tu przybywszy, tak chodził, aby z unikającą
go Wojżbunówną się spotkać.

Nie wcześniej to jednak nastąpiło, aż po wie-
czerzy, gdy się od stołu ruszono. Wojszczanka zmy-
kać chciała, zaszliśmy jej drogę.

— Coż to za szczęście moje, którego się dziś anim
spodziewałem — odezwał się Miecznik, — iż pannę
Wojszczankę spotykam!

— I jam się też wcale nie spodziewała nawet byś Książę moje nazwisko pamiętał.

— Nazwiska. możebym mógł zaponnieć, ale twarzy, nigdy — dodał Książę.

Dziewczę się zarumieniło. lecz łącno poznać było można, iż nie z radości, ale z gniewu.

Popatrzała milcząca i roztargniona, jakby szukając miejsca, któredyby się wymknąć mogła. Natosmy jednak poradzili. ażeby Książę choć rozmową się ukontentował.

— Jak państwu Sęstwu zazdroszczę, że są pana Wojskiego sąsiadami — dodał Książę — bo do Nieswieża choć nie daleko, ale wątpię, czybyście raczyli...

Panna Felisia oczy podniosła.

— Mości Książę — rzekła — wysokie progi na nasze nogi; my u tych tylko bywamy, których u siebie ugścić możemy. Ojciec stary, a ja nie bardzo bawić się lubię.

A cóż asińdzka lniesz? — spytał Książę.

— Spokój mój domowy — odpowiedziała Wojźbunówna.

— E! e! — zawołał Miecznik — grzech to jest, bo Pismo święte powiada, że światła korcem przykrywać się nie godzi. Lico asińdzki takie promienie. iż go przed światem chować, kryminał!

— Nie mogę Księciu za komplement podziękować bo go za żart biorę — rzekła Wojźbunówna — a jeśli Książę sądzisz, że to szlachciance głowę zawróci. żal mi. bo się onylisz bardzo.

Miecznik stał medytując co mówić dalej; Wojszczanka nie mogąc wynieść, bośmy ją kołem opasywali, kręciła się tylko. nóżką tupała i ramionami ruszała.

— Czyste obłączenie! — usłyszałem ją mrużącą.

— Myślałem, że dziś pannę Wojszczankę zastanę łaskawszą — rzekł Książę.

Nie odpowiedziała nic, udając, że nie słyszy

— Los tedy zadrwił ze mnie — mówił dalej — bo mi pokazał zdala sperandę szczęśliwości, na to, by mi zawód uczynił okrutny.

— Jaka to szkoda — odezwała się panna Felisia — takich pięknych słów dla takiej prostaczki jak ja. Innaby. M. Książę, umiała je ocenić, a ja nawet nie rozumiem co znaczą. Życzyłabym tak drogie klejnoty zachować na lepszy użytek.

Miecznik wąsy zakręcił.

— Juściż nie może to być — rzekł po namysle — żeby ta, co tak ostrych słówek dobierać umie, moich nie rozumiała; ale widzę to. nie miały szczęścia się podobać, ani one. ani ja!

Na twarzy dziewczęcia rosła niecierpliwość i oburzenie. Przyznam się, że mnie jej już żal było; ciągle się wyrwać usiłowała. a Książę znaki dawał nam, abyśmy jej puścić się nie wazyli. Jakby zdesperowana wreszcie główkę podniosła, popatrzała długo na miecznika, Bóg raczy wiedzieć z pogardą czy litością. bo to się oboje we wzroku mieszało i wybuchnęła:

— W. Ks. Mość podobaćbys się mógł słudze swej w jeden tylko sposób.

— A to jaki? nauczże mnie Asindzka, chętnie posłusznym będę.

— Gdybys o niej chciał zapomnieć! — dyguawszy, dokończyła panna.

Oniemiał Książę. w oczach mu się jakoś zaćmiło, słowa na ustach nie znalazł. zabełkotał coś niewyraźnie.

— To trudno. panno Wojszczanko dobrodziejko — rzekł w końcu — a tem trudniej, że z nakazu myśmy nic czynić nie zwykli, a przeciwnie zawsze na swoim postawić. Im trudniej, tem milej dokazać, co się postanowiło.

— W. Ks. Mość postanowiłeś więc? — zapytała — co? chyba mnie na ludzki śmiech narazić?

— Nie. panno Wojszczanko, ale serce jej skłonić. aby mi więcej sprzyjało — rzekł Miecznik bez ogródki.

— I dziwną do tego Księżę obrałeś drogę — zawołała żywo panna — sługa W. Ks. Mości.

Ukloniła się, dodając z wielką niecierpliwością: prawdziwe ntrapienie!...

— Ja się tak zhyć nie daję! — szepnął miecznik — zobaczmy!

W tej chwili panna npatrzywszy lukę między nami, wysliznęła się nią, wybiegła i znikła, a na salę więcej nie powróciła. Zabawa trwała w noc późną, i Miecznik wesołego udawał, ale my, cośmy go znali, widzieliśmy, że w nim gniewem wrzało. Powróciliśmy do Nieświeża w najciemniejszą noc i zawieruchę, bo się za nic uprosić nie dał, aby albo do dnia zabawić, lub zostać i nocować, choć mu już pokoje wypożyczono. A że to był wilczy czas i stada chodziły aż pod wioski się podkradając, łatwosmy mogli z niemi się spotkać. I strzelb z sobą nawetęśmy nie brali. Ze dniem, dwa razy się w drodze wywróciwszy, wróciliśmy do Nieświeża, wszyscy w takich humorach, że imo przekleństwa słyhać było, a cośmy naczęstowali potem kułakami służbę, aniby zliczył.

Wszyscysmy sądzili po tej wyprawie, iż na tem będzie koniec, że się Księciu gwiazdki z nieba odechce, ale w nim nietyle miłość może grała, co obrażona duma.

Nie mówił nikomu nic; już się na wiosnę brało, bo w tym roku wczesną była, gdy jednego dnia wierzchowe konie kazał gotować i dwerskich zadysponowano kilkuniesięciu, a choć błoto było i drogi okropne, wielką paradą, pod dywdykami, w rzędach.

Uroczystości żadnej nie było, o żadnej dostojnej figurze nie słyszeliśmy, zaproszenia Księżę nie odebrał żadnego, głowysiny łamali co za fantazja. Do dnia wszystko w pogotowiu być miało. Wyszedł z garderoby ubrany jak na fest, posiadaliśmy na konie, nie wiedząc dokąd i po co, aż: do Rabki Czerwonej!! — zawołał.

W głowie się to nam nie mieściło. Przez całą drogę umyślnie baraszkował z nami dla niepoznaki, iż kwaśny był i aprehensyę miał, że mu się te odwiedziny nie powiodą.

— Cóż ty na to? panie kochanku! — zagadnął Wołodkowicz.

— Mnie się zdaje, że łamane sztuki dokazywać, wartoby Tramontanie zostawić — rzekł Wołodkowicz.

— Cóżto za łamane sztuki?

— Wszak do Rabki jedziemy?

— A do Rabki, a cóż to za sztuka, panie kochanku? przecież nas przyjąć muszą.

— Kto wie jak! — mruknął Wołodkowicz.

— Myślisz, że mnie źle przyjąć może, panie kochanku? — zawołał — a toby chyba zapaśną głowę musiał mieć w kuferku.

I tak całą drogę zaczepiał to jednego, to drugiego, aż z południa zobaczyliśmy dworek, a Księżę kłusem ruszyć kazał. Brama przed nim stała ogromna, ciężka, zamczysta, ale się czeladź nasza rzuciła do niej, otworzyła i z pompą wielką zajechaliśmy w dziedziniec.

Można sobie wyobrazić jakie ta kawalkata, nagle jak z nieba spadła, wrazenie zrobiła tam, gdzie jej jeszcze nigdy nie bywało. Ludzie dworscy jedni uciekali, drudzy się na płoty powdzierali, na drabiny, żeby się temu przypatrzeć. Drób, który się pasł w dziedzińcu, kury, indyki, gęsi, pierzchuęły krzycząc, drecząc i podlatując na wsze strony.

W ganku nie było nikogo. Księżę siedział na koniu, a ze dworku dochodziło nas tylko stukanie drzwiami. Nikt nie wychodził naprzeciw.

Księżę wreszcie zsiadł, dał mnie znak i Wołodkowiczowi, abysmy mu towarzyszyli do środka, a reszcie przy koniach pozostać kazał. Otworzyły się drzwi w lewo i w nich Wojski się pokazał, lekko Księciu się kłaniając, a ręką zapraszając do środka.

— Jużem, panie kochanku, myślał — ozwał się Miecznik — że Waszmości w domu nie zastałem, bo nas tylko gęsi i kury przywitały.

— Mości Książę — odparł poważnie gospodarz — co za dziw, żeśmy na przyjęcie nie spieszyli; któż to się pod tą ubogą strzechą takiego mógł spodziewać gościa? Sądzę, że chyba przypadek tu W. Ks. Mość sprowadził.

Nie, panie kochanku, umyślnie przybyłem — rzekł Miecznik — na uczciwość. Krzywdę mi czynicie, że ani u mnie bywacie, ani mnie znać nie chcecie. Turcy mówią, panie kochanku, że gdy góra nie chciała przyjść do Mahometa, Machomet poszedł do góry. Otóż i ja tak, panie kochanku.

Wojski się uśmiechnął smutnie.

— Był czas, Mości Książę — odezwał kiedy Wojzbunowie do Radziwiłłów jeździli, i ich u siebie przyjmowali, ale ten przeszedł. Zeszliśmy na chatę pod strzechą, trzeba się swoją mierzyć piędzią. Mości Książę. Nie mam czem Radziwiłła przyjmować.

— Panie Wojski, niechby córki Jegomości nam tylko twarz zaświeciła. stanie za wszystko.

Wojzbun zasepił się, wyprostował i nabrał wyrazu surowszego jeszcze.

— Mości Książę — odparł — moja córka dla zabawy magnatów nie stworzona; proszę nie wspominać o niej!

— Dla czegoż — spytał książę.

— Dla tego, że W. Ks. Mość w konkury do niej nie przybywasz, a w zaloty ja nie dopuszczę.

To mówiąc się skłonił.

— Niegościnnie mnie WM. przyjmujesz! panie Wojski! panie kochanku...

— Nie mogę inaczej.

— Toć przecie. jeśli nie z grzeczności, to z respektu dla Radziwiłła, który ma pułki i ludzi tyle, że sobie obelgi nie da wyrządzić. wypadałoby, panie kochanku, być grzeczniejszym.

— Wojzbunowie, M. Książę, ze strachu nikczemności robić nie zwykli.

— Panie kochanku — rozśiniał się Książę — dali-pan mnie wyzywacie?

Wojski ramionami ruszył, ręce w kieszenie od kapoty włożył i stał wcale niepornszony.

— Książę mi grozisz?

Miecznik czerwieniał coraz.

— WMość mnie jątrzysz? Przecie koronaby z głowy Wojszczance nie spadła, żeby wyszła się nam pokazać.

— Ani ona, ani ja sobie tego nie życzę — odparł Wojski.

Książę się przeszedł parę razy po ciasnej izdebce, jak gdyby wcale tego do serca nie brał.

— Panie Wojski, panie kochanku — odezwał się — wy tu tak na wsi siedząc. sam na sam z kurami i gęsiami, musicie czytywać dużo historyj starych?

Szlachcic nie zrozumiał, popatrzył się na Miecznika i nie odpowiedział nic.

— He? — spytał po chwili.

— Bo ja właśnie myślałem. panie kochanku. czyście wy czytali tę ciekawą historję o królu czy książęciu hiszpańskim, który był sobie upodobał ubogą szlachciankę kastylską. Otóż, panie kochanku, gdy raz i drugi dziewczyna się tyłem obróciła, a ojciec mu drzwi przed nosem zamknął, panie kochanku, książę się rozjątrzył, pogniewał i powiadają, fatalna jakaś z tego wypadła awantura.

Wojski słuchał.

— Tej historyi wprawdzie nie czytałem — rzekł — pierwszy raz o niej słyszę; ale. Mości Książę. co się mogło trafić w Hiszpanii, za barbarzyńskich jakichs czasów, dziś nikogo nie obchodzi. Dziśby takie książątka powlekli do trybunału, i jak Zborowskiemu łebby ścieli, alboby, jak dymitra, tego co porwał Halszkę Ostrogską, zabił pierwszy lepszy.

Książę zaczerwieniał mocno.

— I... nie—rzekł spokojnie—i...nie. panie kochanku; ja Jegomości powiem co by było: sypnąłby pieniędzmi i szlachtę zagodził, a fantazji pańskiej zadośćby się stało.

Wojski pobladł, a Miecznik zakręciwszy się. czapkę na głowę nałożył i dodał spokojnie:

— Dobranoc Waszeci, panie kochanku. dobranoc, a może do zobaczenia! do zobaczenia!

Wojźbun stał jak skostniały, bo mu gniew słowa jeszcze wyrzec nie dał. gdy myśmy się już wynieśli. na konie wsiedli i kłusowali napowrót do Nieświeża.

Od tego dnia poczęła się wewnętrzna walka w Księciu, i nieustanny spór z temi co go otaczali. Myśmy go opamiętać się starali, inni podbechtywali, a oliwy dolewali do ognia. W sąsiedztwie między szlachtą wieść się zaraz rozeszła o tem. jedni bij zabij na Miecznika, drudzy to w żarty i śmiech obracali. Donoszono do Nieświeża, że się Wojski odgrążał. iż na Księcia obławę ze szlachty zbierze i zapoluje nań jak na odyńca, co szkodę robił w polu. Pewnie to zmyślono, ale Książę się burzył i wołał: — Dam ja mu odyńca! zobaczymy, jak się skończy między nami. Może go prędzej kłem odyniec rozporze, niż on go wzięć potrafi!!

Spokojniejsi ludzie pewnieby go byli umitygowali wreszcie, gdyby nie szajka tych, co wszędzie się biedę potrzebują, aby się na niej pożywić. Ci słówka przynosili, wyzwania, odgróźki coraz nowe, a choć się Księcia od nich strzegło i pilnowało, nie wiedzieć jakimi drogami to się cisnęło do niego. tak, że ledwie z jednego ochłonął, już drugie nie wiem z kąd przyszło, żeby mu nie dać opamiętać się i ostygnąć.

W takiej niepewności i obawie przetrwalimy do jesieni. a nie było prawie dnia, żeby o Wojźbunach mowy lub wspomnienia nie było.

Gdy czas na łowy przyszedł, Książę nakazał na pierwsze miejsce, gdzieśmy wprzód obozowali, tabory myśliwskie prowadzić. Uderzyło to nas tem bar-

dziej, że zwierza w tej części puszczy tak dalece nie było, a gdzieindziej i więcej i łatwiej go było dostać. Ledwieśmy tam stanęli, samo sąsiedztwo Rabki Wojżbunów przypomniało. Zaczęto o nich przebąkiwać, i po kieliszkach, ktos się dał słyszeć. że szlachcic Księciu odprawę dał nie ładną.

Miecznik to posłyszawszy, mruknął.

— Czekaj, sprawa nieskończona, koniec dzieło chwali...

Nazajutrz rano Łowczy zameldował polowanie w odstepie o trzy ćwierci mili od obozowiska.

Książę zaraz z wieczora. co nigdy się nie trafiało. powiedział. żeby myślistwo sobie szło samo, bo on wypocznie. Niesłychana to na owe czasy była rzecz, żeby Miecznik spoczywać potrzebował. Zdziwiło to nie pomалу. Łowczy chciał odłożyć wyprawę, ale Książę nie dopuścił.

— Jedźcie sobie bezemnie, panie kochanku, niech i drugim się co dostanie, żeby się mieli czem chwalić.

Towarzystwo książęce, faworyci i przyboczni dostali rozkaz. żeby też odpoczywali. Markotny był od rana i zamysłony. ale nie mówił nic; wychodził przed namiot. popatrzał na las i wracał. Około południa po myśliwsku się odział. ale bogato i wykwintnie, róg złożony na jedwabnym sznurze przewiesił przez plecy, konie kazał posiodłać i przyprowadzić, a dosiadłszy swego. zawołał:

A co? panie kochanku, pojedziemy Wojżbunównę zobaczyć. Stesknęło mi się za nią!

Wszystkim się jakoś niemiło zrobiło, awantura zdawała się pewna, nikt jednak nie śmiał. ani uwag czynić. ani się przeciwieć. Jak mak siał. zamilkli wszyscy. na koniesmy siedli i pokłusowali za nim. Jemu. ani nam mówić się nie chciało. cała droga zeszła w milczeniu, aż się ów dworek w Rabce Czerwonej pokazał. Pamiętam go, jakbym widział wczoraj. Stał przyparty ogrodem do brzezinki, która się za nim kawał ciągnęła. Szlachecki ubogi domek z wysokim

dachem, dwa słupki chude w ganku, po dwa okna z obu stron jego. Jeden płot opasywał dziedziniec z daleka, drugi pleciony ładnie, pod samemi oknami bronił kwiatków, które przy nich rosły. aby ich przechodząca do studni trzoda nie psuła.

Brama owa staroświecka zasłaniała nam dom w części, bo była mało nie tak wielka jak sam dwór. z daszkiem krytym słomą. zamczysta. obronna. Wy-sadzona wierzbami droga prowadziła do niej.

Zdala już widać było, że wrota stały zaparte. W ganku z rękami w kieszeniach stał, jak się zdawało, sam gospodarz, któregośmy się po makowej kapocie domyślali.

Książę puścił się tęgim kłusem, wprost na bramę; wszyscy za nim. podjechali; hajduk z konia skoczył i rzucił się. cugle mu na kark założywszy, do furtki. aby przez nią się dostać do dziedzińca i wrota nam odemknąć. W tem z ganku głos się silny odezwał:

— A kogóż to tam Pan Bóg prowadzi?

Hajduk niepewny, obejrzał się na Księcia, co miał odpowiedzieć.

— Melduj pana Haraburdę!—zawołał miecznik.

Hajduk powtórzył głosem drżącym.

W tem z ganku znowu spokojnie zawołał Woj-ski.

— Haraburda? siła ich po świecie, jakiż tytuł?

— Stolnikowicz Smoleński!—począł Książę. Stary Wojźbun ponuro i dziwnie się uśmiechał.

— A no! otwórz wrota.

Zaczęły się stare podwoje, piszcząc na drewnianych zawiasach, roztwierać, a nimeśmy dojechali do ganku, stary Wojźbun na chwilę znikł i wnet wrócił spokojny, nasepiony, obok siebie na ławce położywszy strzelbę. Nic to nam dobrego nie zwiastowało.

Pierwszy z konia zsiadł sam Miecznik i dotknąwszy czapki, submitował się.

— Jacek Haraburda, Stolnikowicz Smoleński, w przejeździe z respektem.

— Bardzom wdzięczem—ponuro odparł Wojski, spoglądając na Księcia, z takim wyrazem w twarzy dziwnym, iż na żart to wcale nie zakrawało.—Haraburdów po świecie dużo znam; którychże to waszmość jesteś, tych co robią burdy, czy tych, co szukają guza?

— Ja? panie kochanku—odparł Książę—guzów nie szkam, ale chętnie je rozdaje, jeśli mi się zrzeczność nawinie.

Wojski sucho, szydersko śmiać się począł.

— Mój Stolnikiewicz — rzekł — kto guzy rozdaje ten i oberwać może. Znać, żeście byli w dobrej szkole u Księcia Miecznika litewskiego, boście nawet jego przejęli przysłówie. Wielki to pan, ale mn jeszcze ze dwu guwernerów daćby trzeba, ażeby go chodzić po świecie nauczili.

Spojrzeli sobie w oczy. Miecznik wesa zakąsił, Wojski rękę na strzelbie położył.

— A Waszmość, panie kochanku—rzekł Radziwiłł—z Księciem Miecznikiem nie masz znajomości? to szkoda; onby go polityki i dworszczyzny nauczył trochę.

— Za stary jestem, abym się uczył—odparł Wojźbun—z Miecznikiem ani się wiele znam, ani bliżej poznawać pragnę. Wysokie progi na moje nogi... i... młodego piwa, póki się nie ustoi, nie pijam.

Książę aż drgnął na to młode piwo.

— Jam ci to, jak się Waś, panie kochanku, sam domyśliłeś, przyjaciel pana Miecznika — rzekł gniewnie—coż będzie, gdy mu doniosę, panie kochanku, że go tak niewystałem piwem robicie?

— To będzie, czego sobie właśnie życzę — odparł Wojźbun ponuro — Książę Miecznik mnie tak będzie obchodzić jak ja jego.

— Niekoniecznie, podchwycił gorączkowując się Książę—niekoniecznie, panie kochanku. Ja go lepiej

znam od Waszmosci, może właśnie zażąda się zbliżyć do kogoś, który go nie znając odpycha i znać nie chce!

— Juscież nikogo zmuszać do przyjaźni nie można; na świecie dosyć miejsca dla wszystkich, żeby się łokciami nie potracali. Ja księcia znam mało, ale go ludzie lepiej znają i osądzili tak, że ja zdala się od niego trzymać wolę.

Na te słowa, Miecznik się już pohamować nie mógł, i w bok się wzięwszy, nie zważając na strzelbę, na której się Wojźbun opierał, krzyknął:

— Ludzie go osądzili, ale tacy ludzie jak Wy. Dosyć już tej komedji, panie Wojski: jam do was i do waszej pięknej córki przybył w gościnę... Znacie mnie.

Staremu twarz zapalała i ręka zadrgała, po wszystkich ciarki poszły.

— Do mnie jak do mnie, ale do córki! a wam co do niej? Hola! hola, Mości Książę, ona gości takich nie potrzebuje.

I jedną rękę trzymając na strzelbie wciąż, drugą wskazał na wrota. Książę milczał chwilę, jakby niepewny co poczuć. Obejrzelismy się po sobie, z hajdukami i służbą nie było nas i dziesięciu.

— Radziwiłł, mospanie, panie kochanku, tak się wygnać za wrota nie da!—krzyknął—kiedym przybył w gościnę, to w niej zostanę.

I uderzył się po szablę.

Wojski, który się gwałtu żadnego nie spodziewał i dla postrachu tylko nie nabitą strzelbę chwycił z kołka, a w domu też, jak się później okazało, nikogo nie miał oprócz jednej kobiety i wyrostka, zawahał się, dłoń mu drżała, brwi się ściagały. Ludzie wszyscy byli w polu, nawoływać ich próżno myśleć było. Książę dokończywszy parł się do drzwi, gdy mu je Wojźbun ze strzelbą w rękę sobą zasłonił i głosem od gniewu drżącym począł wołać coraz donośniej:

— Cóż to jest? gwałt? najazd? rozbój w biały dzień? Ani krokiem dalej, Mości Książę. Dom mój jest przy-

bytkiem i świętym dla obcych być powinien, co prawo szanują. Ani krokiem dalej!

Na krzyk ten i hałas, który wewnątrz domu posłyszeć łatwo było, wybiegła Wojźbunówna, jak stała, ubrana po domowemu, z kosami rozpuszczonemi, lecz piękniejsza jeszcze niż gdyśmy ją strojną widzieli. W rękę niosła w pomoc ojcu szablę, o której był zapomniął, czy miała ogniste i śmiało niemi zmierzyła Księcia.

Wojski szablę pochwycił drugą ręką. W tem widząc, że się tu na coś niedobrego zanosi, bo i Miecznik za rękojęść trzymał, towarzysze przypadli i zaczęli Księcia prosić a hamować, żeby się do oręża nie porywał.

— Kiedyście tchórze, piecuchy, guńki! to idźcie do stu tysięcy precz—odparł rozogniony—a ja tu się sam bez was z tym szlachetką rozprawię...

Wojski blady, słowa nie mówiąc, z szablą w jednej ręce, z drugą na strzelbie opartą stał i czekać się zdawał zaczepki. Za nim córka, niezłęknioma wcale, oczyma pełnemi gniewu mierzyła nas, z pogardą. Książę wzrok ku niej skierowawszy, rozsmiał się i ręką posłał całusa.

— Nie potrzebuję już do niegościnnego waszego chlewka dobijać się—krzyknął głośno—postawieni na swoim, bom waszą dziewczkę zobaczył, Mości Wojski. Na ten raz mi dosyć, a poczekawszy zobaczymy, panie kochanku. Jak zechcę, toć Rabka nie forteca, zdobyć potrafię i Rabkę i córkę.. Słyszysz, Wojski, panie kochanku, zapisz to sobie dla pamięci. Córkę Waszeci będę miał, choćby mnie to lichu wie co kosztowało, klnę się. Musi moją być, dziś, jutro nie wiem. Co Radziwiłł powie, tego dotrzyma.

Struchlałemu starcowi słów zabrakło w pierwszej chwili, pobałdł jak trup i pochylił się. Wojźbunówna podtrzymując go, podniosła ścisniętą pięść przeciw nam. Wszyscy staliśmy jak struchleli, gdy

Miecznik odskoczył z ganku, szablę chowając do pochew, zakomenderował:

— Na koni i sam na swojego skoczył.

Braliśmy się do strzemion co rychlej, gdy Wojśki ochłonawszy nieco, strzelbę wlokąc za sobą, szablę podniósłszy, blade, drżący, staniając się wybiegł przed ganek, jak wściekły.

— Słuchaj ty, Mieczniku litewski. ty, co swojemi szalami pocziwe kalasz gniazdo, młokosie ty opętany, jeśli się nogą ośmielisz stąpić na mój grunt. tak mi Boże dopomóż i Najświętsza męko Jego, jak psu ci w łeb strzelę!

Słyszając to u nas wszystkich życia zabrakło niemal, wiedzieliśmy, że Książę takiego despektu nie zostawi nie pomszczonym; było to wyzwanie, którego skutki łatwo nam przewidzieć było.

Książę się rozśmiał. a raczej ryknął jak uiedźwiedź raniony. Drugi raz w życiu słyszeliśmy z nst jego taki głos. pierwszą razą, gdy szlachcica pakuł zabił.

— Stara pałko bez mózgu—zakrzyknął—zapłacisz ty mi to, zapłacisz sowicie. Do miłego i prędkiego zobaczenia, do zobaczenia...

I już spiąwszy konia, spojrzawszy na pannę, której od nst ciągle urągliwe posyłał pocałunki. w cwał puszczając się do wrót, jak nieprzytomny powtarzał: do zobaczenia! do zobaczenia!

Mysmy parli za nim.

Lecieliśmy tak. jak opętani, bez drogi, może jaki kwandrans, jeden hajduk z koniem razem w rów wpadł; dopiero wśród pola Miecznik konia osadził nagle. aż mu pysk zakrwawił i tylne nogi w piasek po peciny się zaryły. Stanęliśmy; Książę pot ocierał z czoła. śmiał się dziko. niezdrowym śmiechem. zębami zgrzytając.

— Słyszeliście. ze psy mnie odprawił — zawołał — i toby jemu i jej płazem ująć miało?... jak Bóg żywy. panie kochanku. nie może to być. chyba Radziwiłłom

jutro świnie paść. Dziewkę wezmę, choćbym głową nałożył, a staremu gębę stulę na wieki wieczne.

Spojrzał po nas jakby chciał, byśmy mu potakowali; ale się nie odezwał nikt. milczeli wszyscy. Co za dziw! mój dobrodzieju, każdy z nas swoją chatę. swojego starego i siostry przypominał.

— Stary łbem to przypłaci! — mówił Książę rozwścieczony — takiej odprawy nie zniosę! To mu nie ujdzie na sucho, lub nie będę Radziwiłłem. Marszcie się na mnie. czy nie—dodał do nas—to mi wszystko jedno. nie pójdziecie wy zemną, spędzę tysiąc ludzi na tego zuchwałego warchoła i...

Jeden stary Parczewski osmieszył się przez zęby wycedzić:

— Wolne żarty, Mości Książę; szlachcic językiem meł, to tam jeszcze nic tak wielkiego. ale się porwać na dom, to wieżę pachnie.

— Choćby i pieńkiem! panie kochanku—podchwycił Miecznik — kto kocha Radziwiłła, ten go nie opuści. a kto parszywa owca, niech do domu idzie spać, pal was djabli.

I konia batem ściągnąwszy, puścił się znowu.

Milcząc. potrwożeni jechaliśmy za nim aż do obozu. Tu jeszcześmy z koni nie zsiadli, gdy Książę kazał zwijać tabor i do drogi do Nieświeża się sposobić.

Nim jednak zatrąbiono raz i drugi na zbór. nim się to wszystko pościagało, nim konie z paszy wzięto. wozy uładowano, namioty poskładano. zaczęło się na dobre zmierzchać.

Wszyscy chodzili jak potrućci. nikt słowa nie śmiał rzec, patrzeliśmy w oczy jeden drugiemu. każdy ważył co ma począć i co go spotkać może.

Wtem Książę winą kazał podawać, choć nikomu pić się nie chciało. bośmy i tak byli gdyby pijani. Z nim jednak teraz spierać się nie było sposobu; gdy kielichy ponalewano. musiał każdy rad nie rad chlipać. Jakoś to nas poniewoli orzeźwiło. dodało mężstwa i poczęliśmy z sobą się naradzać a bąkać co robić? Sta-

rzy zaklinali. aby mu się nie sprzeciwiać i już go nie jątrzyć bo znali tę naturę i krew Radziwiłłowską, że gdy jej tamy stawiają, groble wyrывa.

Mówili — wyszumi się; tym czasem co który do niego zagadał, usta mu zamykał powtarzając nieustannie:

— Despekt Radziwiłła spotkał!... Trzeba szlachcica rozumu nauczyć! Powiada Parczewski o wieży; wolę wieżę siedzieć i n f u n d o. niż oplwany chodzić.

Kazał tedy pić i wypróżniać i nalewać coraz. a gdy mu się opierali i wypraszali niektórzy, do tego przyszło, że podochocony pistoletem groził, taki go był szał opanował.

I nam też w głowach szumieć poczynąło.

Wino bywa dobrym doradcą. ale bywa i najzdrańniejszym. Obóz już był zwinięty. a my na kłodach siedząc przy rozłożonem ognisku, piliśmy i pili. Co którego gąsiora dokończono, Księżę go o pień kazał trzaskać. a sam kielichy w garści dusił, drugimi ciskając gdy je dopił, tak. żeśmy myśleli. iż szkła zabraknie.

Około północks. Księżę wstał, Łowczemu coś począł szeptać. ludzi z obławy natychmiast kazał rozpuścić, dając po tyńfie na głowę. Mysliwych dworu. przyjaciół. służby zostało może głów do pięćdziesięciu.

Noc poczynąta być zimna, ale po winie. mało się tego czuło; gwiazdy świeciły niby. choć mimo to ciemno było jak w rogu, bośmy księżycy nie mieli. Nagle kazano konie siodłać. i hasło w drogę!

— Co ja mam długo czekać i truć się tą obelgą i nościć ją jak kamień za pazuchą?— począł Miecznik— kto zemną trzymać chce, niech jedzie zemną; kto mnie dziś odstąpi. niech mi się nigdy więcej nie pokazuje na oczy. Wóz lub przewóz wolny każdemu. panie kochauku. droga otwarta jak sobie kto pościele, tak się wyspi.

Ze dworu Księcia nikt mu ani myślał stawić

oporu; czeladź, hajduki, dwornia, wszystko to byli ludzie zapamiętali determinowani, z nim i za niego w ogień i w wodę! Dla nich to była gratka i satysfakcja iść na awanturę, bo po niej zawsze się coś za guzy dostało.

My, szlachta i przyjaciele Radziwiłłowscy, samismy nie wiedzieli co począć. Odstąpić go hurmem i dać mu samemu z tą balastrą jechać, zdawało się najniebezpieczniejszem. Każdy z nas wyobrażał sobie, że go jeszcze potrafi od ekscesu powstrzymać.

Chwila dla nas była. Bóg widzi straszna, jakiej w życiu nie pamiętam. Głowy podchmielone, trwoga jakaś, niepewność a razem szal i zapamiętanie. Dworacy i służba poczęli wołać.

— Choćby w piekło z Księciem!

— Prowadź nas, my za tobą!

— Górą Radziwiłł!...

— Górą nasi! i t. p.

Jeden tylko Rejten młody ośmiał się wystąpić. Lubił go Miecznik bardzo. Na koniu już między nami stał, ale konia bułanego mierzynka, jak dziś pamiętam, zmusił się cofnąć na kilka kroków. Jakbym go jeszcze widział: mała, czupurna figurka, łeb wysoki, wąsik czarny zakręcony do góry, oczy wypukłe, czapka na baker, rękę do góry podniósł i począł wołać:

— Książę Mieczniku na rany Pańskie, co czynisz! opamiętaj się! Najazd na dwór, czy to Radziwiłłowska sprawa? Pójdę za tobą w ogień i w wodę, ale nie w błoto, ale nie na rozbój przeciwko bezbronnym. Co ci jest! Książę! opamiętaj się, zlituj!.. Szlachcicowi pogodną godziną, spokojniuteńko damy sto batów; ale na dwór, wara! Dziś na jego dom najedziesz, a jutro na mój, ja w to ręki maczać nie chcę i nie będę.

— A! ty! skóro byczał—krzyknął Miecznik do szabli się biorąc—i ty się smiesz nazywać moim przyjacielem, a nie chcesz żebym mego honoru bronił?

— Nie pozwalam abyś go kalał!—odparł Rejten — wyzwij na rękę Wojskiego, pójdę z tobą, dam się zasiać. ale od kobiety, wara!

Książę podbiegł wprost na niego z koniem, z szablą dobytą; Rejten ani drgnął, stał.

— Bij, siekaj. to ci wolno! to zniosę od przyjaciela; ale z tobą na rozbój nie pójdę, a dopóki mi sił i głosu stanie, hamować cię będę, bo... tak mi sumienie każe.

— Skurczypalko ty, jakiś! — począł Książę wymyślać, unosząc się coraz więcej gniewem i grożąc mu ciągle szablą. Ale poskoczyli drudzy i zasłonili Rejtena a Księcia pohamowali. Rejten powoli konia zwrócił i milcząc na bok stępią odjechał.

Miecznik szablę do pochw schował i mrużąc umitygował się nieco, nie spozierając już nawet w tę stronę, kędy Rejten mn zszedł z oczu.

— Za mną! kto z Radziwiłłem trzyma! — krzyknął i puścił się przodem, za nim wszyscy. Rejten jak był, tak sam jeden w lesie na obozowisku pozostał i do domu pojechał.

Co się później działo z nami, trudno mi opowiedzieć. Cały ten wieczór pomieszał mi się tak w głowie, że mało co szczegółów pamiętam. Dworaków, hajduków, leśnictwa i posłusznego na skinienie księcia tłumu tego na pół pijanego, rozgorzałego, cztery razy tyle było co nas przyjaciół Miecznika. Wszyscy oni wraz otoczyli go i z wraskiem a odgrózkami puscili się ku Rabce Czerwonej.

Nie było sposobu tak go odstąpić, żeby choć największemu nieszczęściu i szaleństwu zapobiedz. Tętniała ziemia pod kopytami koni, lecieliśmy jak opętani. nie jeden się z koniem przewalił, nie jednego strątowano, na oslep się tak darło przez noc czarną, a konie smagano batami. Hałastrą pokrzykiwała.

Zdała wreszcie zamajaczała nam ta nieszczęśliwa Rabka: bo, choć noc była późna, świeciło jeszcze we wszystkich oknach i w dziedzińcu widać było ludzi przesuwających się z latarkami.

Zbliżając się do dworu, zwołuiono kroku, ale się Miecznik nie opamiętał, kto mu słowo śmiał rzec to go popchnął; Łowczemu kazał naprzód dwór ostawić dookoła pocichu, jak na wilki polując, ażeby się żywa dusza wymknąć nie mogła.

Z tego co widać było na dziedzińcu i w domu, łatwośmy się domyślali, że Wojski nastraszoney musiał się z córką w drogę do Słucka lub jakiego innego miasteczka wybierać, wiedząc już co go czeka.

Tak było w istocie. Pakowano wozy, gdyśmy się do parkanu i dziedzińca przybliżyli.

Miecznik sam dysząc i kłując jechał przodem. Aż pod wrota same postępowano w milczeniu, wtem nagle, dokoła rozległy się krzyki, dzikie, ludzie książęcy ze wszystkich stron się w podwórze i na dworek rzucili.

Czeladź bezbronna, która przy wozach się kręciła, garstka mała, przestraszona, pierzchnąć zaczęła, gdzie kto mógł, do obór, do dworu, w krzaki. W ganku tylko pokazał się Wojski z szablą na rękę i ze strzelbą. Za nim córka stała z pistoletami. Oficjalista jakiś mknął pod ławę na ganku i na czworakach się trzymał.

Bramę wyłamano natychmiast, tak, że jedno skrzydło z trzaskiem na ziemię runęło, płoty też walić zaczęto i ludzie wdzierali się ze wszech stron, pieszo, konno, aby prędzej.

Nie zważając na strzelbę w rękę Wojźbuna, który się już przymierzył i celował, książę z koniem dotarł aż ku niemu. Wtem słyszę, rozległ się strzał; dym mi księcia zasłonił, a ludzie wrzasnęli przeraźliwie. Myśleliśmy że, uchowaj Boże, trafiony był Miecznik, bo się na siodle pochylił. Ale nie, patrząc, skoczył z konia i z szablą wprost na Wojskiego, za nim drudzy, czy hamować czy pomagać, Bóg wiedział.

Jeszcze widział jak Wojźbunówna ręką niepewną, podniósłszy pistolet, strzeliła, napróżno, i jak na

Wojzbuna cisnęli się ludzie z szablami, płatając go. Zasłaniał się im, aż... słyszę:

— Jezus, Marja! — upadł na ziemię i wszystko się w ganku zwinęło, skłębiło w kupę, ani poznać przyjacielea od nieprzyjaciela, tylko wrzask uszy rozdziera.

Sądny dzień tam nastał...

Ten i ów jak szalony strzela, bije wywleka ludzi, rwie się, krzyczy. Wojzbunówna przypadła do leżącego na ziemi we krwi własnej ojca; patrzę. a tu z jednej strony Miecznik. z drugiej Łowczy chwytają wydzierającą się, krzyczącą, lamentującą. i niosą gwałtem ku koniom.

Zamęt się wszczął. żeśmy jeden drugiego nie widzieli i opamiętać się nie mogli co się z nami dzieje. Jam z konia nie zsiadł, ale potrącany. pchany, głowę straciłem, mój też kary począł, nie patrząc kogo, tylko nemi nogami bić. A tu dwornia i czeladź rozpasawszy się dokazuje. dom rabują. niosą co kto chce, tłuką znalezionych ludzi.

Nie mogłem już na to dłużej patrzeć; wstręt, żal, ból mnie porwał okrutny, począłem się z koniem wyciskać z tłumu... i obrzydzenie mając do tych okropności. posuwałem się do bramy, żeby uciec z tego djabelstwa i nie patrzeć na nie. Żal mi było tych ludzi, ale żal i pocziwego Księcia naszego, który się uniósł tak fatalnie. W oczach mi się ćmiło, w głowie zawracało, łez miałem powieki pełne, sam nie wiedziałem długo co czynię, anim też się spostrzegł jak koń mnie, czy ja konia wyprowadziłem na pagórek za dwór, gdzie do piero przystanął odetchnąć.

Nie rychłom się rozpatrzył, że. nie wiedząc jak. wjechałem na mogiłki, między krzyże, i nuż się z cmentarza dobywać napowrót na pole. Zły to był o m e n ! W tym samym momencie, czy od kłaków i strzelania, czy od umyślnie podłożonego ognia zaczął się z jednej strony palić dworek. a z drugiej zabudowania folwarczne. Wiatr dął, a że to wszystko stare było, drewniane, suche jak pieprz, więc we trzy pacierze może,

stało całe w płomieniach! Ja stoję a stoję, widzę na tej jasnej lunie, jak szatany czarne uwijają się cienie, już nie wiem rabując czy ratując. Miał widać Wojski zapas prochu gdzieś w izbie. więc nagle jak strzeli i buchnie! Jezus! Marjolo iskry się podniosły na budynki. głównie całe porozlatywały, ludzie wrzasnęli. Kiedy niekiedy krzyk. aż się krew w żyłach ścinała. Zwiększwszy głowę. puściłem już koniowi cugle — idź, nieś dokąd chcesz.

Gdym się rozglądać począł, Księcia Miecznika nie postrzegłem już nigdzie, anim mógł zmiarkować co się z nim stało.

Goryczą i żółcią zapływało we mnie wszystko; największą miałem złość do tych. co głupiem drażnieniem, przypominaniem. podżeganiem do tego nieszczęścia doprowadzili. Wiedziałem dobrze. iż choć Radziwiłłowi wiele ująć mogło bezkarnie. nietylko szlachta. ale panowie Sapiehowie. Ogińscy. Tyszkiewiczze, Masalscy płazem mu tego nie puszczają.

Ani wiem sam jak mnie mój kary. rozumniejszy naówczas odenmie, wywiódł na drogę i sam ją sobie wybierając. bom się na niego zupełnie spuścił. wyprowadził do folwarku na Sierzputowszczyznę. Prawda. że tam często jeździł. z dzierżawcą, niejakiem Szyłejką. będąc od dzieciństwa w przyjaźni.

Noc była głęboka. a raczej na dzień się zbierało. koguty piał, gdym oprzytomniawszy począł się, stojąc pod płotem. rozpatrywać gdzie jestem. O kilka kroków tylko była brama, i wartownik nocny w kożusku na przeciw mnie wyszedł.

Kazałem mu otworzyć, wjechałem. Szyłejko jeszcze naówczas żonaty nie był. nie potrzebowałem z nim ceremonii robić. wartownikowi kazałem do okiennicy zapukać. Nim on się tam śpiących dobudził, czas był rozmyśleć się co powiedzieć. Nie chciałem się wcale z tem wydawać. gdzie i z kim byłem, ani z kąd jechałem po nocy.

Trzeba było kłamać. Szyłejko bosy, w berlaczach. wilczurę tylko narzuciwszy na ramiona, wyleciał przestraszony.

— Co to jest? — zawołał — sam jeden? zkadź? coś się tak przypóźnił? co u kaduka? czyś co spłatał? gadaj!

Weszliśmy do izby; uplotłem mu bajkę z potrzeby, żeśmy z księciem polowali w sąsiednich borach, żeśmy z koniem obłąkał. szukając drogi, tułał całą noc po zaroślach i lasach, i ledwie nad ranem do niego dobił. Zaraz tedy ognia rozpalili. wszedłem do izby i rzuciłem się na tarczan jak nie żyw.

Szyłejko dopiero spojrzawszy mi w oczy krzyknął:

— Ty jak Piotrowin z grobu wyglądasz? Co ci jest? strachus się najadł czy co?

— Zmęczyłem się.

— A pewnieś głodny?

— Mnie i marcypanaby się¹ w tej chwili nie chciało. poprosiłem go tylko o lada jakie poślanie i cokolwiek, choćby kulbakę, pod głowę. Chciał mnie rozpytywać, lecz słowa dobyć nie mógł. Poprosiłem go o kwaśne ogórki, aby wino i żółć przetrawiły we mnie, i ległem spać co prędzej, by się od gadania i kłamania uwolnić.

Na sen mi się wcale nie brało, choć zmęczony byłem jakbym plagi wziął najokrutniejsze, i kości w sobie czułem wszystkie. Przeleżałem z zamkniętymi oczyma do dnia, myśląc i przemyślając co się tam stać mogło i co się jeszcze z tego wszystkiego wywiąże.

Szyłejko wstał zaraz. bo w gorzelni pędził, i woły już miał na stajni, musiał dojrzeć sam, gdy im brzęhę zadawano. Jam leżał i leżał sam, medytując.

Nic się odemnie nie dowiedział. Już dzień był wielki. gdy polewkę przełknąwszy, pożegnałem go i kazałem sobie konia podać; okazało się dopiero po dniu, że miał szpetnie na łopatce oszarpiętą skórę do żywego. Złożyłem to przed Szyłejką na las i krza-

ki... Pojechałem ztąd pomału. nie spiesząc. do Nieświeża. raczej błędząc nie jadąc. odpoczywając. koniowi folgując. Nie pilno mi do biedy było...

Drugiego dnia dopiero stanąwszy, wprost ze szkapą poszedłem do stajni. Pierwszego masztalerza. któremu spotkał, pytam: — A Księżę?

Nie odpowiedział mi nic. Spojrzałem po ludziach: niektórzy z tych, co z nami byli, są. innych nie ma. Wszyscy chodzą nasepieni i milczący. W stajni konia oddawszy. powlokłem się wprost do mojego mieszkania na skrzydło. Ludzi w dziedzińcach było mało. a ci, których spotkałem, twarze mieli dziwne. powywracane. Com którego spytał, bąknął, przez zęby cedząc, mi to ni owo. Nie dziwną się, że mnie widzą, nikt się nie dowiaduję gdzieś bywał...

W oficynie, w sieni zdybuję dopiero starego Piotrowskiego, który z nami był...

— Co słyszać? zmiłuj się...

— A tyś uciekł z placu? — zawołał.

— Ani sam wiem co się ze mną stało. powiedz ty mi!

Wziął mnie na swoją kwaterę i zamknęliśmy się.

— Gdzie Księżę?

— Nie ma go!

— Ale mu się nie stało nic złego?

— To co mogło najgorszego — powiada Piotrowski — bo głupstwo zrobił szalone, które mn się na nic nie zda, chyba na to, żeby ludzką nienawiść przeciw sobie rozbudził a gryzł się potem sam...

— Ale gdzież jest?

— Na folwarku o milę ztąd...

— Porwał Wojzbunównę?...

— A jużciż... Pociechy z niej mieć nie będzie, bo jak szalona się rwie i z błotem go miesza...

— A stary zabity?

— Jeśli żyw, to mu się nie wiele należy. bo go szpetnie popłatano jak szczupaka...

Poczęliśmy oba lamentować, ale co pomogą takie zale po czasie... Wieczorem wybrałem się na pokoje— nikogo. pusto... Wołodkowicz błdził wiasa krećac, oczy w ziemię spuściwszy. Chodził jak chmura z piorunami, a co usta otworzył. to kłął.... Spojrzał na mnie. ja na niego.

— A co?

— A co?

— Nic!—ruszył ramionami--skaranie Boże i kwita.

Wziąłem go na stronę, zaklinając, żeby mi wszystką prawdę powiedział...

— Mów... proszę... jak jest i jak się to skończy?

— Co ty chcesz? — rzekł niecierpliwie. Żle się stało. a Bóg jeden wie jak się skończy.

Od niego się też dowiedział. że Wojźbunównę zawieźli na folwark. i że Księżę jej nie odstępował. Co się tam działo, nikt nie umiał powiedzieć. ale zmartwieni byli i powarzeni wszyscy. Część ludzi z Księciem została i folwarku pilnowała. W Nieświeżu pustki były i cisza. Tak minął dzień. dwa. ba i tydzień cały, a księżę się nie pokazywał. Przysyłano tylko po różne rzeczy i ludzie się na służbie mieniali. Przed obcymi mówiono. że Księżę był na polowaniu. ale niewiadomo w jakie udał się lasy. Ósmego dnia zrana. gdym nie spiesząc się ubierać, o godzinie dziewiętej jeszcze w opończy siedział. przyleciał Piotrowski do mnie.

— Księżę powrócił!

— A cóż?

— Nic nie wiem. ale jest.

Poszedłem tedy na służbę.

Na pokojach było dosyć ludzi. Miecznik nierychło się pokazał. Spojrzałem zdaleka i znalazłem go zmienionym: twarz miał obrzękłą, oczy czerwone. czoło chmurne, posępny był i milczący, jak człowiek nie rad z siebie. Ten i ów wystrzelił z konceptem. nie roześmiał się wcale. Pogrzebowe były humory.

Po obiedzie dopiero. tu i owdzie sznurkując. po-

cząłem się dowiadywać i przekonałem, że Wojżbunówna—uciekła. Jakim się to sposobem stało, nikt jeszcze nie wiedział, posądzano różnych, że jej do tego przez litosć dopomogli, lecz wszyscy się uniewinnili. Trzymał ją Książę na folwarku, dom był cały ostawiony do koła, przy drzwiach i oknach dzień i noc strażę. Nikt oprócz jednej panny garderobianej i Księcia do niej nie wchodził.

Pomimo to w tydzień po przywiezieniu jej tam zniknęła. W alkierzu przy pokoju okno było wyjęte. a ci co pilnowali, leżeli pod niem pijani tak, że się ich dobudzić nie było podobna. Później się okazało, że narzeczony panny, Dulemba, nie mogąc jej ratować siłą, pracował różnemi sposoby. dopóki jej nie uwolnił.

Rozesłano pogonie na wszystkie strony i trakty; Książę sam chciał pędzić, lecz nigdzie nie było ani śladu.

Tak się ta smutna tragedia szlachecka skończyła na pozór, na twarzy księcia Miecznika i w całym obejściu się jego, humorze, zostawiwszy po sobie ślady. Opryskliwy się stał, dumny, gniewny, i nierychło go to obeszło.

Miałem naówczas wioszczynę zastawem w Nieświeżczyźnie, z łaski Księcia, uprosiłem więc sobie konia i pojechałem spocząć do domu, aby licha zapomnieć.

Po szlachcie szeroko się rozniosła wieść o napadzie na Rabkę; na Księcia pioruny rzucali niektórzy, odgrążali się i wywoływali, że mu to kiedyś odpłacą, ale ci, co z Radziwiłłów żyli, bronili też zajadłe, w śmiech i żarty obracając całą sprawę. Pamiętam jednego pocziwca, co na całe gardło wołał: Gdyby Księciu Jegomości zachciało się mi wykraść moją Kachnę albo Julisję, auibym mruknął; tać to posag pewny. a mężówby znalazły na kopy. Jednakże nie wszyscy to tak brali. Jam milczał, Bogu tylko wiadomo co mnie to kosztowało. Księcia kochając, a nie mogąc mu tego przebaczyć. Tydzień na wsi siedziałem zamknięty. gryząc się a desperując. Przyjechał do mnie, do-

wiedziawszy się, że w domu, Szyłejko i zaraz na progu pogroził.

— A toż i ty tam był—rzekł—a przedemnąś zmiłczał! nieporozumiał!

— Gdzie? jak co?—chciałem się wykręcać, nie było sposobu.

Szyłejko mruknął tylko:

— Niech Bogu Książę dziękuje, że go kula nie trafiła, na którą zasłużył.

Od Szyłejki się też dowiedziałem na pewno, że Dulemba pannę wykradł i do Wilna ją odwieziono. gdzie Wojźbun także z ran się wyleczył. a doktorowie obiecywali, iż go na nogi postawią. W starym życia było tyle. iż mimo ran i strasznego krwi upływu, mimo boleści jaka go dotknęła, przychodził do siebie.

Wszyscy sądzili powszechnie, że teraz proces kryminalny Księciu wytoczą, i lada dzień, co godzina woźnych i pozwów się spodziewano. Zdawało się to tak nieuchronnem, iż się tylko dziwiono opóźnieniu. Posyłano na zwiady daremnie: ile się razy jaki prawnik pokazał w Nieświeżu, myślano, że od Wojźbunów. Miecznik wiedział, iż przypłacić musi i to nie mało, jeśli się zechce od wieży, od infamii może i przykrego świecenia oczyma uwolnić. Tymczasem ów proces nie przychodził, ani słyszać było o nim.

Przebywszy jakiś czas na wsi mojej, gdy mi się zanudziło i zatęskniło za Nieświeżem, powróciłem tam, żeby się czegoś pewniejszego dowiedzieć, bo po wsiach same chodziły plotki.

Zastałem wszystko po dawnemu. Na oko nie było zmienionego nic. porządek i obyczaj zwykły, szlachty gotowej na wszelkie usługi pełen zamek i pokoje. Poszedłem i ja się Księciu pokłonić.

Chociaż udawał wesołość, znać było, że się nie swój czuł, blady był, zasępiony. i lada najmniejsze przeciwieństwo wpadał w taki gniew, że ludzi strachem nabawiał.

Z założonemi w tył rękami, chodził po całych dniach z pokoju do pokoju. a gdy kto do niego przemówił, dwa i trzy razy powtórzyć musiał, nim go Książę zrozumiał.

Zobaczywszy mnie:

— Zguba się znalazła—rzekł —a gdzieżeś to ty bywał. panie kochanku?

— W domu się trochę gospodarowało!

Głową pokręcił i poszedł odemnie. Nie okazał mi ani żalu, ani gniewu. owszem łaskaw bardzo był dla mnie. Dowiedziałem się, że do Rejtana posyłał Wołodkowicza, żeby przyjechał do Nieświeża. zaklinając się, iż złego słowa nie powie, bo żalu doń nie ma. Ale ten nie prędko się tu znowu znalazł, bo sam miał żal, którego się pozbyć nie mógł. Drugiego dnia sam mnie zaczął:

— A może tobie czego potrzeba na gospodarstwo? nasienia pewno dobrego nie masz? to gadaj.

Podziękowałem za łaskę, ale obsiać się było. dzięki Bogu. czem.

Przez cały dzień przyglądając mu się z daleka. czytając z jego twarzy, łatwom wyrozumiał. że cierpiał. tylko się z tem ukryć pragnął, bo nie lubił, aby go konsolowano, i w sobie wszystko przetrawiał. Koncepta wymyślał, choć mu się nie udawały. Śmieli się z nich tylko ci, co gotowi byli i płakać dla łaski pańskiej i na pogrzebie tańcować. Tych on nie lubił, choć ich znosił przy sobie, a przy okazji niemiłosiernie się z niemi obchodził.

Wszystko się jakoś nie wiodło, i myśliwstwo i zabawy. i pijatyka. i teatr, i muzyka. Wymyślano różnej różności, nic w smak nie szło. Proces jak miecz Damoklesa wisiał nad głowami, bo zdawał się nieuchronny. Zato czy się bywało wózek przed oficyny, albo pokaże jaka figura nowa którą można za kauzyperdę wziąć zdala, wnet posyła Książę: kto? z czem? Byle się drzwi otwały a nowa twarz w progu, ot i pozwy. Gotując się do tej sprawy, ludzi, co byli na polowaniu, aby nie

było komu świadczyć, porozsyłano po różnych dobrach Radziwiłłowskich; były i konferencje prawników, i narady jak się bronić, i wszelkiego rodzaju wcześniej przedsiębrane ostrożności.

Tak upłynęło jakoś miesiący kilka i powoli ludzie się uspokoiili. Jednego ranka wpada do mnie Wołodkowicz, oznajmując, że Księżę sobie życzy, abym mu towarzyszył mającemu w jego interesie jechać do Wilna.

— A no, dobrze, skoro Księżę każe.

Anim się spytał nawet z czem i po co jedziemy? Co mnie do tego? Gęba Wołodkowicza miała odpowiadać za wszystko, a ja'm był tylko dla bezpieczeństwa i straży około szkatułki dodany.

Poszedłem na zamek, Księżę mi powtórzył:

— Jedźże, panie kochanku z Wołodkowiczem, żeby się w drodze biedactwo nie nudziło; będziecie sobie w warcaby lub marjasza na zdrowaski grać mogli.

I Wołodkowicz i Księżę pędzili niezmiernie; ledwieśmy się uwinęli ze śniadaniem. konie i służba stała w pogotowiu. Do pieniędzy zawsze dodawano hajduków. po jednym. po dwu. barczystych chłopów. coby się i djabła nie ulękli. Mieliliśmy ich też przy sobie. Konie były doskonałe bieguny. a o kości nasze mało komu chodziło. więc jazda poszła rażno. Wołodkowicz ze mną po swojemu i po młodemu baraszkował, żartowaliśmy. pletli co ślina do gęby przyniosła; o Wojźbunównie nikt i nie pomyślał. bo to się prędko na świecie wszystko zapomina. Już pod samem Wilnem. stanęliśmy na popas w karczmie w lesie. aby tylko konie wytchnęły. Tymczasem zerwała się burza wiosenna i jak to one mają zwyczaj. nad lasami hulać, a sosnom łby kręcić, gdyśmy sądzili, że rychło przeuuienie, szalała do wieczora. Piorun walił po piorunie. jodły się paliły jak świece. a myśmy się tylko patrząc zegnawali, bo ot. ot zdawało się w karczmę palnie. Nie było sposobu wyruszyć. aż Wołodkowicz kląć zaczął słotę. Dotąd nie miarkowałem z czem jedziemy.

— A cóż bo ci tak pilno? — zapytałem — Wilno nie uciecze.

— Mnie ono nie pilno — rzekł — ale Księcin. i dla niego bym już rad być z powrotem. Sprawa mu ta dogryza, że spoczynku nie ma.

— Jakaż to sprawa? — spytałem.

Wołodkowicz był w dobrym humorze i usta mu się rozwiązały.

— Alboż nie wiesz? — począł — przecieżeś w tej biedzie z nami był, jeśli nie do końca, to na zagajeniu. Tać to nie o co idzie, tylko o tę nieszczęsną Felisję Wojźbunównę i o Rabkę Czerwoną. bodajbysmy ich byli nie znali!

Dopiero się rozgadał, że książe za Wojźbunówną jeszcze szalał, że mu jej i ojca żal było. że na smutku niespokojny. że nie mógł się dotąd nkoić i krzywdy im wyrządzonej sobie przebaczyć. Chciał koniecznie naprawić to. o ile było w możności.

Może, gdyby był szlachciec. obyczajem pospolitym. proces mu wytoczył. wziąłby na kiel i bronił się: lecz doniesiono Księciu. iż Wojźbun stary z ran się wylerczywszy, gdy go adwokaci namawiali na rozpoczęcie sprawy, miał im odpowiedzieć, nie jeden raz, ale po kilka razy powtarzając:

— Nie do sprawiedliwości ludzkiej, ale do Bożej się uciekam. Nie pozwę Radziwiłła przed trybunał inny. tylko na sąd ostateczny, przed tego Sędziego, co wszystkich nas sądzić będzie na Józefatowej dolinie. Po co nam pozywać? Iba mu nie zetną. a córki mej wstydu, moich utrapień i krwi mi wylanej nie wynagrodzi mi niczem. na toby całej Radziwiłłowszczyzny nie stało. Nie żądam od niego nic... Bóg pomści mnie. Nie poszanował mojego dziecka, nie będzie miał dzieci. uurzu bezpotomnym!

Księciu to wszystko powtórzono: mławał. że się śmieje ale mocno wziął do serca. Naprzód przez plebipotentą posłał Wojźbunom pięć tysięcy czerwonych złotych. które Wojski ze wzgardą i oburzeniem od-

rzucił; teraz ponownie przez Wołodkowicza wyprawa już piętnaście, byleby z Wojźbunami polubownie skończyć.

Wiedziano o tem, że Dulemba chciał się z panną zenić i na kolanach ją o to prosił, aby go nie odpychała: ale Wojszczanka odpowiedziała mu. iż do niczyjego domu sromu swego wniesć nie chce i nigdy nie pójdzie za nikogo.

Książę się tem gryzł, tak, że spać, ani jeść nie mógł, wołając nieustannie: — A niechże mnie kto od tych Wojźbunów raz uwolni! Dam, co zechcę.

Wołodkowicz, ufając swej swadzie i zręczności. dał słowo Księciu. że na starym zgodę wymoże. a mu nie chciał mieć za świadka, aby potem ludzie nie mówili. iż trudu skąpił, lub tym podobnie. Długośmy mówili o tem. Wołodkowicz ręczył. iż nie było jeszcze nigdy przykładu. aby Książę co tak wziął do serca.

Uważałem. że mój towarzysz do zbytku sobie ufał; wyjechał z Nieświeża z tą pewnością, iż Wojźbuna nie w ten to inny sposób weźmie; ale gdy ja zaczął wątpić, i on jakoś zmilkł z przechwałkami. Teraz i jemu się już to coraz mniej łatwem wydawało.

Burza się nie nstatkowała aż pod noc. Mieliliśmy przed sobą lasy same i piachy straszne, po których noga za nogą wlec się było potrzeba; jednakże Wołodkowicz podnocowawszy, konie drugi raz napoiwszy. gdy burza ustała. przed świtem ruszyć kazał. Tak drzemiający dowlekliśmy się do Ostrej Bramy, gdy się godzinki poczynaly. Tuśmy się wysiedli pomodlić. Ludzi było niewiele. przedemną tylko klęczała kobieta w żałobie grubej. młoda jeszcze. której twarzy dojrzeć nie mogłem, ale piękna figura pańska i jakas szlachetność w niej. kazała się domyślać bodaj jakiej księżnej *incognito*. Gdy śpiewanie się skończyło. a kobieta wstała i obróciła się ku nam chcąc odejść, poznałem w niej Wojźbunównę.

Zimno mi się zrobiło, gdy mnie oczyma zmierzyła. Coś w niej takiego było, jakby z grobu na pomstę wstała i do żywych nie należała; piękności nie ntraciła, ale owa młodość i wesele, jakimi czarowała dawniej, ustąpiły jakiejs takiej powadze nroczystej, że mi się zdała niby męczennicą, z pierwszych wieków chrześcijaństwa, o których w Żywotach Skargi czytywałem. Miała na sobie majestat boleści, a dla chrześcian przez boleść odkupionych, jest on na ziemi największym z majestatów i ma w sobie potęgę wielką.

Caluteńka była w czerni i zasłonie czarnej, przy której twarz gdyby marmur błyszcziała. Ażem się cofnął, a Wołodkowicz też ją poznawszy zżymnął się, jakby upiora mściwego zobaczył. Może być, że i ona sobie jego twarz przypomniała, gdyż njrzeliliśmy ją w tył się też cofającą, jakby na węża nadeptała, i co miała iść podług nas, obeszła zdaleka, nawet oczu już na nas nie podniósłszy.

Gdyśmy i my wstali, pieszo za bryczką idąc do Bernardynów, bo Wołodkowicz w żadnej gospodzie, dla pieniędzy które wieźliśmy, stawac nie chciał, rzekłem do niego:

— A co? zły o m e m, twarz Wojszczanki i jej strój nic mi dobrego nie wróżą.

Wołodkowicz uśmiechnął się, że fantazji nie traci, ale na prawdę i on już mniej sobie ufał.

Poszliśmy tedy do klasztoru, gdzie nas ojcowie, jak nie można lepiej, przyjęli. Szkatułkę zaraz hajducy odnieśli do Gwardyana, a my unywwszy się i przyodziawszy, ruszyliśmy na zwiady.

Na przyjaciółach Radziwiłłom w Wilnie nie zbywało, co krok tu było wspomnienie ich zapisane, a ludzi im oddanych i klientów domu ćma nieprzeliczona. Poszliśmy naprzód do Kardynalii, gdzie Księżę kazał widzieć się i radzić z niejakim Harkiewiczem. Była to na pozór mała figura, ale przez niego się wielkie rzeczy robiły. Harkiewicza tytułowano Pisarzowiczem, bo choć był stary i siwy, własnego tytułu żadne-

go nie miał. U Radziwiłłów też ani plenipotentem, ani prawnikiem, ani żadnym oficjalistą nie był. Dawano mu od niepamiętnych czasów mieszkanie na tyłach w Kardynalii, i z kasy rocznie, tytułem gratyfikacji wypłacano złotych tysiąc. Harkiewicz, choć na pozór nic nie znaczył, obawiali się wszyscy jak ognia. Ktoby nań patrzył, wziąłby go za najniewinniejszego w świecie człowieka. zdawało się, że nigdy nic nie robił i na nic się nie oglądał, a wiedział wszystko.

Z rana szedł naprzeciwko do kościoła św. Jana na prymaryę każdego dnia, nie chybiając nigdy, zawsze jednakowo ubrany, kontusz niezmiernie długi po kostki, szabelka mała, czapka bardzo wysoka pikowana i stercząca, wąsik, jak sznureczek, twarzy pół lokcia, gęba szeroka, zamknięta i zaciśnięta, jakby go przez pysk płatnął i zaszył. Z kościoła zaraz w prawo do garkuchni szedł na piwo grzane ze smietaną, bo kawy nie lubił; polewkę przełknąwszy, ulicą wprost przed Ratusz na Imbary, i tu słota, czy pogoda, spacerował. Gdy lato, w sieni ratuszowej szukał sobie schronienia.

Obiad zawsze jadł u przyjaciela, niejakiego Hanusza, który był urzędnikiem przy magistracie; poczem odbywał już do późnego wieczora pielgrzynki niby bez celu, po ulicy niewielkiej, od sklepu do sklepu, z każdym się wdając w gawędkę, około zamku, po kanoniach i t. p.

Znali go w Wilnie wszyscy jak zły szeląg, ale ni komu on tam nie szkodził, nikt doń zęba nie miał, oprócz sług Radziwiłłowskich, na których miał baczne oko.

Gdy od niego list przyszedł, było to znakiem, że się coś stać musiało ważnego, bo pisywać nie lubił, i będąc zmuszony, gryzmił jak knur, że trudno było odczytać a trudniej zrozumieć. Miał taki sposób wyrażania się zagadkowy, że trzeba się z nim było znać, aby dociec, co chciał powiedzieć. Najczęściej w liście samym nie było nic, dopiero w przypisku stała enigma.

Harkiewicza. dopytawszy na tyłach jego mieszkania, nie zastaliśmy, a całe drzwi były zapisane kredą nazwiskami osób. co nas poprzedziły. Kawalek kredki na ten cel uciepiony był na sznurku. Musieliśmy iść go szukać pod Ratusz. na Imbary. Po pikowej czapce wysokiej Wołodkowicz go poznał w tłumie. Zbliżył się.

Czołem. czołem! zkądże Bóg niesie?

— Z Nieświeża.

— A Księżę?

— Zdrow. kłaniać się każe!..

Wołodkowicz się doń zbliżył i począł mu coś do ucha szeptać. na co on nic nie odpowiedziawszy. zapatrzył się na stragan przekupki blisko stojący.

— Niech-no pan zobaczy — zawołał wskazując na sznurku figi — jakie to u nas w Wilnie przedziwne owoce włoskie sprzedają. warto im dać gęby... Takich a Nieświeżu nie dostanie.

Znając dziwaka. Wołodkowicz się rozśmiał.

My tu. panie Pisarzowiczu, nie potosmy przyjechałi.

— Wiem. wiem, na kółduuy! no i to się znajdzie.

Popatrzałiśmy nań — stał, głową przerzucając na wszystkie strony.

— Czy uwierzycie państwo — zawołał — jakie to dzieć czasy nastały! Ludzie zgłupieli zupełnie. Wczoraj na moje oczy widziałem Łazarowicza, któremu burmistrz Hendrych dał w ncho, ale zlekka, jak on za to pięćdziesiąt czątych odmówił. Pieniędzy jak plewy.

Tymczasem szliśmy dalej. Wołodkowicz począł rozpytywać o domek na Zarzeczu, w którym Wojskiego szukać trzeba było.

— Ino na dach patrzcie, — rzekł Harkiewicz — gdzie dudki siedzą. tam ich pewno znajdziecie.

Nie było sposobu dopytać nic, a tu czas upływał.

— Kazał nam Księżę się z panem poradzić — zakończył mój towarzysz — cóż nam radzicie?

— Hm? co ja radzę? — odparł Pisarzowicz. Gdyby Książę się mnie był spytał o radę, temu pół roku. mógłbym ją być znalazł; teraz, ta kieszeń, w której nosiłem rady, przedarła się i wszystkim pognił po bruku.

— Wiesz co, — odezwał się do Wołodkowicza wskazując — jeżeli chcesz, poradzimy się indyczki.

Indyczką zwano przekupkę siadającą z różnymi rnpieciami na Imbarach. Wyglądało to na żarty, ale od Harkiewicza znosić trzeba było wszystko. Wziął pod bok Wołodkiewicza i poprowadził go do przekupki.

— Jejmość! Sławetna pani Pawłowo — zawołał — przyszlismy do niej po radę.

Indyczka się wzięła w boki i patrzyła na nas, co raz to nosem pociągając, bo chustki znać zapomniała w domu.

— O cóż to Jasnym panom chodzi? — spytała.

— Jeden mój znajomy sumienie sobie okaleczył — rzekł Harkiewicz — co tu na to robić? Przykładaliśmy plaster złoty, nic nie pomaga; co gorzej, kalecząc siebie, drasnął i czyjegoś honoru... Tamten sobie nic przykładać nie daje.

— Hm? Co waćpan macisz, płaczesz po swojemu, panie Pisarzowicz! — krzyknęła przekupka — daj ty mi święty pokój z sumieniem, i ustąp się. bo ludziom łokieć mój zasłaniasz.

— Widzisz asindziej — dodał Pisarzowicz — kiedy pani Pawłowa rady dać nie umie, cóż ja dopiero, będąc sto razy od niej głupszy! Ona ma kamienicę na Łotoczku, a ja w komornem siedzę na Kardynalii.

Mieliśmy już odchodzić. gdy Harkiewicz wziął Wołodkowicza pod rękę.

— Chcesz rady? idź, zjedz flaków z imbirem. napij się dobrego wina. przejdź się po zamkowej górze, wykap się w Wilii. konie popas. piernika kup na gościńcu i wracaj do Nieświeża, a mnie do nóg Księcia Jegomości racz złożyć.

To mówiąc odszedł.

Myśleliśmy, że pół waryata — i nie oglądając się, poszliśmy na Zarzecze.

Wojski mieszkał u krewnych, w nędznym dworku starym, pokrzywionym i brudnym. Ledwieśmy się do niego dopytali. Wojźbumowie stali na pięterku niskim, do którego się po wschodkach lichych w ciemnościach drapać było potrzeba. Zapukaliśmy do drzwi, i Wołodkowicz nie czekając pozwolenia i nie pytając wszedł. Stary leżał na łóżku, ale ubrany, nikogo przy nim nie było. Obok na stoliku książka od nabożeństwa, a na niej różaniec kapucyński. Ręce miał pod głowę założone, twarz wybladłą i pozapadaną, po skroniach żyły jak sznury. Dość nań było spojrzeć, aby ochota odeszła od konwersowania.

Spojrzał na nas długo, i poznawszy znać kłaniającego mu się Wołodkowicza, wstał szparko, jakby go sprężyna podniosła, zadygotał, siadł, rękami się wspierając obiema na łóżku.

— Czego ty tu chcesz? czego? czego? — zakrzyczał — pokoju mi i tu jeszcze nie dajecie? wy. Radziwiłłowscy służalce! Znam was wszystkich, na twarzy wam wypisano, żeście się ludźmi być wyrzekli, wiem z czem przychodzicie! Tyś Wołodkowicz przyjaciel od serca tego Miecznika, który ani serca nie ma, ni sumienia. Imię nosisz szlacheckie, pocziwe, a lokajską pełnisz służbę. Czego chcesz? co ci twój pan kazał powiedzieć??

Wołodkowiczowi krew twarz zalała.

— Panie Wojski — rzekł jakając się — i wiekowi pańskiemu i żalowi się przebacza obrażające wyrazy. Służę Radziwiłłowi nie dla chleba, ale dla przyjaźni. Posłuchaj pan: Książę chwilowej krewkości swej żałuje. Każdy człowiek uledez może gorączerce i zapamiętaniu. Bóg raczy wiedzieć, czyście go sami do tego nie doprowadzili. Aleć wszelki żal i gniew ma miarę i granice.

— Są takie żale, którym miary nie ma — odrzekł Wojski wzdychając. — Spokoju u was tylko proszę, więcej nic. Dajcie mi pokój! zapomnijcie o mnie!

Uciekłem od waszej bandy aż tu, a i tu mnie ścigacie. ludzie bez sumienia, ludzie bez litości!

— Panie Wojski — przerwał Wołodkowicz — ja posłem tylko jestem. posłów ni wieszają. ni ściągają, książę Miecznik...

— Nie wspominaj mi go! Czego to zwierzę dzikie chce odemnie? Niech będzie spokojny! Nie pozwę go przed ludzi, wiem to dobrze, iż Wojźbun z Radziwiłłem, choćby najświętszą miał sprawę, to jej nie wygra. Nie potrzebuję od niego nic. Powiedzcie mu jeszcze raz wy, co mu już musieli odemnie mówić drudzy, co powtarzam zawsze; Ja, Wojźbun, pozywam go przed trybunał szechmocnego i Sprawiedliwego Boga, za krzywdę moją! Na ziemi z nim i do niego nie mam nic, rozprawimy się gdzieindziej. Jest Bóg! jest Bóg! — dokończył ręce podnosząc ku niebu.

Wołodkowicz przejęty chwilę zmilczał.

— Panie Wojski — dodał opamiętawszy się — ja przynoszę panu od Księcia przyznanie się do winy. w imieniu jego proszę was o przebaczenie. Nie ma grzechu, którego by skrusza nie zmasała.

— Ale są takie, za które całe życie pokuty nie starczy — przerwał Wojski. — Sprawy tej ani on, ani ja. ani ludzie sądzić nie będą, ale Pan Bóg!

I powtórzył z wyrazem takim, że mu dreszcze przeszły:

— Jest Bóg! jest Bóg!

Wołodkowicz pomieszany, już nie wiedział z jakiej beczki zacząć.

— Panie Wojski — odezwał się obcesowo — nie ma tu co długo rozprawiać. Za szkody zrządzone w Rabce, za spalony dwór i zabudowania, Książę przysyła przezemnie piętnastcie tysięcy czerwonych złotych.

Usłyszawszy to Wojski, w furii, zerwał się z pięściami ściśniętymi z łóżka, i począł rękami rzucać.

— Pieniędźmi, pieniądze chce mi płacić ten krezus obrzydły! — zakrzyczał — u was się wszystko na dukaty redukuje; cześć, pocziwość, rany, łzy, spokój,

wstyd, honor. wszystko! Znikczemnieli magnaci nauczili was wszystko sprzedawać i za wszystko brać pieniądze, alem ja jeszcze się rodził. gdyśmy inni byli — i pokazał nam drzwi.

— Precz!

Wołodkowicz stał cały w potach, a co się ze mną działo przez ten czas, nie wypowiem, krew mnie ogniem w twarz piekła. Gdyśmy się z miejsca nie ruszali, Wojski podniósł głowę i powtórzył nakazująco:

— Wynoście się ichmość, proszę, tu nie karczma, za drzwi! za drzwi!

— Panie Wojski — zawołał Wołodkowicz — na miłość Bożą was zaklinam, ochłońcie z gniewu. dla miłości Chrystusa przebaczcie.

— Nigdy! — czekał Wojski ponuro — nigdy! Moje rany i krew moją przebaczyłem dawno, ale sromu imieniu memu zadanego, ale ohydneho gwałtu, porwania mojego dziecięcia, nigdy, przenigdy! Gdy konać będę, a ksiądz mi nakaże przebaczenie dla zbawienia. zbawienia się wyrzeknę a nie daruję, bo nie mogę! bo gdybym rzekł: przebaczam, skłamałbym, a Bóg widzi serce moje! Nie! Wyzywam go na Sąd Boży, bo na ziemi dla mnie nigdzie sprawiedliwości nie ma. Ząb za ząb, dziecko za dziecko. Zejdzie bezdzietny, powiedz mu to, jeśli ty sumienie masz Wołodkowicz: pozrywam go na sąd Boży!

Mówił już i powtarzał jedno, jak nieprzytomny, a ręką wskazywał na drzwi...

Wołodkowicz uparty ani się ruszył. Wtem drzwi. zaraz przy łóżku będące od drugiej izdebki, otworzyły się i weszła Wojżbunówna w czerni, taka, jakeśmy ją widzieli u Ostrej Bramy, a może straszniejsza jeszcze. Patrząc na nią nie było podobna, takim splendorem żaloby i rozpaczy była okrytą; takim. że gdyby z nim wyszła przed trybunał złożony bodaj z samych Radziwiłłów, osądziłiby za nią, a potępili Miecznika.

Nie potrzebowała słów, by się skarżyć, dosyć jej stanąć było i okazać się. Oczy miała zapadłe,

wyplakane, twarz błądą, usta sine, brwi ściągnięte. Ubrana jakby po zakonnemu, wyszła przez drzwiczki uchylając głowę, potem podniosła się, wyprostowała, ręce założyła na piersi i stanęła, śmiało patrząc na Wołodkowicza, który się kroków parę cofnął.

— Nie dręczcież ojca mego — rzekła głosem, w którym jakby łyzy czuć było — nie dosyć wam tego coście na dom i głowy nasze zaniesli? Czy chcecie go dobić? mnie dobić, aby występku śladu nie zostało? Nie mogąc szablami, dorzyniecie nas słowami i wstydem. Gdzie uciec od was? dokąd się schronić? Już na tej ziemi kąta spokojnego nie mamy.

I odwróciła się ku ojcu, który stojąc blady, drżał.

— Idźmy my ztąd — dodała — gdy ich się pozbyć nie można.

Wojskiemu znowu się ręka podniosła i wskazywał na drzwi. Spojrzeliśmy na siebie, nie było tu co dłużej popasać; skłonił się Wołodkowicz zły i kwaśny, poszliśmy. Obu nam pot zimny ciekł z czoła; kawał uszliśmy Zarzeczem, nim słowo się z ust dobyło.

— Cóżem miał czynić? — wybuchnął wreszcie Wołodkowicz. Byłeś świadkiem. Z niemi żadnej rady nie ma. Daremna rzecz! złe się stało, zapomnieć o tem potrzeba; póki oni sami nie ochłoną i refleksya im nie przyjdzie lepsza.

Uszliśmy zaledwie kilka kroków. gdy patrzymy. stoi w pikowanej czapce Harkiewicz, jakby na nas czekał.

— Piękny dzień, mocpaneńku — zawołał zdala — chodziliście pewnie do łaźni? Na Zarzeczcu dawniej łaźnie były sławne i postrzygaczów dużo mieszkalo.

Nie było mu co odpowiadać, przyłączył się do nas, a po chwili zapytał Wołodkowicza:

— Domyślam się, że musieliście z sobą przywieść złoty plaster, o którym nie wiem czy ja mówiłem, czy Indyczka, ale mniejsza o to... Jakiej on jest wielkości. czy nakryje całą ranę?

Nam już było tak markotno, że Wołodkowicz bez ogródki odpowiedział:

— Mam z sobą piętnaście tysięcy czerwonych złotych.

Harkiewicz się za głowę pochwycił. a bardziej za czapkę.

— Jezusie Nazareński zawołał—ileby to pocziwej szlachty i szlachcianek za te pieniądze kupić można!

Szliśmy milczący.

— Wiesz asindziej co? — dodał Harkiewicz — jest tutaj niejaki Dulemba. biedne, pocziwe chłopczysko, któremu jedna panna odmawia swej ręki pod tym pozorem, że się jej raz niedźwiedź dotknął. Co ona temu winna, co on temu winien. tego ja nie wiem. Niedźwiedź poszedł w las i po barciach miód sobie wydiera. Gdyby tego Dulembę skaptować. możeby się na co zdało

— Ani mnie. ani Wołodkowiczowi nie trafiło do przekonania, ale nie sprzeciwialiśmy się i poszli do Bernardynów na obiad. Z tej aprehensji, jakieśmy doznali, ani on, ani ja nie tknęliśmy nic. Postawił przed nami gwardyan gasior wina, tyle tylko żeśmy podchmielili ze smutku. Wołodkowicz zamiast szukać Dulembę, do którego nie wiedzieć jak było przystąpić. wziął na rozum i po stole poszedł do Gwardyana. przed którym całą sprawę mógł wypowiadać, a nie była też ona tajemnicą. Począł go prosić, czyby on, jako osoba duchowna, nie mógł pośredniczyć do zgody.

Brał już to na siebie sam, jeśliby się księdzu ta interwencya udała. że mu przyrzekł pięćdziesiąt fur legominy w jesieni i dwadzieścia pięć baranów.

Gwardyan podjął się zrazu ochotnie bardzo, zawinał się wnet i poleciał. Myśmy tymczasem na miasto poszli, do znajomych, na oględziny.

Odbывał się właśnie jarmark Ś.-Jerski, można było różnych rzeczy dostać; więcemy się po budach włóczyli, a potem po mieście. co krok znajomych spo-

tykając, z Lidzkiego szczególnie, i co krok: — Jak się masz? Co ty tu robisz? Góra z górą! — Natrafiliśmy tu i na Szylejkę, który przyjechał za pokupkami do domu, a na prawdę, żeby się rozerwać, bo oprócz trochy szafranu, migdałów i rodzenków i kandyzowanego cukru, więcej podobno nic nie zawiózł na Sierputowszczyznę. Szylejko całą sprawę znał, z Dulembami był dobrze, przyszło mi na myśl przez niego spróbować z młodym się zetknąć. Szylejko przyrzekł go przysposobić, ale zapowiedział, iż pono nic z tego nie skorzystamy, bo Dulembie panna już drzwi zamykała, widzieć go nie chce nawet, i zapowiedziała mu, że ani za niego, ani za nikogo w świecie za mąż iść nie chce. Dulemba lamentował, rozbijał się, pod oknami próżno błdził.

Przyrzekł mi Szylejko, że nas jakoś sprowadzi, bośmy jemu pomagać byli gotowi, byle on nas wspierał nawzajem. Wołodkowicza już korciło nazad do klasztoru i niedługo zabawiwszy kopneliśmy się oba, Furtjanaśmy spytali, czy już Gwardyan powrócił? Odpowiedział, że jeszcze nie. Im dłużej bawił, tem dla nas lepsza zwiastowała się nadzieja. Chodziliśmy oczekując na niego, i różnym świętym obrazom po nad drzwiami cel się przypatrując. Już nieszpory się kończyły, gdy nareszcie chód dał się słyszeć i nasz poseł się pokazał; ale z miny zaraz widać było, iż nic nam dobrego nie przynosił z sobą. Otworzył drzwi celi milcząc, weszliśmy za nim, spuścił kaptur, dobył chustki z rękawa, czoło otarł, westchnął.

— Przepadła legomina i barany! — zawołał — nic nie zrobiłem!

I ręce rozpostarł.

— Bóg widzi, szło mi o łaskę książęcą więcej niż o jałmużnę, przemawiałem rzewnie do ojca i do córki (otarł znowu pot kroplisty z czoła). Kamienni ludzie, powiadam wam, kamienni! Nagryzłem się, namęczyłem, nahuczałem, darmo...

Cóż więcej pytać było?

Nazajutrz przyszło skosztować Dulemby: pocciwy chłopiec spił się z nami i spłakał. Wołodkowiec mu się zaklął, że panna oprócz tego, iż ją gwałtem porwano... i na ludzkie narażono języki, nie miała Księciu nic do wyrzucenia. bo ją szanował. Żal było Dulembie i jej, i tych piętnastu tysięcy, ale próżno próbował, zaklinał, prosił; dano mu odprawę. Staliśmy dwa dni czekając i nim się posługując. Wreszcie u panny otrzymał andencję, ale po to tylko, aby mu zaprzysięgła, iż uiczyją nie będzie.

— W lat dwadzieścia—rzekła mu—ludzieby mogli dzieciom naszym przypominać, iż ich matka porwaną była przez dzikiego magnata i w jego mocy zostawała. Niech pamięć tego nieszczęścia na nikogo nie spada, niech ona ginie zemuą.

Tak się nasza niefortunna podróż skończyła, i zyskałiśmy na niej tylko tyle, żeśmy pannom nieświeżkim pierników przywieźli z jarmarku.

Wołodkiewicz jak do Wilna pędził. tak potem do Nieświeża na raku lażł; nie pilno mu było, jak to mówią po prostu:—kpa oberwać—a tego był pewnym.

Droga, choć w najśliczniejszy czas wiosenny, zesłała nam smutnie i nudno. Przybywszy do Nieświeża, jeszcześmy z bryczki zsiąść nie mieli czasu. gdy Książę przysłał dworzanina, aby Wołodkiewicz, jak stał do niego spieszył. Jam do stancji poszedł, nie mając po co iść na burę.

Wieczorem Książę się nie pokazał, mój towarzysz chodził milczący, wása pokręcając i w sufit patrząc. Dowiedziałem się tylko od niego, że książę kazał te piętnaście tysięcy złożyć w depozycie u Bernardynów. a Wojskiemu przez plenipotentą oznajmić iż one tam leżeć będą. aby je zabrał kiedykolwiek zechce.

Lecz upłynęło pono lat pięć. czy więcej, gdy Księciu przyszło w kontrakty płacić komuś, a pod ręką naówczas nie było pieniędzy; wypadkiem sobie przypomniano te piętnaście tysięcy. Kazano zapytać,

czy jeszcze były? Bernardyni odpowiedzieli, że się o nie nikt nie zgłaszał.

Doszło do Księcia, iż go stary Wojźbun pozywał przed trybunał Boży i przeklinał na bezdzietność; z początku jeszcze nie brał tego tak do serca, potem coraz więcej. Po pierwszym ożenieniu Księcia, które się nie powiodło, jak wiadomo, począł Wojźbunówkę przypominać i przed swoimi zaręczał, że mu ona z pamięci nigdy na chwilę nie wychodziła. Sam będąc z ponfałymi, często wdychał i powtarzał:

— Nie ma dla mnie, nie było i nie będzie kobiety jak ta jedna. Małom ją widział, krótko znałem. a w sercu mi się zapisała, iż jej wyrugować nie mogę.

W ciągu następnych lat znacznie się Książę nstatkował i spoważniał, hulanki w Nieświeżu coraz były rzadsze.

Zdawało się, że czas zatrze wspomnienie tej nie-szczęśliwej godziny, lecz wszyscy to zważali, iż księciu się tęskniło bez żony, a amory mu wszelkie tylko dysgnst sprawiały.

W Rabce Czerwonej przez lat kilka nikogo nie było oprócz dzierżawcy, który ją na nowo odbudowywał. Później dowiedzieliśmy się, iż Wojski z córką powrócił na wieś. Księcin także zaraz o tem doniesiono. Żyli Wojźbunowie tak zamknięci, iż Wojski stary, który się już ledwie włóczył o kiju, umyślnie za dworem małą kapliczkę w brzezince pobudować kazał, ażeby do kościoła jeździć nie potrzebował. W domu u siebie żywego ducha nie przyjmowali. sami też ani za wrota nie wychodzili. Nikt ich nie widywał, oprócz włóścian i jednego oficjalisty. O pannie mówiono tylko, iż jak wdziała żałobę zaraz po wypadku, tak jej już nie zrzuciła i nosiła się zawsze czarno a w kirze, w sukni jakby zakonnej, z paciorkami n pasa. Tego co opowiem, sam też świadkiem byłem, nie od ludzim się dowiedział — ciągnął dalej Wiśniowski — więc mogę poprzysiądz sumiennie, iż tak było a nie inaczej. Może gdyby mi to kto mówił, nie spełnabym

dał wiare, ale oczom i uszom własnym, jakże jej od-
odmówić?

Przez te lata, Książę coraz jakośna mnie łaskaw-
szym był, a że się przekonał, iż milczeć umiałem a
byłem doń szczerze przywiązany, zwierzał mi się
często takich rzeczy, o których i najbliżsi niewiedzie-
li; kochał ich, ale paplaniny się obawiał. o mnie zaś
wiedział, że jak mi palec na ustach położył, milczałem
jak grób.

Dobrych lat kilka upłynęło od owego najścia na
Rabkę Czerwoną, gdy Książę jesienią z małym pocz-
tem wybrał się w te same lasy na polowanie. Kazał
mi jechać z sobą. szlachty też było dosyć, a strzel-
ców z fuzjami sznurkami powiązanemi nie brakło.
Wieczorem jakoś, w Sobotę, gdyśmy już po polowaniu
odpoczywali, na którem nikt z nas w oczy zwierza nie
widział, i na śmiech jeden ubił wiewiórkę, Książę
mnie kazał zawołać do namiotu, pod którym. kompanii
się pozbywszy. siedział sam jeden.

Zastałem go ubranym, ale nie tak jak do łowów:
szabla u bokn, kontusz. żupan. twarz miał jakąś po-
ruszoną niespokojną.

— Wiśniowski — rzekł. zobaczywszy mnie podno-
szącego płotek i wchodzącego do izby — szykujno się.
pojedziesz ze mną.

— Dokąd, Mości Książę?

— A zaraz: dokąd? co tobie do tego, panie kochan-
ku. pojedziesz ze mną, to dosyć; odziej się przystoj-
nie, żebyś Radziwiłłowi wstydu nie zrobił. W odwie-
dziny jedziemy. ty i ja. samotwór. Konie już kaza-
łem wyprowadzić za bór, aby nas odjeżdżających nie
sposprzeżono. bo niepotrzeba... Znajdziesz mnie za
Męką Pańską. na drodze. Tylko żwawo panie ko-
chanku.

Poszedłem duchem się przeodziać. choć nie bar-
dzo było w co. i pobiegłem wnet, ani się domysławiać
dokąd i po co jedziemy. Gdym kłusem zdyszany, pod
Bożą Męką dopadł, Książę już na koniu siedział.

Obejrzał się tylko na mnie, i nimem się strzemiesienia uczepił, pókłusował już polem.

Dopędziłem go o staje. Jechaliśmy bez drogi. Konia parę razy popędził Księżę i poczęliśmy biedz wyciągniętego, nie patrząc czy rów czy dół, czy miedza; to już końska była sprawa dawać sobie z tem radę. Ani słowa do mnie nie zagadał, jam też nie śmiał. Jechaliśmy długo, poczęło się powoli zmierzchać. Okolicę doskonale znałem: zmiarkowałem zaraz, że ku Rabce jedziemy, i zrobiło mi się zarazem straszno i przykro.

Po kiego licha budzić takie wspomnienia. kiedy to już przyszło i przebolało?

Wtem i Rabka nowa się pokazała. Księżę proscintenko się na dwór kierował. Oczom nie chciałem wierzyć, myśląc tylko, co to z tego będzie?

Podjechaliśmy pod wrota. stał chłop koło nich. Księżę słowa nie mówiąc zsiadł przed bramą, na mnie skinął, jam też zeskoczył, oddaliśmy chłopu konie, a sami po cichu weszli boczną furtą w podwórze.

Tu nikogo nie było, cicho, sroki siedziały na płocie, kilka gęsi piło w kałuży koło studni. We dworze w jednym oknie już się świeciło. Okiennice jeszcze nie były pozamykane, więcemy nawet widzieć mogli. co się wewnątrz działo. Siedział na krześle Wojski przed kominem, a córka tak samo ubrana jakieśmy ją w Wilnie widzieli, w czerni cała. stała przy nim sparta na poręczy. Księżę popatrział, rozmyślać się zdawał jeszcze, widziałem jak się przeżegnał i ku sieni postąpił.

Mnie, rad byłem czy nie, cofnąć się nie było sposobu. Zapukawszy zaledwie zlekka do drzwi, Księżę otworzył je i wszedł. kołpak zdejmując zgłowy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Oczy Wojskiego i córki podniosły się nań, i osłupieli.

Na twarzach ich bladość trupią postrzegłem i przerażenie; Wojówna drgnęła i na tył się po-

chyliła nieco. jakby oczom wierzyć nie chciała. Wojski nie mogąc wstać. niespokojnemi rękoma chwycił za poręcze.

Milczenie trwało minut parę. Księżę u progu stał. patrząc na pannę. z wyrazem błagającym o litość. prawie z pokorą. choć to cnota była nie Radziwiłłowska.

— Mości Wojski—począł powoli—masz bezbronnego winowajcę przed sobą. Przyszedłem tu samotwór. abyś się na mnie pomścił jako chcesz. a winę mi darował. Byłem prawda szalonym panie kochanku. ale widzicie. że za szaleństwo pokutować umiem. Nie darmo tu u waszego proga stoję; wiem. że popełnionej krzywdy inaczej nagrodzić nie mogę jak... prosząc o rękę panny Felicji... i ot ja. Radziwiłł. panie kochanku. uniżam się przed Wacpanem. żądając abyś mnie przyjął na zięcia.

Wyrzekłszy te słowa. Księżę odetchnął. jakby mu wielki ciężar spadł z serca. patrzył i czekał.

Wojski milczał jak przybity. uszom nie wierząc. Jam się wpatrzył w pannę. której bladość powoli ustępowała. kolory jej powracały. oczy się zaczynały iskrzyć; cofnęła się krok w tył. rzuciwszy ramionami. Ojciec popatrzył. jakby na nią odpowiedzieć zdawał. Oczyma. nic nie mówiąc. musieli się rozumieć z sobą; aż Wojski począł:

— Wielki honor dla mojego domu. wielka to cześć zaprawdę. po sromocie wielkiej. ale w tej sprawie ja nie roztrzygam.

Wskazał ręką na córkę.

— Mów ty.

Felicji oczy zapalały.

— Jabym miała rękę oddać temu co mi cześć odjął—zawołała—nigdy! W sercu zamiast poszanowania i miłości. mam wżgardę i nienawiść. która w nie wrosła. której nigdy wyrwać nie potrafię. Nie żoną-bym była. ale nieprzyjacielem domowym i mścicielem

honoru mojego. Nie nigdy! Zapóźno, Mości Książę, dziś to wygląda na urągowisko.

— Bóg mi świadek, panie kochanku—zawołał Książę—mówię szczerze, przybyłem tu jako skruszony pokutnik. Obraz Waćpanny pokoju mi nie dając, ścigał mnie ciągle, w sumieniu go mojem nosilem... kocham pannę Felicję.

Wojszczanka okiem mściwem i gniewnem rzuciła na Księcia, wzruszyła ramionami i chciała nie mówiąc wyjść. Wojski, który znać też pozostać nie chciał, wyciągnął ku niej rekę, bo już bez podpory i pomocy chodzić nie mógł. Zbliżyła się więc do niego, aby się spaść na jej ramieniu.

Widząc, że oboje z izby chcą przed nim uchościć, Książę się zmieształ i począł wołać:

— Panie Wojski! na miłosierdzie Boże na rany Pańskie was zaklinam, panno Felicjo, miejcież acanstwo litość nademną, ażeby ją Bóg miał nad wami. Nie chcecie mnie, odpychacie, znoszę afront ten jako zasłużony, choć go nigdy żaden z moich antenatów nie doznał, gdy się o pamięć krwi księżniczki starali; ale powiedzcież mi przynajmniej, że mi przebaczacie. O przebaczenie prosi Radziwiłł!

Wojski nie miał czasu nst otworzyć, gdy się Wojzbunówna odwróciła.

Mości Książę, nie do nas, ale do Pana Boga iść trzeba o przebaczenie. Za spowierane życie ludzkie i cześć należy pokuta. Cierp WMość jak my cierpielimy i cierpiemy. Widzisz żalobę, która mnie okryła na całe życie; noś ją także, niech ci smienie dojadą jak mnie srom gniecie; niech ci Bóg przebaczy, ja nie mogę...

Zwróciła się doń żywo:

— Chybabym cię konającym widział!—dodała, może bez myśli.

Tem słowem rzuciwszy mu w oczy, wyszła, ojca drżącego prowadząc z sobą. Zostaliśmy sami w pustej izbie.

Książę stał chwilę jak skamieniały, patrząc to

na ogień. to na krzesło puste. Nierychło się opamiętał, ręką potarł po czole; kołpak był mu na ziemię upadł, podniosłem go i podałem. Machinalnie zgniótł w rękę. obejrzał się. odetchnął i wyszliśmy na podwórze.

Ciemno było i cicho. Książę, który podówczas w sile wieku był i nie zachwiał się nigdy, ledwie się na nogach trzymał; omackiem wysunęliśmy się z sieni, nie mówił słowa do mnie, powoli ku bramieśmy się skierowali, ja za nim. Jużesmy dochodzili do niej, gdy głowę do mnie zwrócił i rzekł sucho a porywczo:

— Ani słowa o tem, rozumiesz. panie kochanku, milczeć.

Za furta stróż stał z kołmi w rękę, Książę sięgnął do kieszeni. wyjął garścią nie patrząc co o ile. i rzucił mu; siedliśmy na konie, i ruszyli zwolna. Obejrzałem się nkradkiem na dworek i oświecone okna w izbie ani w ganku nikogo widać nie było.

Przez drogę zrazu nic do mnie nie mówił. z głową spuszczoną na piersi jechał, koniowi cugle puściwszy; konie też nas. nie my je prowadziliśmy napowrót.

Gdyśmy na goscinięc wydobyli się, odetchnął i zatrzymawszy konia zrównał się zemną.

— Teraz panie kochanku. jam już nic nie winien: szlachta głupia, wola ich! W sumieniu się czuję wolnym i przekleństwa ich ścigać mnie nie mogą. Czegóż u kaduka więcej jeszcze żądają?? Co ty mówisz?

Ja nie mówiłem nic. Książę wyzywał.

— Cóż mam powiedzieć? — rzekłem — Jeśli Książę się czujesz spokojniejszym. Bogu dziękuję.

— Zupełnie spokojnym. panie kochanku. Wiele mnie to kosztowało. alem na sobie wymógł. Dziewka mi się podobała. ożeniłbym się; mitra Radziwiłłowska dosyć wielka. by wszystko pokryła, nawet ich ładajackie szlachectwo! panie kochanku! Wielka mi rzecz. Wojźbmowie! pał ich djabli!

Tak się uspakajał i zagadywał mnie razy kilka, choć znać było, że się jeszcze gryzł i nie rad był temu co się stało; powtórzył mi potem, abym milczał. Ciemną nocą dojechaliśmy do obozn. U Bożej męki postawiony masztalerz oczekiwał na nas, tuśmy zsiadli, konie mu oddali i pieszo poszliśmy do namiotów; na rozstaniu Książę jeszcze się raz zbliżył do mnie. rękę mi położył na ramieniu i rzekł cicho:

— Ani słowa o tem, panie kochanku, nikomu, proszę. Jutro każe, aby ci od Ś. Wojciecha dożywociem puscili Wiskitki.

Schyliłem mu się do kolan. ale nie patrząc już na mnie, do namiotu wszedł i znikł.

Mnie znajomi cały wieczór po obozie szukali, po lesie hukali, myśleli, żem na polowaniu się gdzie obłąkał i w puszczy został. Gdy się pokazał, sypnęli się do mnie z pytaniami, gdzieś był? Ale się dla miłości Księcia i Wiskitek wyklamał. że na przełaj przeszedłszy pod psy, w lesie błądziłem. Wierzyli czy nie, tak to się zatarło, domyślali się co kto chciał.

Nazajutrz powróciliśmy do Nieświeża. Bóg wie co się Księciu stało: napadła go jakoś w rychle ochota do zabawy wielkiej, do hulanki, udawał tak wesołego. jakeśmy go dawno nie widzieli. Na zamku dzień w dzień prawie assamble, bale, fety, koncerty, a co amatorów było pozaczynanych i niepokńczonych. zliczyć trudno. Może mu się zdawało, że pamięć tej nieśczęśliwej przygody w sobie zagłuszy, choć w istocie odżywiało ją to tylko więcej.

Nastąpiły w krajn wypadki, które w istocie o wszystkim na świecie zapomniećby zmnsiły, gdyby Książę sumienia poczciwego nie miał, które mu nieustannie winę popełnioną przypominało.

Słyszeliśmy go nieraz po winie i w największym ferworze, z tem imieniem Felisi na ustach. Towarzyszyło mu ono w naszym tułactwie po świecie i powróciło z nami do domu. Lata nplywały, Książę ile razy mu co na pamięć Rabkę przywiodło, zżymał się i stę-

kał na myśl o Wojźbunach. Czasem lada słówko przy padkiem wyrzeczone, imię podobne, twarz, najmniej-sza okoliczność, nawet polowanie, przypomniało Woj-szczankę... oczy zaraz spuszczał, i widać było, że się jeszcze z sobą nie pogodził.

A gdzież już, gdzież z nami były lata naszej młodości! Trafił się ubogi chłopak jakiś, tyle tylko, że Wojźbuna mający nazwisko. w żadnem nie będący po-krewieństwie z tamtymi: Książę go na dwór wziął, do wojska promował, jurgielt naznaczył i o własnem dzie-cku pamiętał.

W Rabce zaś, Wojźbunów dawno już ani śladu nie było. Wojski w parę lat po tych naszych nocnych odwiedzinach zmarł; panna Filicja, jak mówiono, fol-wark zaraz komuś sprzedała i z okolicy się wyniosła bez wieści. Głucho coś mówiono o tem, jakoby do Wilna poszła i do klasztoru wstąpiła.

Gdysmy po długiej naszej niebytności powrócili do Nieświeża, któregośmy się prawie oglądać już nie spodziewali, drugiego dnia mnie Książę posłał do Rab-ki o Wojźbunach się wywiadywać, gdyż o śmierci sta-rego mówiono ni to ni owo. Pojechałem do szlacheica co wioskę kupił, ni przypiął ni przyłatał się go czepiając, aby się nieznacznie prawdy dowiedzieć. Wróciłem z czem pojechałem, bo nowy dziedzic od plenipotentą nabywszy folwark, o bożym świecie nie wiedział. Po-wtórzył mi tylko, iż od ludzi słyszał, ut fama fert, że panna Felicja zaraz po zgonie ojca do klasztoru wstąpiła.

Tylem mu przywiózł,⁷ ale to go nie zaspokoilo; powiedział mi, iż da sto czerwonych złotych temu, kto mu się dokładnie dowie, co się z Wojźbunówną stało. Ale to już były stare dzieje, i żeby dwieście książę obiecał, niktby się na nie nie pokusił, chyba kłam-stwem, a jabym ich też nie zrobił. gdyby nie przy-padek.

Pojechawszy do Wilna za sprawą książęcą, a był czas gorący, skorciało mnie licho, zmęczonemu, chło-

dniku dopadłszy, nim się uraczyc. Byłem głodny bardzo i niepomnierniem go użył. Ledwie od miski wstał. poczułem, że mi coś niedobrze. Wziąłem się do mojego zwykłego lekarstwa, wódki z pieprzem, ale i to już nie pomogło. Rzuciło mnie tegoż dnia w taką opętana febrę że nazajutrz w malignie ludzi nie poznałem. Chłopcom tylko jednego miał z sobą, i to takiego słamazarnika, że siadłszy przy mnie, ręce łamał. płakał a rady żadnej dać nie mógł. Gdy paroksyzm cokolwiek odszedł, nie było innej rady, musiałem się kazać zawieźć do szpitala do Panien Miłosiernych.

Dali mi tam, jako książecemu słudze, izdebkę osobną, schludną, i tyłkom w niej legł. weszła panna starsza z drugą siostrą obejrzeć mnie, co mi jest i czego mi potrzeba. Poznali zaraz że febra, ale nie dobra. Mnie zaś, mogę powiedzieć, że na chwilę choroba odstąpiła, gdym na pannę przybyłą ze starszą popatrzał. Nie mogłem od niej oczu oderwać, tak mi się coś w jej twarzy przypominało.

Ale gdzie i jak ja ją widziałem, tegom sobie nie mógł na żaden sposób przywieść do pamięci.

Ona też popatrzała na mnie, jakby jej coś twarz moja mówiła, ale wprędce zwróciła się do panny starszej, która właśnie dysponowała co mi dać i co ma czynić ze mną.

W kilka godzin po położeniu się w szpitalu, przyszedł drugi piekielny paroksyzm tego febrzyska, a uaprzód ziębienie takie, że mi zęby dzwoniły, potem srogi ból głowy i gorączka do nieprzytomności.

Co się naówczas zemną działo, anim wiedział, aż nazajutrz, gdy osłabiony obudziwszy się, otworzyłem oczy i ową siostrę znown ujrzałem siedzącą przy łóżku mojem.

Wpatrzyłem się w nią, nim spotrzegła, że się przebudziłem, i jakby mnie nagle olśniło, poznałem w niej, zmienioną bardzo, Wojźbumównę.

W istocie ona to była. Wiek na twarzy jej zostawił ślady, ale coś jej z dawnej piękności pozostało.

Byłem i pewnym siebie, i wątpilem zarazem; chwila-
mibym przysiągł. tom się wahał. Po chorobie nie bar-
dzo wierzyłem oczom. Postanowiłem ją wybadać.

Febra też nie ustąpiła zaraz, choć mnie jakąś
goryczką okrutną, żółtą, gęstą i brzydką poili ciągle.
tylko się po trosze paroksyzmy zmniejszały. Drugiego
dnia, gdy mi się ciągle ta Wojżbunówna roiła. ozwa-
łem się do siostry siedzącej przy mnie, pytając jak
jej było na imię.

— W zakonie Marja—rzekła i popatrzała na mnie
uważnie.—Gdzieś ja waćpana widziałam, ale niepo-
mnę gdzie?

— I mnie się to zdaje — odparłem — ale gdybyś
siostra była tą, którą sądzę. łatwobym powiedział
gdzie i jak, i kiedy widzieliśmy się. Mnie się zda-
je, jakbym przed sobą miał pannę Felicję Wojżbu-
nównę, córkę Wojskiego z Rabki Czerwonej.

Zarumieniła się, wzdrygnąwszy na to imię, za-
wahała nieco. ale wnet dodała śmiało:

— Tak jest, byłam nią, byłam. ale dziś służą je
stem Bożą i ubogich służą... w zakonie Marja.

Spuściła oczy, milczeliśmy.

— Nie ma więc już tu co przeszłości przypomi-
nać—rzekłem—ale ja pannę Wojszczankę oglądał
we dwu godzinach jej życia, których do zgonu nie
zapomnę.

Zaczęła drzeć, lzy jej się z oczu potoczyły, po-
rwała za chustkę, ale nie rzekła słowa.

— Byłem tego nieszczęsnego wieczora w Rabce.
za który Księżę nasz do dziś dnia pokutuje i zapo-
mnąć go nie może. Prawda. zem patrzeć nie chcąc
na to co się działo, uszedł z placu. Byłem i tego
wieczora, gdy przyszedł sam ze mną prosić o prze-
baczenie i o rękę waćpanny, a obojgu otrzymać nie
mógł.

Zdawało się, że siostrze Marji słów zabrakło,
lzy się tylko po cichu toczyły na złożone ręce białe.

łe. Jam trochę z gorączki, a trochę od serca mówił dalej:

Gdy już Pan Bóg tak zrządził, żem tu siostrę spotkał, bo nie co innego w tem widzę jak wyraźną wolę Bożą, niechże mi się godzi z tego korzystać, i powiedzieć jej, iż Księżę do dziś dnia losem się jej niepokoi. Pan Bóg mi świadkiem, że gdyśmy po tułactwie do domu powrócili, posłał mnie zaraz do Rabki, abym się o państwo dowiadywał, a że tam nic mi powiedzieć nie umieli, naznaczył nagrodę za to, kto mu pewną przyniesie.

Siostra Marja milczała ciągle ze spuszczonei siedząc oczyma.

— Wszystko to przeszło — rzekła — zapomniane. pogrzebione. Cierpiałam sama tyle, iż nauczyłam się cierpiącym ulgę przynosić. Widzicie mnie szczęśliwą. Wiedział Bóg co czynił, ciernistą drogą prowadząc mnie ku sobie.

I tak, coraz ciszej mówiąc, szmerem prawie niedosłyszczanym skończyła, a podawszy milekarstwo, wyszła zaraz.

W chwilę potem już ją inna siostra zmieniła przy mnie, znać umyślnie, gdyż się lękała, abym jej tych dawnych wspomnień znowu na pamięć nie przywodził. Siostra Walerja była bardzo wesoła staruszka, nad potrzebę rozmówna. Zacząłem się ją wypytywać o siostrę Marję, jak dawno była w zakonie i czy od nowicjatu w Wilnie poczęła, wzmiankując tylko o tem, iż z naszych stron pochodziła. Zaczęła mi się tedy rozwodzić z wielkimi nad nią pochwałami, jak to była osoba przykładna, pobożna i cnót pełna, że ją w zakonie nad inne powszechnie poważano i szanowano. i że ją podwakroć panną starszą wybrać chciano, ale przełożenstwa przyjąć nie chciała. Dodała, iż gdy który klasztor porządku potrzebował a pilności, tam ją posyłano, a rzadko długo na którym miejscu pozostać mogła, tak wszędzie pożądaną była.

Rozgadała się staruszka, ręce składając a ledwie ją świętą nie czyniąc. Przekonałem się z jej mowy, iż w klasztorze o niczem nie wiedziano.

Febra ta paskudna dwa tygodnie mnie w szpitalu trzymała, alem już siostry Marji nie zobaczył, pilnowały mnie inne. aż na odchodnem. uparłem się jej podziękować i pożegnać.

Wyszła więc z infirmerji ua korytarz do mnie.

— Jeśli się tam kto w istocie na świecie mną zajmuje — rzekła — jak waćpan twierdzisz, na Chrystusa pana proszę was i zaklinam, nie powiadajcie wcale o mnie. Niech ludzie zapomną, jakbym już w grobie była.

Tego ja uczynić nie mogę — odpowiedziałem — gdyż wiadomość ta *privatim* księcin udzielona, nikomu nie może zaszkodzić. siostrze przykrości żadnej uczynić, a klasztorowi korzyść przyniesie.

I takeśmy się rozstali.

Gdyś. jak z krzyża zdjęty, powrócił do Nieswieża, zastałem pana naszego w dobrym humorze; począł sobie ze mnie żartować. żem się jak baba febrze dał i na łaćnińską poszedł kuchnię. kiedy mi łaćno było. przy pierwszym paroksyzmie pozbyć się tego licha końskim lekarstwem. W Nieswieżu ją tak kurowali, krupnikiem z wódki z imbirem i pieprzem tureckim; bywało że czasem z chorobą i chorego nie stało. ale kto mocny, wytrzymał i wstał zdrów.

Wieczorem widząc go tak w dobrem usposobieniu, gdyśmy się sami zostali. a on mnie począł o Wilno pytać, czy się Kardynalia nie zwała, czy Bekieszówki kto do kieszeni schowawszy nie wyniósł. czy się nieboszczykom Radziwiłłom pochowanym u Bernardynów kłaniałem i t. p.. odezwałem się:

— Wszystko to dobrze. Mości Książę. ale ja u W. Ks Mości mam dług!

— Ty, u mnie, panie kochanku! a to coś osobli-

Ostatnie chwile.

wego!—zawołał chyba ci za to trzeba zapłacić. żes u mnie Wiskitki wziął?

— Nie, mości Książę, ale Radziwiłłowskie słowo dla mnie święte. a jam się dowiedział gdzie Wojźbunówna, i mam sto dukatów.

Rzucił się tedy. i przystąpiwszy do mnie, położył mi ręce obie na ramionach.

— Cóżes się ty, panie kochanku. dowiedział?

Dopierom mu wszystko wyspiewał. Słuchał milczący, kazał sobie jej słowa powtarzać opisywać jak wyglądała. ale zaraz posunął.

— Na imię Wojźbunówny — rzekł — trzeba klasztorowi wyznaczyć zasilek. dopóki jej ycia. Wasan mi to urządzisz, aby ona o tem nie wiedziała. tylko panna starsza. Sto dukatów wysłużyłeś sobie. i to ci, panie kochanku. jutro zapłacić każę. jeśli w kasie pieniądze są, bo ty sam wiesz. że u mnie teraz grosza ze świecą szukać trzeba.

Taką mi historję opowiadał Wiśniowski. dodając jeszcze o Dukembie, iż długo napróżno konkurując o pannę, wreszcie abszyt z wojska wziął i na wsi zakopał się przy starym ojc. Potem się już nie ożenił wcale. Siedział na wsi i piosenki młode spiewał powzdychiwając. wierny tej pierwszej miłości. której się nie pozbył nigdy. Księciu o nim doniesiono i radby go sobie był w jaki sposób pozyskał. lecz nie znaleźli na to sposobu.

Nigdy noga jego nie postała w Nieświeżu. a gdy na drodze bywało spotkał się z Księciem. poznawszy po dworze. przesadzał rów i w pole ruszał. żeby na niego nie patrzeć. Książę był z tego markotny w początku, a na ostatku gniewny ale jedno ni drugie nie pomogło.

*

*

**

Siedzieliśmy z Wisniowskim do późna przy kieliszkach, bom jeszcze butelczynę u piwniczego wyprosił. Nazajutrz Księżę, co pokrzepionym się miał czuć po długim śnie, bo na dzień zasnął, niemal do południa, obudził się słabszym. Finke puls znalazł tak małym, iż się go ledwie domacał. Na obiad rosółu trochę zjadł. mięsa kawałek do ust wziął i wypłukał. Przynieśli mu sarniny pieczonej, tej trochę spożył i galaretą się posilił, która mu smakowała.

Po obiedzie się znowu zdrzemnął, a nad wieczór gorączka przysła jak zwykle i z nią ochota do mówienia jak wprzód.

Mnie tak i litość i ciekawość brała, że choć to męka była siedzieć na straży. wprosiłem się sam na dyżur nocny, w miejsce Abramowicza.

Tego dnia zawczasuśmy go rozebrali do koszuli, tylko futro perewistki zarzuciliśmy mu na ramiona, a że delia była szeroka bardzo, całego nią mogliśmy otulić. Na nogach miał buty futrzane, bo innych już wciągnąć nie było podobna. Szyję o'wiązaliśmy chustką jedwabną. a od poręczy obstawiliśmy poduszkami. uchowaj Boże by znowu noc miał całą przepędzić siedzący.

Ledwie pod piecem siadł, zapytał.

— Glinka? a to ty znowu?

— Jam jest. Mosci Księżę.

— Jakież prawem? Co marszałek na to, panie kochanku? mało ich tam jest, żeby jeden ciągle miał chodzić!

— Ale ja się sam prosił.

Głową tedy ciężką począł ruszać długo.

— Cóż to ty? zalecasz mi się? he? Ale ja już goły! Rozdałem co gdzie było. Wczoraj u kuchcika tyńfa pożyczylem w sekrecie przed kasjerem, i to ledwie mi go pokredytował, musiałem zastaw dać i oblig pod pieczęcią! Takie czasy! panie kochanku.

— Ja, Mości Książę, chcę mu służyć przez miłość dla niego, a nie z żadnej chciwości.

— Milczałbyś i nie bredził, kto może kochać taką starą gniliznę?

Wnet pomiarkowawszy, że mnie to dotknąć mogło, poprawił się śmiejąc:

— Bóg ci zapłać za dobre serce... ale czem ja ci wywdzięczę? boć zawsze, piękne za nadobne, w długu nie chcę zostać, panie kochanku. Wiesz co, chyba, jak stara baba, bajki ci prawić będę, choć mi w gardle zasycha. Jak się odemnie ich nauczysz, na starość będziesz chodził z niemi po dworach, panie kochanku. Ale ty może bajki moje znasz? he?

— Nie wielem ich słyszał. Mości Książę.

— Bajki, bajki, panie kochanku - zaczął pomrukiwać. — Wszystko to za bajki się liczy. Jakbym ci powiedział co nas z Prozorem. Rejtenem i Syruciem spotkało, i tobys wziął za bajkę.

— Książę się męczy.

— Co tobie do tego? tyś nie doktor, panie kochanku.—I zaczął bardzo prędko:—Wybraliśmy się na odkrycie nowych krajów do Panflagonii, panie kochanku. Wiesz gdzie Panflagonia?

— Nie, Mości Książę.

— Panflagonia leży za Mezopotamią, a teraz wiesz? panie kochanku.

— Wiem.

— Tameśmy tedy natrafili na taki kraj, gdzie ludzie nagle skarłowacieli. Zabawna była rzecz, bo wnuki w dziadowskich butach bardzo wygodnie mieszkać mogli z całem gospodarstwem Nie spis� Glinka?

— Nie, Mości Książę.

— Jedną starą szablę gdy przyszło zdjąć z gwoź-

dzia. piętnastu ich z windą stawało i rady dać nie mogli. Ale to. nie bajka. panie kochanku, lepszą ci powiem, która ci się przyda.

Tu zamyślił się trochę.

— Był sobie jednego razu, chłopak, sierota; a działo się to przed potopem. Naówczas na świecie działo się zupełnie inaczej. panie kochanku: dziś ludzie ludzi jedzą, a naówczas ze zwierzętami była komitywa jak najlepsza. taka jak dziś u nas w Polsce z Prusakami. Chłopiec jak palec był sam. matka go właśnie odumarała. a chatka stała na pustkowiu, u kraju lasu, panie kochanku, gdzie już ludzi nie było ani na lekarstwo. Zwierzęta bogobojne dowiedziawszy się o nieszczęściu sieroty, zameldowały mu się zaraz ku usłudze i opiece.

Krety dla nieboszczki wykopały grób, bobry zrobiły trumnę, niedźwiedzie ją wzięły na barki, a co było ptastwa przeprowadzało śpiewając żałobnie do mogiły. Gdy się ta ceremonia odbyła, a chłopak siadł. panie kochanku, na usypisku i płakać zaczął. lis mu ogonem łzy ocierał. Ale ty śpisz Glinka?

— Uchowaj Boże, Mości Książę. słucham.

— Słuchaj, bo to się dopiero zaczyna, panie kochanku, to jeszcze nic, zobaczysz dalej. Gdy chłopiec siadł i beczał, dokoła niego posiadali też wszyscy opiekunowie i zrobili radę.

Naprzód mu zaproponowali, ażeby nie szukając ludzi, pomiędzy niemi pozostał. że mu do gospodarstwa pomagać będą; ale gdy chłopak do ludzi zażądał koniecznie, zgodzili się i na to, ażeby go wyprawić.

— Jak sobie, panie kochanku. pościelesz, tak się wyśpisz — rzekł mu wilk. Zrobiono nam taką reputację, że już gorsza być nie może, a czy ludzie od nas lepsi, przekonasz się na własnej skórze. Idź z Bogiem. panie kochanku. Srocza przed tobą lecieć będzie i drogę ci do ludzi pokaże; dawaj sobie radę sam.

Ponieważ chłopak, panie kochanku, był głodny, niedźwiedź mu barć pokazał i sam wydarł plaster miodu, wiewiórka orzechów przyniosła, nietoperz zaś

oświadczył się, iż wie o skarbie zakopanym niedaleko, z którego sobie sierota mógł wziąć garść, aby miał o czem wędrować. Tak się tedy stało, ale ty spisz Glinka?

— Nie, nie śpię, Mości Książę.

— Gdy się pożegnali, sroka lecąc przed chłopcem prowadziła prościuteńko do Warszawy.

— Przed potopem, Mości Książę?

— Przed potopem była Warszawa taka sama jak teraz—odparł Książę—a ty mi Glinka. takimi pytaniami nie przerywaj... Otóż, panie kochanku, tak do rogatek przyszli. Tu sroczka usiadła na kołku i poczęła wołać: Adieu, kochanku!

Chłopak pono i Bóg zapłać nie powiedziawszy jej, rad, że się dostał między ludzi, do miasta. gdzie się z tysiąca kominów kurzyło, prędkim krokiem między tłum się wcisnął. Szły właśnie tamtędy marszałkowskie Mniszchowskie ciury, a njrzawszy. panie kochanku. z łokciami wydartemi, blade stworzenie, bez butów, w koszuli łataniej. zaprosili go z sobą do kordygardy.

Myślał, że na obiad, panie kochanku, aż tu znalazł się przed panem pisarzem. który z piórem za uchem inkwizycję rozpoczął. Nim to jednak nastąpiło, obrewidowali chłopca i znaleźli przy nim dwie garście djamentów nietoperzowych. *Corpus delicti!* panie kochanku. Bosy człek. natralnie ukraść je musiał. Chłopiec niewinności swej pewien. począł się śmiać, panie kochanku. i opowiedział całą historję swoją ze zwierzętami. Inkwirentowi tego było i potrzeba; djamenty schował do kieszeni. a chłopca odeśłał do Bonifratrów.

Zobaczywszy się nieboraczysko pod rygłem nuż narzekać, panie kochanku, że z niedźwiedziami nie został. Braciszkwowie słysząc, że bredzi, nuż mu wodę zimną na głowę lać i smagać dla napędzenia rozumu. Pobudzili go do wściekłości. Trzeba więc potem było leczyć i leczyli go tak skutecznie, że z niego tylko

skóra, kości i w kątku dusza została. Poczem na ulicę go kolaniem wyproszono. Chłopiec nie oglądając się do lasu powrócił, a tam wilki go zjadły, za karę, że w nich nie wierzył, panie kochanku.

A co, Glinka, bajka nie ładna?

— Śliczna. Mości Książę, ale Księciuby czas spać może było?

— Milczałbys, at! nawet mi nie podziękowałeś za nią, a dałby ją księdzu biskupowi Warmińskiemu, co by on z niej zrobił! Teraz Glinka, na ciebie kolej. Naprawiłem się ja dosyć bajek w życiu, muszę raz posłuchać. Sprobuj, gadaj.

— Żadnej, Mości Książę, nie umiem.

— A cóż umiesz? prawdy? No to mów prawdę?

Przyparł nunię żem nie wiedział co począć. Szło mu znown widocznie o to, ażeby do łóżka nie iść i jakkolwiek noc przepędzić.

— Gdzieżbym ja śmiał, Księciu Wojewodzie, albo bajki pisać, albo prawdę mówić? — odezwałem się z połusnuiechem. — nie moja to rzecz. Z bajki śmiech, a z prawdy gniew.

A jaki ty zrobiłeś się rozzumny! Glinka, — odezwał się książę — nie wychodujesz się, bo to nad wiek. Rozsmiał się i westchnął razem.

Tej nocy choć nie byliśmy pewni czy to się na co przyda, ułożyliśmy mały spiszek na Księcia. Ponieważ już raz koguty i ich pianie najwięcej się przyczyniły do ukołysania go do snu, bo się w nocy zasnąć lękał, a po kurach, spodziewając się dnia, prędzej zasypiał; Mińczak, chłopiec od kuchni, który tak umiał wszelkiego ptastwa głos naśladować, iż wabika nie potrzebował, ko ucie zas pianie arte oddawał i to nie jednego, ale jakby ich było dziesięciu, został do piania wyznaczony.

Kazano mu na dany znak, popisywać się około folwarku.

Zapiał jak stare kogucisko; Książę ucha nadstawił.

— Ho! ho! — zawołał — to czas leci! Już pierwsze kury! chyba ich co pobałamucilo? To nie może być.

Mińczak zapiał cienko raz drugi i trzeci. raz znówu odmiennie, jakby nieuk młody próbował. to znów pierwszym głosem. i na przemiany coraz innemi. Jam się też przysłuchiwał dziwując. bo gdybym nie wiedział, że człowiek, przysiadz było można, iż kury piał. Tylko jakoś nadto śpiewały mądrze; Książę podniosłszy głowę, z ciekawością wielką chwytając się zdawał to rozmaite pianie kogucie.

— Jakieś uczone kury — rzekł nareszcie — koncert wydają. Czy Strzałkowska tu dla nich akademię założyła. czy co? a massa tego jest. Glinka!

— Co Książę rozkaże?

— Idź proszę cię i poślij na folwark, niech się dowiedzą. zkąd tam razem kogutów tyle? Sejwik jakiś złożyły, panie kochanku. kto wie co one radzą? może na zgubę rzeczypospolitej. Kat ich rozumie!

— Na folwarku jż wszystko pozamykano, Mości Książę.

— Stracha się boisz, czy co? — zapytał Wojewoda. — Weź Abramowicza z sobą i uzbrojcie się we flinty; wybić tych trutniów. bo to tylko wrzeszczy po nocy, a ręczę, że z nich kurom pociechy nie ma. ani na piecyste się nie zdadzą, a mnie myśleć przeszkadzają.

— Ale, Mości Książę—odpowiedziałem—Abramowicz szalona pałka. nuż uchowaj Boże, gdzie w strzechę palnie i kłak z ogniem zapuści? możemy pożar zrobić. i ludzi postraszymy.

Książę westchnął.

— Dosyć, że teraz rzekł—ani posłuszeństwa. ani nabożeństwa; co Radziwił każe, to pan Glinka zmaże.

Zmilkiałem. a kury piał. Książę głową kiwał i milczał.

— Uczone kury — szepnął po przestanku.—Hejnał pieją, trzeba spać, nie ma rady.

I ułożył się jak do drzemki. Ale sen nie trwał

długo: załedwie zachrapał. przebudził się zaraz i wstrząsnął.

— Glinka?

— Jestem. Mości Książę.

— Idź mi zaraz, powiedz marszałkowi, koninszenmu, stanowniczym, aby na jutro koniecznie wszystko było do drogi gotowe. W tych Sławatyczach wyżyć niepodobna. trzeba co prędzej do Białej uciekać. Chwila się zbija. godziny policzone, a w takich mizernych Sławatyczach umierać sensu nie ma. i z pogrzebem nie poradziłoby sobie. W Białej wszystko być musi w pogotowiu. świec u Reformatów dostanie. a Bazyłjanie też coś dostarczą.

— Al Mości Książę, czyż się godzi myśleć o tem? —zawołałem.

— Nie rezonuj. idź. idź. panie kochanku. ja ci powiadam. Jutro dodnia żebyśmy ruszyli. Już mi te koguty Strzałkowskiej kością w gardle stoją. W drogę. panie kochanku. słyszysz?

— Mości Książę—rzekłem przededniem rozdysponuję. teraz wszyscy śpią.

— Jakby to dla mnie ich pobudzić nie można. kiedy ja nie śpię!—odparł Książę.—Gdybyś ty był tak Księciu Miecznikowi odpowiedział. dopierobyś był od niego oberwał. ale na pochyłe drzewo i kozy skaczą.

Głos jego zmieniał się zwolna. aż nagle dobywszy go z piersi, co miał siły, krzyknął:

— Do koni! w drogę! służba! panie kochanku; Kto żyw ratujcie Radziwiłła od koguciego spisku! Hola!

Na ten głos. co żyło w izbach sąsiednich pobudziło się i porozrywało z łóżek, biegnąc jak kto stał, bosy. w kożuchach, w koldrach. w derach. w płaszczach i berlaczach.

— Co się stało? co Księciu jest? Co Książę każe? poczęli wołać wszyscy.

nie słucham nikogo, panie kochanku. nie to wam kaszy nagotuję.

— Ale, Mosci Książę! odezwał się Finke.

— Nie ma ale, panie kochanku — przerwał stary prawie gniewnie—do Białej i kwita. Rygor i posłuszeństwo.

Mówił gorączkowo. wszyscy zamilkli, nieśmiejac mu się już sprzeciwia. Doktor wreszcie był tego zdania, że lepiej już usłuchać. aby się gorzej nie niecierpliwił, co zrobić mogło więcej od podróży.

Po tym wybuchu, który Morawski zażegnał obietnicą, że się do rozkazów stosuje, pomrukując coś jeszcze, ale coraz mniej wyraźnie, począł się wysiłony zdrzymywać i wszyscy na palcach powynosili się cichaczem.

Lecz gdy drzwi otworzyli, ciąg się zrobił, weszło zimniejsze do izby powietrze; uczuł to chory i kożuszek perewistkowy począł na siebie poprawiać. Mimo to, śpiąc powoli usnął. Ja też pod piecem na stołku drzemać począłem. i tak prześniliśmy aż do dnia.

Ze dniem ruch na folwarku, po stajniach, w dziedzińcu, począł się wielki. bo już do Białej ruszać się trzeba było nieodmiennie.

Podróż ze Sławatycz długą nie była ale utrapioną z powodu dróg tutejszych. Kraj to płaski, nizi na płaski, moczary i lasy, jak nie grobla, to piachy a w lesie po korzeniach sosnowych, po dołach i kępach też nie wymienicie, miejscami brody, jeszcze szczęście jeżeli niegrzązkie w które wjechawszy polecą się Bogu, bo nie wiadomo jak głęboko zajedziesz czasem i tłumokom się dostanie. Na piasku koła prawie po kłódki grzęzną na grobelkach z kamienia na kamień stuk, puk, z kałuży w kałużę, z kolei w kolej. Wozy te koleje porzucały głęboko i wedle swojej miary; wiedzie chłopski wózek w nie, to mu nic, nawykł do tego, ale półtoraczna landara jak się w jedną kolej zarzuć, drugim kołem na wysokościach, a jakby obie

chciała pominąć, konie nogi kręcą po dzimnach. Słowem rozpacz. Koło nad rowem idąc ośliźnie się, lećmy w rów, a w rowie woda i gąszcze. Hajduki po kostki w kale, na ramionach to z jednej to z drugiej strony powóz nosić musieli, padając pod ciężarem. Pospieszyć ani myśleć. Na piasku choć konie prychną, też nie można kłnsować, w lesie dla korzeni trzeba jechać powoli. Słowem zażyliśmy biedy i słoty niemało i nakleliśmy obficie. Książę w powozie, mimo tego rzucania drzemał, kiedyniekiedy stękając tylko, bo nim mimo poduszek i pasów, których się trzymał, chwilami miotało bez litości.

Książę to najgorzej męczyło, że z Sławatycz wyjechawszy, musieliśmy niemały kawał przerzynać się przez cudze majątności, środkiem Sapieżyńskich majątków. Księżnej Wojewodźcowej Mscisławskiej, gdzie już trudno było gospodarzyć jak w domu, a po karczmach też nieład panował i nędza. Strzechy podzierane, szopy gnoju pełne, ani zajechać, ni wypocząć, ni koni czem podesłać.

Z wielkiem umartwieniem naszym i jego, ledwieśmy się przecież jakoś do Białej dobili, i wyjechawszy z lasu, powitaliśmy stary zamek książęcy.

Przez całą tę drogę Książę się nieustannie dopytywał:

A co? czy my już na swoich smieciach, panie kochanku? a daleko do domu?

Gdy mu nareszcie powiedział Morawski, że już zamek widać, a było to pod wieczór drugiego dnia, wyrzwał oknem, jak gdyby, mógł co zobaczyć, ręką w powietrzu krzyż zakreslił i westchnął.

— Dalej już pono nigdzie mnie nie zawieziecie, panie kochanku—zamruczał—ze świętym Józafatem w kompanii będziemy odpoczywali.

Nam się też lżej na sercu zrobiło, gdyśmy zdala ponad drzewy wieżę zamkową i Reformatów sygnaturkę i Farę zobaczyli.

Przodem wysłani ludzie oznajmili w miasteczku

więc jak skoro się od Wólki pokazały powozy, we wszystkie dzwony uderzono po kościołach. a na końcu grobli nrzeliśmy stojące duchowieństwo, mieszczan i żydów z rabinem i baldachimem. Gdyśmy o tem Księciu oznajmili. głową pokiwał.

— Do czego mi się to zdało!

Dzwony, posłał zaraz, aby się uciszyły.

— Cóż oni tu mnie jak biskupa witają? To eksportacją pachnie. panie kochanku. Po co? na co?

Polecieli konni aby dzwonić zaprzestano; jakoż ucichło. tylko u Bazyljanów najdłużej kołatano bezpotrzebnie. bo do cerkwi było najdalej.

Burmistrz chciał księcia witac mową. ale jemu i rabinowi, który się też nagotował, zalecił powiedzieć. że chory i recepcję na powolniejszy czas odkłada. Szły tedy powozy przez część miasteczka, około Akademii i figury św. Jana Kantego, podle Fary, gdzie rektor stał i wszystka młodzież — Vivat! cieniukami głosami krzyczała.

Posłyszawszy głosy dziecinne, Księżę się ruszył nieco, ale wnet opadł w głąb landary. Ztąd już do zanku kilkaset kroków tylko. Gdy w brukowanej bramie zastukały kowie, podniósł się Wojewoda czując, że jest w miejscu, i wnet wjechaliśmy w dziedzińiec. u głównego wnijsia stojąc.

— Bogu dzięki!

Tu caluteńka służba czekała. W pokojach świecilo się wszędzie, ludzi było dosys co Księcia witac pozjeżdżali się, ofycyalistów. sąsiadów. szlachty. ale wszystkich Morawskiemu przepraszać kazał, że nie domaga i zmęczony. a rad nie rad do łóżka isć musi.

Na dole już stało przygotowane krzesło, i hajducy na niem posadziwszy chorego, zaraz go na górę, do pokoiów zwykle przez niego zajmowanych zaniesli.

Milczał przez cały czas, ino wzdychał ciężko. Chciano go do wygrzanego szkanclę łóżka położyć. ale się nie dał i w krzesle pozostał.

Podstarości. burgrabia. urzędnicy. oficjaliści na-próżno oczekiwali, ażeby kogo wezwał do siebie. lub o cokolwiek zapytał. Kazał ich Książę marszałkowi nraczyć po pańsku, a rozmowę i interesa na później odłożyć.

Kto nie znał naówczas zamku Bialskiego, nim poszedł w ruinę powoli. ten o nim z późniejszego stanu wyobrażenia mieć nie może. Nie był ci on tak rozległy jak Nieświezki, przecież na najliczniejszy dwór miejsca w nim nie zabrakło, a całe po pańsku, niemal po królewsku był urządzony, choć ze staro-świecka. Ogromne sale, gabinety. pokoje zwierciadlane. komnaty na różne gusta przybrane w obrazy, posągi, sprzęt kosztowny. zdobiły go obficie. Dużo izb stało zamkniętych pod kluczem. Z okien wielkiej sali, gdzie się nie tak dawno odbywało wesele księżniczki z kniazem Massalskim. widok był na staw na Krznie. który jeszcze podówczas nie zarastał trzcina, sitowiem i tatarakami. Pokoje książęce wygodne były i we wszystko opatrzone. Czego tu mogło braknąć. to dawno przodem z Nieświeża na furgonach przystawiono.

Ledwieśmy stanęli i powoli się nciszać zaczęło na zamku, zadzwoniono po kościołach na Anioł Pański. Książę drgnął. ale czapeczkę jedwabną z głowy ściągawszy. pobożnie ręce złożył i modlić się zaczął.

Tu na mnie znown nocna służba przypadła czemuś dosyć rad byłem, bom mojego starego pana kochał. czułem, że dogorywa i ostatnie słowa z ust jego pochwycić miło mi było. Wiedzieliśmy wszyscy, iż policzone miał godziny.

Po tej podróży ze Sławatycz i na twarzy i na siłach opadł bardzo. Szczególniej policzki mu nabrzękły a skóra na nich i na szyi pociągała się. pofałdowała, pogarbiała, aż strach. żółtością jakąś okryła. Przyniesiono mu rosoln i kniropatwę pieczoną; skosztowawszy ich ledwie, odepchnął.

Nie można go było ani rozbawić, ani zająć ni-

czem, milczał posepuie. Siedziałem u progu na rozkazy czekając, gdy nagle zawołał:

— Hej, jest który?

— Glinka, Mości Książę.

— Dosyć, że ja z tej Glinki, ugrzęzłszy w niej, nie wylezę, panie kochanku — rzekł z cicha — a więc mosanie Glinka. każ mi Napiórkiewicza zawołać. Niech tu do mnie przyjdzie.

Napiórko, czyli Napiórkiewicz, znany był nam wszystkim zdawna. cośmy kiedykolwiek w Białej bywali, bo. mimo burgrabich, innych dozorców i różnej służby. był to jedyny. prawdziwy stróż i pan Bialskiego zamku. Od jak dawna tu żył, zamieszkiwał i rządził się, sam dokładnie wyliczyć się nie umiał. Zapomniał. Zdawało mu się pewnie, że się z kluczami urodził. Ludzie mu dziewięćdziesiąt z górą lat dawali. a on chcąc się z wieku swojego wyliczyć, plątał się i bałamucił.

Gdy się czasem zapędził, utrzymywał, że za Sobieskiego się rodził, co nie mogło być, boby musiał lat z górą sto mieć. To pewna, że czasy Augusta mocnego paniętał doskonale. Jako żyw. nigdy się z Białej nie oddalał. i do zamku, można powiedzieć, przyrosnął. Inni ludzie przechodzili tu i mijali się, on wszystkich przeżywał. on jeden wiedział co się gdzie na zamku znajdowało. każdy kąt i zakomórek znał doskonale. od wszystkiego miał klucze. i wszystko tu niemal za swoje uważał.

Stary i z figury i z obyczaju był osobliwy, i w mowie od innych się różnił. Gdy na dworze słońce nastawało, mrnczał, gderał albo milczał zasepiony. Kiedy się na pogodę wybrało. twarz mu się razem z niebem wyjaśniała, i jeszcze go się czasem krótko trzymały. Spojrzawszy nań nie dałby mu nad jakie lat szesćdziesiąt kilka. Wyprostowany zawsze. choć ramiona mu się już w kabłąk zgięły i głowa trzęsła, chodził bez kija, nogami tylko trochę powłóczył. Na świętki i piątki kontusz zawsze jeden, długi granatowy, z rę-

kawami spianemi nosił. pas siatkowy wypłowiały, a po kieszeniach. za pazuchą. w rękach. gdzie tylko wetknąć je było można. kluczków miał pełno. Kluczków tych powiadano. że ze dwieście różnego kalibru nosił przy sobie i miał ich w izbie tyle. że niemi całe sciany na gwoździach były poobwieszane.

Twarz czy umiłek przeciągnął. ale bardzo miał długą. nos duży. na słotę siny. brodę naprzód wysuniętą. zęba już pouo ani jednego. ale szczękami mięso tak kasał i darł. jakby najostrzejszymi kłami. Jedno oko niewiedomo kiedy i jakim sposobem już utracił. a po wieka wpadła głęboko. zawsze była zamknięta. Po brwiach najładniej wiek poznać było można. gdyż mu wyrosły i nawisły tak. że się na oczy zwieszały.

Dla dworu. służby czeladzi i stróżów. których miał pod sobą. ostry był i niechętny mnsieli go słuchać. gdyż nie rzadko kańczuka z kieszeni dobywszy. boki im i plecy okładał.

Izbę miał na dole w zamku. w prawej baszcie. dużą. sklepioną i przy niej alkowę. Tu mieszkał. innej posługi nie potrzebując. tylko że mu stróż drow przyniósł i w piecu upalił. a dziewczyna. wyrostek. zwykle ze wsi brana sierota z kolei nie wiem już która. wodę nosiła. jeść gotowała; umiała. Dziewczęta te. gdy do lat kilkunastu dorosły. za mąż wydawał i brał nowe. a że się im dobrze działo u niego. choć i dla nich był ostry. napierały się tu. gdy wakaus nastal. Choćby się zaś nie wiem jak która na chrzcie świętym nazywała. u niego wstąpiwszy w służbę. mnsiała się zwać nie inaczej. jak Paraska. Tak się do tego imienia nazwyczaj. że już inaczej nazywać ich nie umiał. W zamku też służbę Napiórkiewicza Paraskami nazywano.

Obyczaj u był dziwnego. bo oprócz uiedieli i świąt do Fary. nie wychodził nigdzie. W pogodę czasem się między drzewy po nad stawem. albo na wałach przeszedł. i dosyć. Za to po zamku dzień i noc błądził jak duch zaklęty. We dnie. to było jeszcze

nic, ale czasem go coś napadało taki go. iż z latarką po nocy do rana błakał się od góry do dołu. po strzechach, po lochach, licho wie czego. W jednych izbach siadał, w drugich się przechadzał, tam krzesło posnął, tu stolik wyprostował, okno otworzył, lufcik przyinknął, zamek nasmarował, a nigdy temu końca nie było.

Ludzie mieli go za lhnatyka, bo szczególniej miesięcznych nocy się włóczył, i jak mówiono, sam do siebie gadał: inni utrzymywali, że z portretami rozmawiał, śmiał się, aż zdala przechodzących ciarki przelały ze strachu.

O zamku i o Radziwiłłach, gdy się kto przy nim rozgadał, śmiał się i ramionami ruszał, niekiedy mruczał i figę pokazywał.

— Co wy młokosy wiecie o tem? co wy wiecie? Kosznieście w zębach nosili, gdy ja tu już gospodarowałem.

Czasem gorzej nalajał, jeśli na dworze była słota.

Sam rozgadawać się nie bardzo lubił. Do niego należało wszystko ntrzymać w porządku i pod rejestrem, ale rejestra miał nie na papierze tylko w głowie. Jak każdy z tych dwóchset kluczów znał doskonale, tak i sprzęt wszelki, najmniejszy okrucz miał na pamięci i z pod klucza najmniejszej rzeczy, najlichszego nie pozwolił wziąć odlamka. Spróchniałe deski chował i zamykał. Co się nie mogło w pokojach zmieścić, zgarnięte było na strychu. Raz wkradłem się za nim tam pod dachy, i mogę powiedzieć sumiennie, że uad tę górę na zamku, nie nigdy w życiu osobliwszego nie widział.

Musiało się to tam chyba przez kilkaset lat zbierać, i jeden Napiórko mógł wiedzieć i rozeznąć co tam było i do kogo to należało.

Cały ten strych, szczególniej nad wielką salą, napchany był i nabitý najrozmaitszym sprzętem. Kanap, krzesel bez nóg, ram, obrazów, szaf, półek, skrzynek, sepetów popieczętowanych, kuferków z papiera-

mi. szkatulek. pak było bez miary. Pamiętam pod oknem stojącą kołyskę z różanego drzewa, wewnątrz atłasem niebieskim wypikowaną, z której włosienie sterczało. Po zmarłem w kolekcję książątek jak ją tu rzucono przed laty, tak stała nietknięta. Nieco dalej pod dach podsuniętą przypominam sobie dębową trumnę, pełną żyta, która czekała na jakiegoś nieboszczyka, co jej widać chybił i inną się posłużył. Czego tam nie było!? Basetli bez strun, kotłów z wybitymi grzbietami, krosienek, na których jeszcze sznurki wisiały! Kto to tam wszystko i kiedy poskładał i dopóki to miało schnąć, butwieć, gnić, rozpadać się. Bogu tylko wiadomo. Napiórko nie tu tknąć nie dawał. Tu na strychni snuł sobie liście tytoniu z małego ogródka nprawianego na walach, z których potem robił tabakę.

Od myszy i szczurów bronił się niezliczonymi pastkami, a tych było wszędzie pełno. Nastawił je, narychtował, tak na pewno, iż niemal godzinę mógł przepowiedzieć, o której się co złapać miało. W izbie u niego było mnóstwo pastek różnego kalibru, które on sam robił i naprawiał, mając ich zawsze zapas nie mały. Czasem po kilka ich niósł w rękę na górę.

Gdy się co złapało, sam nie zabijał, miał ogromnego burego kota, który za nim krok w krok chodził, a gdy się położył, na nogach sypiał. Ten był tak wyuczony, że przed pastką stawał na warcie, a skoro ją odemknęto, mysz lub szczura chwycił tak, iż mu się nie wymknął nigdy. A nie jadło kocisko więcej nic nad te specjały.

Uchowaj Boże, aby się kto był poważzył na zamku co bez wiedzy Napiorkiewicza ruszyć, przestawić, wziąć, nawet okno lub okiennicę otworzyć czy zamknąć bez niego. Wpadał wtedy w taki gniew, iż wszyscy przed nim nciekali. Pod dobry humor i pogodę, gdy mu się język rozwiązał, można od niego było o starych dziejach, wiele posłyszeć i nauczyć się bardzo wiele. Ale to się trafiało rzadko i nie każdemu, bo

gdy mu się czyja twarz, strój, mina nie podobala, słowa z niego nie dobył. Wszyscy tu szanowali staruszkę, Księżę go oszczędzał i pozwalał mu więcej niż drugim. Na Wielkanoc, choć święconego nie gotował, miał przecie lepsze niż szlachcic na dwu wioskach, bo mu się na nie wszyscy z okolicy składali. Spraszał wówczas zamkowych i cały tydzień jeść i pić było co.

Gdy mi go zawołać kazano, kopnąłem się, nie wiedząc dobrze gdzie go o tej porze szukać; myślałem już iść się o to pytać JMćpanny Paraski, bo tę zawsze zastać było można u drzwi, bosonogą, na zedelku drzemającą u kądzieli. Lecz ledwie do sieni wyszedł. patrzę, wlece się coś pod górę, poręczy od wschodów trzymając jedną ręką i pacierze pomrukując — aż to — mój Napiórko.

— Księżę Wojewoda pana prosi.

Spojrzał na mnie do góry, aż mu białko zaświeciło.

— A uo, widzisz asindziej, że idę, bom o tem wiedział...

Jak i zkąd? o to się już nie pytałem. Szedł nie śpiesząc wcale. Jak zwykle pęk kluczków niósł w rękę. Ustąpiłem mu z drogi. Przede drzwiami zdjawszy czapkę podgołoną głowę począł muskać i owe krzaczyste brwi zawisłe przyprowadzać do porządku. Wszedł potem do antykamery. Spojrzał jeszcze na swoje buty, zapyłone były, więc chustę ogromną dobywszy z kieszeni, otrzepał je.

— Niech będzie pochwalony...

Dopiero gdy Księżę mu odpowiedział:— „Na wieki wieków!“ — dodał:

— Czołem Księciu Wojewodzie...

— A cóż tam u ciebie słyhać, panie kochanku? — spytał Księżę głosem cichym, ale wesoło. — Ile tam sowa stara na baszcie jaj wysiedziała i czy zdrowe potomstwo jej mości?

Wtem jakby sobie co przypomniał, odwrócił się żywo i Księżę zawołał:

— Glinka? a ty tu? Idźże sobie precz, boś nie potrzebny: użyj świeżej aury na korytarzu.

Strasznie mi się zrobiło markotno; a żem był ciekawy. a byłem pewny. że tam sekretów żadnych nie mają. więc choć wiedziałem, że grzech, alem drzwiami stuknąwszy, pozostał tuż. aby rozmowie się przysłuchać. Jakoż cicho było i nie straciłem z niej ani słowa.

— No, cóż tam u ciebie panie kochanku, na naszym starem gnieździe? — powtórzył książę wzdychając.

Chwilę nie było odpowiedzi, stary tylko sapał i nosa obcierał.

— Po staremu Książę Wojewodo, po staremu — rzekł — trzymamy się, aby dalej.

— Wiesz Napiórko! — westchnął Książę — wiesz? Nie mów tego przed ludźmi, aby z tego nie korzystali; przed drugimi się z tem taję, tobie prawdę powiem: oczy mi. panie kochanku, zupełnie zasłoniło, mało co widzę, tak jak nie!...

...Już ja naszego zamku nie zobaczę, a piękny, a miły mi był, i po Nieświeżu najlepiej go lubiłem. Tam ja byłem Księciem Wojewodą, a tu sobie prostym Radziwiłłem. Gdym spocząć potrzebował, uciekłem, panie kochanku. do Białej. Teraz, Bóg wie: przyjechałem chory. może już z wami zostanę. Z biedy to i u Fary jest sklep!

Napiórko przerwał okrzykiem:

— Niechże Bóg miłosierny uchwali! U nas Książę ozdrowieje, nie ma powietrza jak w Białej! Ja przecie nie wiem wiele lat jestem starszy. a jeszcze się nie wybieram. Radziwiłłowie długo żyli.

— E! panie kochanku. inne czasy były — rzekł książę. — Mnie sobą nie mierz. ty jesteś mumia chodząca. będziesz żył lat dwieście. Ja, panie kochanku, żyłem tak, żem sobie strasznie pootłukał boki. Przypomnijno sobie od Radomskiej, od Baru po dzisiejszy dzień, mało się to zjadło i wypilo, nie mięsa i wina, ale żółci i octu i zdrady i niegodziwości ludzkiej.

Milczał Napiórko nie sprzeciwiając się, nie mówiąc nic, mrużąc coś niedźwiedziowato. Księżę zamilkł i głowę spuścił.

— Ze mną, bodaj, panie kochanku, mój Napiórko ostatni duch Radziwiłłowski zejdzie do grobu: ci co zostają, pożał się Boże, nawet dobre ludziska, ale sli macza w nich krew płynie. Zobaczysz mój Napiórko, jak mnie nie stanie, zamek twój pójdzie w ruinę, skarbiec wyczyszcza, lochy wysuszą... cała ta nasza wielkość rozsypie się w proch.

Zmilczał i zmienionym głosem zapytał:

— A cóż? nigdzie tam u ciebie szkody nie ma?

— Nie, dzięki Bogu — rzekł stary — na świętych Piotra i Pawła, prawda, burza się ku wieczorowi zerwała i pioruny w staw biły okrutne. Szczęściem okna wszystkie pozamykałem i piorun choć palnął koło wielkiej sali, tyle tylko, że trochę tynku osypał.

— A taki palnął? panie kochanku — rzekł Radziwiłł — to także znak..

— Najlepszy znak. Mości Księżę — odpowiedział Napiórko — boć nic nie zrobił oprócz strachu. Ja zawsze obchodzę przed burzą z Loretańskim dzwoniakiem.

Księżę zmilczał, po chwili głowę odwrócił ku staremu.

— Co tam, panie kochanku, dzieje się z tą starą trumną Księcia Wojewody? Stoi ona tam?

Namyslał się nieco Napiórko, ale w końcu rzekł:

A stoi, Mości Księżę.

— Gdzie, panie kochanku?

— Na strychu.

— Nasypiana? Może tam w nią myszy paskudzą?

— U mnie myszy nie ma ani jednej na zamku — odparł Napiórko — okrom tych głupich, burych, co przychodzą z pola. Ale tu żadna do wieczora nie wymieszka.

— Sucha ta trumna? — spytał Księżę — jaka ona? dębowa?

— Stoi pewnie pół wieku, jak nie ma być sucha?
— Czy się nie spękała? — żyto się z niej sypie, panie kochanku, czy nie?

— Szczelna, Mości Książę.

— A jakiej ona miary? panie kochanku — począł Książę.

Napiórko chciał zamilczeć i nie odpowiadał ochotczy, zauważył to Wojewoda.

— Co bo ty stary milczysz? — zawołał — gadaj mi jak należy. Raz przecie czy w Białej, czy gdzie indziej umrzeć potrzeba. Jakiej ona miary, czy ja się w niej wygodnie pomieszczę?

Napiórko usta odstawił, oddał i rzekł wreszcie:

— Przecie była robiona na Księcia Wojewodę, który tuszy był daleko większej od Księcia. Ale co o tem rozprawiać?

— Co ci to szkodzi, panie kochanku? hm — rzekł Wojewoda — ja przecie muszę wiedzieć co się u mnie w gospodarstwie dzieje!...

— A u Księcia Kanclerza? jak tam?

— Wszystko w porządku. nic nie tknięto — rzekł Napiórko.

— A u Księżnej Anny?

— Ja tych pokojów sam pilnuję, Mości Książę, i kluczy nie daję nikomu. nikt, też tam nie smie pyłu zetrzeć bezemnie.

— A u Księżniczki Karoliny?

— Podobnież — rzekł Napiórko.

— Figura cała?

— Jak żywa, Mości Książę.

Tego nie zrozumiałem o czem była mowa, jakiś czas milczeli.

— Seperik opieczętowany — rzekł Wojewoda po chwili — ten, com ci go sam przywiózł i oddał. pamiętasz?

— Jest u mnie pod kluczem. w szczególnej obserwacji — odparł Napiórko.

— Sepecik ten, jakbym umarł—dokończył Książę — weź, panie kochanku i spal, rozumiesz? Spal go ze szczerem. Tam są różne grzechy moje, o których nie potrzeba, ażeby wiedzieli ludzie. Dosyć im będzie tych, o których wróble na dachach świergocą. Na co mają gorzej Radziwiłła poniewierać.

— Ale jakże go mam spalić? — zapytał Napiórko.

— Panie kochanku. nie dziecko jesteś! Niech grzechy na ogień idą! Sepecik daruj komu chcesz, a z papierów i tych rupieci co tam są, żeby mi nic nie zostało, rozumiesz? panie kochanku. Gdybym komu innemu powierzył, nie usnałbym spokojnie, połakomiłby się na jaki świstek albo na fraszkę, a to grzechy moje.

Westchnął Książę.

— Słyszysz? Napiórko?

— Słyszę i niech Książę będzie spokojny. ale jam stary.

— Przeżyjesz mnie, panie kochanku.

Pomilczał trochę.

— Mój Napiórko! ja lada dzień mogę koziołka przewrócić; po mnie tu, wiem, chaos nastanie, sądny dzień, rwetes. chwytanina, ładu sobie nie dasz z niemi. Więc pókim ja jeszcze żyw, cobyś chciał ażebym dla Wszeci lub dla familii twojej zrobił, mów, panie kochanku. Żebyś mnie potem żałami nie wyciągał z grobu.

Na te słowa stary dziwnym śmiechem odpowiedział, aż mi się zrobiło zimno. gdym go usłyszał. Rozśmiał się Napiórko, nie nawykły znać do produkowania się ze śmiechem, i wcale mu się on nie udał. Coś to było takiego, że i krzyk i jęk w tem słyszałeś.

— Wolne żarty, Waszej Książęcej Mości — rzekł, głos podnosząc — albo ja familię mam? Nikogusieńko na bożym świecie, prócz burego kota. Nie wiem nawet czym kiedy ją miał. Ja nic nie potrzebuję, mam z łaski W. Ks. Mości dosyć, a jeślibym czego mógł żądać to chyba żebyś mnie W. Ks. Mość nie dopuścił ztąd wyganiać, ani mi kluczków odbierać. Tem toby mnie jak czekaniem w łeb ubili.

— Uchowaj Boże! panie kochanku!—rzekł Książę— a ktoby to śmiał uczynić?... O to bądź spokojny, nikt ci kluczow nie odbierze.

Znać po tej rozmowie Książę skinął na pożegnanie staremu, który już nogą szusnął, gdy ciszej się odezwał:

— Ale proszę cię Napiórsin mój, panie kochanku, com o sepeciku mówił, pamiętaj, i słuchaj, opatrz mi jutro starą Wojewodzińską trumnę, czy cała, czy sucha, czy się tam jej co nie stało? kto to wie, ona być może potrzebna. Bez zapasni niedobrze.

Napiórko miał wychodzić, a ja ode drzwi odskoczyłem. Jakoż wysunął się wkrótce, czapkę nasuwając na uszy, zamyślony, a ja powróciłem do pokoju księcia, pełną mając głowę tych trumien, sepetów i różnych rzeczy, których nawet dobrze nie mogłem zrozumieć.

Powiedziałem sobie zaraz, że się Napiórkiewiczowi przypochlebić muszę, aby moją ciekawość zaspokoił i resztę mi zamku pokazał, w której nie byłem jeszcze. Książę tego wieczora, znużony podróżą, usnął prędzej niż zwyczajnie i dał się do łóżka pod kotarę zaprowadzić. Jam też na ziemi rozpostarłszy burkę, położył się i kamiennym snem usnąłem. Raz tylko wśród nocy, obudził mnie Książę, bo przez sen mówić zaczął i śmiać się. Śmiech był, jak za dawnych lepszych czasów, wesoły i swobodny, a mowa tak prędka i żywa jak niegdyś.

— Księcia apostołów Książę Radziwiłł nóżki całuje — mówił przez sen — mam honor się rekomendować, ośtatni Wojewoda Wileński. Mam nadzieję, panie kochanku, Mosci Książę, iż mi się te rygle otworzą, bo tam na mnie czeka ks. kardynał, Sierotka i Jałmużnik, którzy za mną u Majestatu prosili.

...A tak, Mosci Książę, grzeszyło się, ale żeby znowu z łada chamami w czyścju siedzieć, to Radziwiłłowi nie przystało, chyba w osobnej komórcze?

...Zapisałem na kościół. Niech się W. Ks. Mość przysłucha, co ich tam za mnie się modli.

...S o d a l i s M a r i a n u s ! a tak! i konfederat barski. panie kochanku, amen.

Nazajutrz, jak tylko mnie ze służby zwolniono, przypomniawszy sobie wczorajszy sepet i różne inne ciekawosci, postanowiłem przypomnieć się Napiórcze. który dla mnie dawniej dosyć był łaskaw. Przystęp do starego nie bardzo łatwy był dla wszystkich, ale po'd pogodę i dobry humor, można go było skaptować. Dwa razy wparłem się, szukając go. do izby w baszcie, ale tylko Paraskę zastał drzemiącą u kądzieli.

Izba była stara, widać jeszcze z zamku pierwszego pozostała, który Sierotka przerobił, sklepienia w niej ze sznurkami, spiczaste. Ściany nagie, całe były ćwieczkami ponabijane, a na nich wisiały klucze duże, małe, ogromne, pordzewiałe i błyszczące, niektóre z poprzywiązanemi papierkami, inne z drewnianemi klockami na sznurkach. Wiele z nich tak wyglądało dziwnie, iż mi się podobnych w życiu nigdy widzieć nie trafiło. Były i takie pono, które już do niczego nie służyły i dawno nic nie otwierały. Przy ścianie przeciwnej, stały rzędem pod oknem różne pastki na myszy, drewniane i druciane, cegłami przyciskane i na strunach. Z drugiej strony stolik obruskiem nakryty reprezentował ołtarzyk. Stał na nim obraz N. Panny Leśniańskiej w ramach czarnych. a obok dwa lichtarze drewniane, dwa otłuczone słoiki z kwiatkami i krucyfiks roboty jakiegoś wiejskiego artysty. Z boku książka i okulary świadczyły, że Napiórko modlił się przed tym obrazem.

Ta odrobina sprzętu i stolik składał całe jego mienie; mógłby był sobie choć lepsze krzesło znaleźć na strychu, ale wołał siedzieć na zydłu, niż ruszyć to, co za pańskie uważał. W alkwie stało łóżko podobne do kapucyńskiego. twarde i wyleżane.

Trzeciego dnia dopiero zastałem go w domu, przy śniadaniu. Że dzień był postny, śledzia w occie

z cebulą przyprawnego. jadł z chlebem. Pomyślał zrazu może, iż mnie Księżę Wojewoda przysłał, przyjął więc pomrukując, ale dosyć ludzko. Wydało się jednak zaraz z pierwszych słów moich, iż przyszedłem w odwiedzinę i nie bez celu. Gdy mi się wypowiadał, że zamku nie zram dobrze, że wielu kątów jeszcze nie oglądał, i że ciekawy go widzieć, namarszczył się stary, siadł nazad do śledzia i już na mnie spojrzeć nie chciał.

Dopiero nierychło, widząc, że nie ustępuję, a ciągle tę materję zaczepiam, popatrzał na mnie i rzekł ostro:

— A po co to ta ciekawość, żeby koniecznie wści-bić nosa? po co? co jegomości z tego przyjdzie? Ja nikomu zamku pokazywać nie zwykłem. To co otwarte możecie sobie oglądać cały dzień, a co zamknięte, muszą ludzie wiedzieć dla czego zaparli.

— Ale ja panie Napiórkiewicz — rzekłem — nie pretenduję nawet, żebyście mi zamek pokazywali. Gdybyście kiedy chodząc po nim, pozwolili za sobą pójść, cośbym się nauczył. Przecież sługa jestem Radziwiłłowski, i tajemnic żadnych nie zdradzę.

— E! e! — krzyknął zniecierpliwiony — tu niema żadnych tajemnic! a za mną bury kot chodzi, nikogo więcej z sobą brać nie mam zwyczaju. Cóż zobaczysz? ściany, mury, dziury.

Na tem się skończyło; uważałem, że na deszcz się zbierało, więc z Napiórkiewiczem nie było co gadać.

Nazajutrz po nocy słotnej wyjaśniło się i humor Napiórcie przyszedł też lepszy. Pod wielkim gankiem, przy wuijściu od dziedzińca, stały dwie ogromne ławy, gdzieśmy siadywali, to w warcaby grywając, to gawędę prowadząc. Jam się właśnie z Abramowiczem o coś spierał do kąta go przyparłszy, gdy Napiórko z kluczami i kotem nadciągnął powoli.

Skłoniłem mu się, stanął i dał mi znak. Zaczęliśmy z nim mówić o pogodzie, a gdy na wschody wchodzić począł, pociągnąłem za nim.

Na górze co było otwartych pokojów, te ja naturalnie widziałem dobrze, nie było w nich nic tak osobliwego oprócz wspaniałości książęcej; dopiero w pozamykanych spodziewałem się coś ciekawszego.

Wciąż o chmurach, wietrze i pogodzie mówiąc, Napiórko doprowadził mnie do drzwi, w które klucz włożył. Nie odprawiał mnie jakoś; odemknęły się, kot wbiegł pierwszy, Napiórko mi wskazał, abym i ja mu towarzyszył, a za mną sam wszedłszy, klucz wyjął i napowrót drzwi zaryglował.

Pokój, do któregośmy naprzód weszli, był nieco ciemny, niegdyś piękny, ale w nim wszystko jakby mgła jakaś starości przyoblekała. Farby miał zblakłe i szarawe; na ścianach, w drewnianych ramach, obicie jedwabne w kwiaty, miejscami było poprzędziane i wisiało szmatkami, znać zwątlące od wilgoci. Ogromny komin marmurowy stał, jakby wczoraj ogień w nim był wygaszony. drewna jeszcze leżały niedopalone i szczypce na boku.

Paradne łóże z pawilonem zielonym, zasłane kapą, zdawało się też nie tknięte po kimś co na niem spał, poduszka wygnieciona, jeszcze zachowała jakby ślad głowy, która na niej spoczywała. Na małym stoliczku obok leżała gromnica zieloną wstążką przewiązana. U jednego okna stały krosna z robotą, przykryte serwetą; w rogu był klęcznik z pięknym obrazem Św. Anny, na nim książka roztwarta i różaniec. Tu i owdzie porozrzucone były kobiece sprzęty. U łóżka na skórze niedźwiedziej, spostrzegłem parę trzewiczków na korkach, jakby wczoraj zrzuconą, tylko wyblakłą i opyloną. Na półstolu pod zwierciadłem leżała para rękawiczek pomiętych, a przy nich w porcelanowym pucharze suche sterczały jakichś dawno opadłych kwiatów łądygi.

Obejrzałem się po tym pokoju z trwogą, pytać nie śmiejąc.

— Tu ona umarła! — rzekł, z cicha pokazując mi portret kobiety poważnej na ścianie, ubranej czarno, w zasłonie na włosach i książęcym płaszczu na ramionach.

To mówiąc głowę pochylił przed wizerunkiem.

— Od tej godziny jak ciało nieboszczki do dolnej sali wyniesiono, oprócz mnie nikt tu nie był i nikt się nic poruszyć nie ważył. Święta to była pani!!

To mówiąc poprowadził mnie do klęcznika, wysunął ostrożnie szufladkę i coś w niej palcem pokazał. Spostrzegłem pasek koleczasty i małą dyscyplinę z drucianymi kolcami.

Stary westchnął i powtórzył:

— Święta to była pani! ostra dla siebie, łagodna dla ludzi.

Schylił się w tej chwili do pułapki stojącej pod oknem, przy której już od wnijscia naszego Burek czatował. Mysz się w niej niespokojna ruszała, podniósł z góry klapkę, Burek skoczył. chrupnęło coś tylko i stary na nowo pułapkę nastawił.

Przeszliśmy powoli pokój. Napiórko przeciwne drzwi otworzył, kot zaraz w nie pośpieszył pierwszy, ja za nim z kolei, a za nami klucznik, który za sobą zamykał.

Pokój, do któregośmy weszli, przechodni był i pusty, u jednej ściany marmurowy lawaterz, od dawna suchy. smoczą gębę otwierał jakby ziewał wiekiście; naprzeciw niego wisiał portret stary, wyobrażający mężczyznę w cudzoziemskim stroju czarnym, z kresą u szyi. rękawiczkami w ręku, bródką i wąsem po szwedzku.

W tej ścianie po obu jego stronach było drzwi aż dwoje, marmurem okładanych. Poszliśmy na prawo, i tu klucza nie było potrzeba, tkwił we drzwiach, a pokój stał niezamknięty.

Tak samo jak w pierwszym, który widzieliśmy wszystko tu z dawien dawna znać nieporuszone było ale wyglądał inaczej: wydał mi się starszym od tamtego. Od pułapu mosiężny pajak się spuszczał, taki gałęzisty i bamiasty, jaki dziś chyba tylko po kościołach się widuje. Łóżko stało jak katafalk czarne, proste, niewysłane wysoko, a po nad niem u ściany makaty spłwiała. Tuż w głowach klęcznik z krucyfiksem czarnym, na którym Chrystus ze słoniowej kości, a pod nim napis:

Spes unica Deus.

Nad kominem wisiał owalny portret kobiety młodej, nsmiechniętej, w wysokiej fryznrze na głowie. Na gziemse komina pełno było kryształowych naczyń, i relikwiarz bogaty, w którym przynajmniej dwudziestu różnych patronów szczątki błogosławione.

U jednej ściany spostrzegłem skrzynię rzeźbioną, pokrytą kobiercem opylonym; u drngiej szafę gdańską, na której miasto zwykłych aniołów i owoców, godła były Męki Pańskiej, palmy, wieńce i różne religijne oznaki.

U jednego okna stół do pisania ustawiony był wielki, a na nim księgi w pargamin oprawne, papiery i pieczęcie kanclerskie w worku jedwabnym ze złotem. Dwie świece woskowe żółte nadpalone, jakby dopiero wczoraj zgaszone. Tuż krzesło stało do pisania i podnózek skórą wybity. Półarkusz papieru, z nakreślonymi kilka wyrazami, przyciskały męzkie rękawiczki, takie same jak na obrazie w antykamerze. Skóra tylko od słońca, wilgoci i wieku pościagała się na nich i skurczyła.

Smutek wiał grobowy ze wszystkich kątów. Na piórko oglądał nie tykając, jakby sprawdzał czy na miejscu rzecz każda leży; przeszliśmy parę razy w milczeniu. Około szaty, na niskim siedzeniu bez poręczy, jakby zrzucony tylko co, płaszcz leżał czarny, cudzoziemskiego kroju, i kapehusz z szerokiemu skrzydły i jedwabnemi kutasami. Pył je okrywał.

— Wartoby to wytrzepać! — rzekłem.

— Ale! — oburzył się Napiórko — wytrzepanoby waszności. gdybys mi tu co palcem tknął! Chodź ino. chodź. dosyć patrzyłeś

Wskazał mi na drzwi przeciwległe i wyszliśmy niemi na kurytarz pusty, który między dwoma rzędami drzwi prowadził. Po ścianach gdzieniegdzie można i tu było coś ciekawego spotkać.

Tu wisiały portrety karłów faworytów. psów myśliwskich i koni. Niektórych płótno się z ram wyrwało i obwisło; indziej sterczały źle przybite rogi jelenie i łosiów. pod którymi lata stały podpisywane.

Napiórko przebierając wśród kluczków. namyslać się zdawał i na drzwi poglądał. Poszliśmy w prawo do wnijscia. w którym drzwi były białe malowane i złoczone po listwach. Stary klucznik otworzył je powoli.

Weszliśmy do przedpokoiku oświeconego spyloną szybą z nad drugich drzwi; stały tu dwa taborety dla służby, a w pośrodku nich otwierały się podwoje do pokojów jasnych i wesołych. Były one niegdyś z wielkim urządzone przepychem. ale i tędy przeszła śmierć. a po niej już może oprócz klucznika, nikt nie chodził.

Ściany osłaniała materja biała, nieco żółkła, w kwiaty różnobarwne. na które gdzie słońce padło. to farby wyssało. tylko w cieniu i po kątach jeszcze się śmiały jakby żywe.

Ramy dokoła były złote. misternie wyrzynane. gdzieniegdzie w nich zwierciadła. Na półkach chińskie naczynia stały i pułhary srebrne i słoje do kwiatów ze szkła weneckiego. W kącie ku oknu był mały klawicymbalik. na którym jeszcze leżały rozłożone nuty. Tuż na marmurowym stolyczku porzucona chusteczka biała kobieca, przylgnęła znać wilgocia i pyłem do niego.

Drzwi szklane do drugiego pokoju zasłonięte były zieloną firanką. Napiórko odwoławszy mnie odsunął ją zwolna: spojrzałem i o mało nie krzyknąłem

z podziwienia i strachu. Nie wiedziałem zupełna czym ducha, czy żywą ujrzał figurę, która tyle tylko, że się nie poruszała. Siedziała u stolika pani jakaś, takim kunsztem cudownym zrobiona, jakby z prawdziwego ciała i kości, nawet kolory na twarzy miała naturalne.

Strach brał patrząc, aby się to nie ruszyło i nie krzyknęło.

Gdy Napiórko drzwi otworzył, ażebym się mógł bliżej temu cudowi przypatrzeć, ujrzałem kobietę, lat może dwudziestu kilku, w sukniach jedwabnych, siedzącą z książką w ręku, z oczyma spuszczone, jak gdyby w niej czytała. Jedną rączką z paluszkami białymi pod brodę się wspierała, a usta miała jakby do śmiechu nieco ściągnięte.

Włosy, suknie, pierścienie, książka, sama twarz i ręce tak naturalnie się prezentowały, iż zdumiewać tylko się było potrzeba. Co chwila zdało się, że wstanie, odwróci się, zagada. Nigdy nic podobnego w życiu nie widział, aż dopiero później w Warszawie, gdy Niemcy Fryderyka Wielkiego przywieźli ulepionego z wosku, któremu się cała Warszawa chodziła dziwować.

Napiórko dopuścił mnie bliżej, abym mógł oglądać tę osobliwość sam jednak nie przestąpił progu. Wyznaję, że i ja z niejaką obawą, zdala tylko obserwowałem tę piękną panią, dziwując się co ludzki kunszt może. W drugim końcu tego pokoju na łóżku, leżały rozłożone suknie ślubne, atłasy, białe koronki, kwiaty jakieś robione, od których liście pokruszone poodpadały. Wszystko to okrywała żałobna krep czarna. Głęboko się dziwowałem, stary rzekł:

— Grzeszne to dzieło ręki ludzkiej, bo co się Bogu podobało odebrać, tego takim zmyślonem życiem reprezentować się nie godzi. Dawno się biedna księżniczka w proch obróciła. Pan Bóg to tylko może przebaczył matce, która dziecko straciwszy, nigdy ukonsolewaną być nie mogła. I przychodziła tu, siadywała, płakała, modliła się, a widząc ów kłamany cień córki,

odchodziła pocieszona nieco; aż dnia jednego, matki też na świecie nie stało i nikt już oprócz mnie tego pokoju nie otwierał..

...Tragedje to mosanie, domowe są — mówił Napiórko — księżniczce szyto już suknie ślubne, gdy zachorzała, położyła się i na ręku matki Bogu ducha oddała. Pocieszył się narzeczony. zapomnieli drudzy. serce macierzyńskie ani żalu ni pamięci pozbyć nie mogło...

Wyszliśmy ztąd nareszcie, a gdy się drzwi zamknęły, lżej mi się zrobiło, bo wyszedłem ztąd jakby z grobu. Cóż więcej powiedzieć o tem co mi jeszcze pokazywał Napiórko? spamiętać mi trudno wszystkiego. Napatrzyłem się dosyć ciemnych komnat, zczerniałych wizerunków. osobliwego sprzętu starego, szaf kością słoniową i bursztynem sadzonych. misternie drzewem różnokolorowem wykładanych. jakby malowanie najpiękniejsze. Było tu i owdzie coś zapomnianych zbroi, tarczy, łuków, chociaż lepsze do Nieświeża powywożono.

Stary puszczał mnie, mało mówiąc i objaśniając, chodził posepny. pułapki oglądał, stawiał. kota karcił, tylko gdy mi co osobliwego chciał pokazać. rękę kładł na tem.

Jużeśmy jedno przejście w rogu u baszty byli minęli, gdy stary się zawrócił i klucze porządkował z kieszeni dobywać.

— Już kiedyś mi się tu wdarł. co robić z tobą? trzeba żebyś i to zobaczył. czego oprócz mnie chyba mało kto dopuszczony był oglądać — odezwał się cicho. — A nie papłaj! a nie chwal się! Stare to dzieje.

To mówiąc zawrócił w korytarz wązki. w którego końcu schodki były i drzwi wgłębione żelazne.

W zamku zardzewiałym klucz ledwieśmy we dwu zdołali obrócić, a potem nie łatwo popchnąć drzwi same. Za temi dopiero w szyi drugie były jeszcze, z którymi już łatwiej poszło. bo przy nich kłódka tylko duża wisiała.

Gdysmy otworzywszy i te, weszli do izby na pół pod ziemią o jednym oknie, objęła mnie wilgoć chłód, i póki się oczy nie oswoiły, nie dojrzeć nie mogłem. Ciemno było, pod nogami posadzka kamienna. nad głowami sklepienie osobliwe, pogięte i potaladowane. Cos było do więzienia in fundo podobnego. Okienko małe w murze grubym z kratą, okrytą pajęczynami i śmieciem. Szyb w niem tylko szczątki pozostały.

Powolim się dopiero rozpatrzeć zdołał. Izba była przestronna. Z jednej strony stał nagi tarczan niski, na którym siennik zgnił, tylko z niego resztki śmiecia zostały; w głowach poduszka z grubego płótna, spłaszczona, czarna, też przebutwiała być musiała. Obok na stolicku prostym powywracane dzbanek, miski, łyżka drewniana, lichtarz, leżały w nieładzie, z okruszynami spleśniałego chleba i białymi kośćmi rybiemi.

Gdym się przypatrywał, postrzegłem jeszcze na ziemi płaszcz czarny, podarty i oszarpany, i pas cały w strzępach.

Przy drugiej ścianie sterczało żelazne ogniwo, jakby od łańcucha, a tuż pod niem na ziemi, porwany też łańcuch zardzewiały z okowami, które do rąk czy do nóg niegdyś służyły.

Gdym się z trwogą rozglądał po tem więzieniu, bo nie co innego to być mogło, postrzegłem ponad tarczanem na murze zczerniałym, porysowane znaki, poskrobane litery i napisy jakieś, lecz ledwiem ku nim się zbliżył próbując odczytać, gdy mnie klucznik mocą oderwał, nie dopuszczając się rozpatrywać.

Nie śmiałem go pytać co to wszystko znaczyło. Podprowadził mnie ku oknu i palcem wskazał, że tak było wy kierowane, iż przez nie drzwi kaplicy widać było, a gdy te stały otworem, pewnie i księdza przy ołtarzu mszę świętą odprawiającego.

Stare to dzieje — powtórzył — a niechaj Boże, abys Waśe tych co to budowali o okrucieństwo pomyślał.

...Domowy srom musiano zamykać w domu, aby ludzie zań na cały lud nie plwali. Nie jedna tu lza przyschła.

...Nie sądzcie abyście nie byli sądzeni — dodał pomro. Stare dzieje, stare dzieje. Światłość wiekuista niech świeci i sędziom i pokutnikom.

Popchnął mnie ku wyjściu, a gdyśmy się na korytarz dostali, rzekł z dziwnym uśmiechem:

— A cóż? nie uczestowałem waszeczki? skarżyć się nie możesz. Znasz już teraz wnętrzności zamku, który tajemnic dla was nie ma, nieprawdaż? Idźże zdrów, a nie paplaj.

Wyszliśmy drugimi drzwiami na świeże powietrze, lżej mi się zrobiło, bo w tych wszystkich izbach pozamykanych, choć je i przewietrzano osobliwszy był zapach jakiś stęchlizny, świec od katafalku, wilgoci. powiedziałbym niemal śmierci. Musiałem pójść z godzinę na wałach się orzeźwiać, zanim mnie impressja odeszła. A i tak, gdym do pokoiów powrócił, nie swój byłem do wieczora. Cóż tu mówić o człowieku, który był lata długie sam jeden wśród tych murów i tego smutku, gdyby w kostnicy na cmentarzu?

*

*

*

Księżcin Wojewodzie tego wieczora gorzej się zrobiło. gorączkę miał, i albo milczał lub mówił od rzeczy. Siedział przy nim doktor, felczer nadworny z kolej i pan Morawski. Probował każdy czy mu nie dogodzi, lecz nikomu się to nie udało. Głowy nareszcie potracili. Zrobiono widać radę, bom słyszał z drugiego pokoju jak Finke się upierał, aby przy chorym kobiety posadzić, że one lepiej umieją się obchodzić, a wytrzymałsze są i cierpliwsze.

— Jeżeli o kobietę do dozoru chodzi—odezwał się Morawski - - cóż prostszego? niech który pójdzie do klasztoru Panien Miłosierdzia, przyszlą choćby dwie i trzy najzdolniejszych. Lepszego nic w świecie nie znajdziecie.

Widać, że myśl ta wszystkim trafiła do przekonania, bo pułkownik wybiegł zaraz, i spotkawszy mnie wypadkiem pierwszego, odezwał się:

— Mój panie Glinka! dla miłości Bożej, zbiegnij do klasztoru. do panien, niech tu jedną albo dwie przyszlą, dla dozoru przy chorym. Książę się niecierpliwi, rzuca, a my, choćby i doktor, rady sobie z nim dać nie umiemy. Tu trzeba doświadczeńszych.

Pobiegłem natychmiast po czapkę i płaszcz, bo deszcz listopadowy kroił znowu, i nie długo myśląc. do klasztoru. Wieczór był gdym do furty zadzwonił. Wnet mi furtjanka otworzyła.

— Do panny Starszej przychodzę—rzekłem—z zamku, od Wojewody.

Ruszyło się wszystko, a mnie tymczasem do sali w lewo puszczono. Nie długo czekałem. wyszła i panna Starsza; osoba była w wieku. ale bardzo żywa jeszcze i ruchliwa. Dowiedziawszy się, żem z zamku, poczęła mnie z troskliwością wielką o księcia dopytywać, oświadczając, że się codziennie na jego intencję modliły i nowenny odprawiały.

— Nam — rzekłem — przy chorym rady sobie dać trudno; pułkownik mnie przysyła do panny dobrodziejki. czyby nam w pomoc której z sióstr nie udzieliła.

Panna Starsza aż w ręce uderzyła.

— O mój Boże. ale dla czegoż nie? a dla kogóż większe mamy obowiązki? Zdam siostrze mistrzyni klasztor, sama pójdę z drugą. Czekaj Waćpan ćwierć godziny. płaszcze tylko wdziejemy i gotowe jesteśmy.

Potem rozmyśliwszy się i nie chcąc mnie znać opuścić samego, zawołała panna Starsza na którą z swych socyuszek; przyniesiono dla mnie lampkę wina i tatarak smażony na zakąskę. a tymczasem sposobilo

się wszystko. Byłem niemal świadkiem wyboru. bo panna Starsza wnet siostry Maryi prosić kazała.

Gdym to imię usłyszał, a opowiadanie Wiśniowskiego przypomniiał sobie i obejrzałem się gdzieś był, uderzyło mnie jakby jakieś dziwne zrządzenie Boże. Pomyślałem zaraz, a nuż ta siostra Marya będzie właśnie Wojźbunówną??

Mogę powiedzieć, że od tego struchlałem, i takem się w myślach nad osobliwymi wyrokami Bożemi zatopił, iżem stał. słowa nie mówiąc i com miał przed oczyma nie widząc.

Wtem wezwana owa siostra Marya weszła na próg: spojrzałem na nią. osoba była nie młoda. twarzy bardzo miłej i uspokojonej nawykła znać do pocieszania i przynoszenia tylko słodkich wyrazów. Coś mi mówiło, że to być musi Wojźbunówna.

— Siostro Maryo — odezwała się pośpiesznie panna Starsza — idziesz ze mną na zamek, Księżę pan gorzej, jak powiadają. żądają posługi naszej.

Gdy to mówiła, jam się w twarz siostry Maryi wpatrywał, i widziałem jak wezdrgnęła. a ręce mimowolnie załamała. Podniosła oczy ku pannie Starszej, jak przestraszona.

— Możeby siostra Anna, ja... ja nie wiem czy podobam — odezwała się cicho.

Siostra Anna musi zostać przy infirmerji, nie. nie! Tu trzeba łagodnej jak wy i doświadczonej, nikt mi dogodniejszym nad was być nie może. Ja idę sama.

W zakonie pierwszą cnotą posłuszeństwo; nie sprzeciwiała się więc wybrana, lecz z wyrazu twarzy jej cora mocniejszej nabierałem suppozycji, iż Bóg zrządził Opatrznością swą, ażeby te dwie osoby jeszcze si raz w życiu spotkały.

Wyszli, my pośpiesznie ku zamkowi; cała droga w milczeniu się odbyła. jam pogrążony był w sobie i lzy mi się ciągle w oczach kręciły. Czekałem tylko,

abyśmy przyszedli na pokój. gdzie Wiśniowski musiał być. a powinien ją być poznać.

Już tego wieczora nikt chwili nie miał spoczynku z powodu obawy o zdrowie Księcia Wojewody.

Przed sypialnią. w której leżał, na salce pełno było, a choć niemal przecisnąć się mieliśmy trudność. taka cisza, że szelest sukni najmniejszy słyszeć było. Szeptano tylko do uszu. bo się nikt głośniej nie śmiał odezwać.

Wchodząc spostrzegłem Wiśniowskiego zdala. i dałem mu znak. Przed siostrami rozstąpili się wszyscy, a doktor zaraz przybiegł się rozmówić z niemi.

Gdy się Wiśniowski zbliżył. szepczę mu do ucha:

— Spójrz na tę z sióstr. która słuszniejsza, a powiesz mi co ci się zda?

— Cóż? w takiej chwili, każesz mi się młodej zakonnicy przypatrywać?—ofuknął z oburzeniem. Glinka, jak Boga kocham. tegom się po tobie nie spodziewał.

Mnie też złość wzięła.

Ale, cóż u kaduka—zawołałem—kto powiedział. że młoda? co Waści w głowie? Idź i patrz! a potem będziesz sądził i wiesz!

Zakręcił się Wiśniowski, poszedł z ukosa i blady do mnie powrócił wraz.

— Przepraszam cię, Glinka...

— To Wojówna?—spytałem.

— Tak jest—odparł—ale jak się to stało?

— Palec Boży — rzekłem — ktoś potrafi odpowiedzieć jak się to stało? Bóg zrządził.

Zamilkliśmy potrwożeni oba. Powiedziałem tedy sobie. że czy mi pozwolą czy nie. drzwi będę pilnował i do sypialni się weisnę. Siostry wprowadzono zaraz, jam też za niemi wszedł.

Księżę na łóżku leżąc sapał strasznie i jęczał. Zbliżyły się na palcach naprzód panna Starsza, potem siostra Marya, spoglądając na chorego. Pierwsza zaraz opatrzywszy poduszki skinęła ku drugiej, i zlekka uniosłszy tę, na której głowa spoczywała, wskazała, aby drugą poprawić.

Księżę mrużać zaczął. Słyszałem gdy się odezwał:

— Któż to tam koło mnie majstruje? a żebyżeście raz mi pokój dali, panie ko..... kto tam znówu?

Panna Starsza odezwała się cicho:

— Siostry Miłosierdzia.

Księżę drgnął, poruszył się, ale przez chwilę nie mógł się odezwać.

Potem rzekł:

— Jak imię?

— Siostra Justyna i siostra Marya...

Wszystko to mówiła Starsza, gdy tymczasem poduszki poprawiała. Na twarzy Wojźbunówny widziałem pomieszanie wielkie. ręce jej drżały i oczy sobie ocierała.

— Pytam o nazwiska — odezwał się Księżę Wojewoda głosem zmienionym.

Panna Starsza namyslała się chwilę i odezwała się, nie widząc, że jej towarzyszka przestraszona daje znaki.

— Siostra Justyna na świecie zwała się Bartoszewską, a Marya, Wojźbunówną.

Nagle księżę się podźwignął przelekły, opierając na rękach.

— Jezus, Marya, Józef! — zawołał — Felicja Wojźbunówna!!

Złożył ręce

— Niedoścignione Pańskie wyroki.

Słyszając to panna Starsza, która zrozumieć nie mogła, a brała to za gorączkę, szepnęła:

— Niech się Księżę Jegomość uspokoi.

— Ale ja jestem spokojny. jestem spokojny i umrę teraz spokojny. Bóg widocznie łaskaw na mnie. Jakże jej imię w zakonie?

-- Konn?—spytała Starsza.

— Wojźbunównie --prędko odpowiedział Książę. — Gdzie ona jest? Niech przemówi słowo

Panna Starsza zdziwiona stała. nie mogąc się odezwać. Siostra Marya kryła się w początku i zdawała niepewną co uczyni; potem nagle przystąpiła bliżej i odezwała się głosem drżącym:

— Tu jestem, Mości Książę

Wojewoda głowę ku niej zwrócił.

— Siostro Felicjol

— Mam imię Marya.

— Tak. tak. proszę was, dajcie mi rękę swą.

Wahała się Wojźbunówna, potem z wolna ujęła dłoń wyciągniętą Księcia, który poczuwszy rękę jej, pochwycił ją i podniósł do ust.

Panna Starsza patrzyła na to z podziwieniem. prawie osłupienia dochodzącem.

— Siostro Maryo—począł książę—Siostro Maryo! Bóg tak zrządził. ahym bez twojego przebaczenia na świat lepszy nie odszedł. Bogu miłosiernemu chwala na wysokościach. Przyszła ta godzina. o której proroctwo mówiłaś w Rabce.. o przebaczenie proszę...

Milczenie było straszne i długie. Wojźbunówna oczy sobie zakryła, zbierała myśli. ust otworzyć tak rychło nie mogła, aż powoli jasnym i wyraźnym głosem rzekła:

— Niech ci tak Bóg przebaczy, jako ja przebaczam...

Odetchnął Książę Wojewoda, rękę, którą trzymał. do ust przycisnął i westchnął puszczać ją.

Panna Starsza. znaczenia wyrazów tych nie rozumiejąc, stała domysławiając się tylko. iż ona w tej chwili była narzędziem jakiejś woli Bożej. i myśl ta poruszała ją rozrzewnieniem i trwogą.

— Dajcie mi wody, panie kochanku — słabym głosem odezwał się książę.—Panna Wojżbunówna niech nie odchodzi, proszę o to bardzo, Pan Bóg ją zesłał... Była w tem wola Boża...

Gdy się to działo w sypialni, Wiśniowski cały przejęty i wystraszony, nie mógł w sobie tajemnicy strzymać i pobiegł z nią do Siostrzeńca Księcia pułkownika Morawskiego.

Panie pułkowniku— zawołał—nie wiecie! Słyszeliście kiedy o jakiej Wojżbunównie?

— O jakiej? co?—spytał siostrzeniec—co za Wojżbunówna? co acan pleciesz?

Okazało się, że Morawski tyle tylko słyszał, iż niegdyś jakaś Wojżbunówna była księcia kochanką; oburzył się Wiśniowski na to.

— Jaką kochanką!—zawołał—pan pułkownik nie wiesz nic.

I po krótko mu opowiedziawszy historję, dodał:

— Otóż Wojżbunówna u łóżka Księcia... jedna z pańien miłosiernych.

Zląkł się Morawski, bo on był promotorem do tego wezwania, i wnet biedz chciał naprawić, co mu się omyłką zdawało. Gdy nadszedł do sypialni, Książę pil właśnie tyżanę z rąk siostry Maryi. Odwiódł zaraz na stronę pannę Starszą, pytając nastraszone, co się stało?

— Ja nic nie wiem—odpowiedziała mu—widzę, że coś dziwnego tu zaszło, czego zrozumieć nie mogę. Nic nie wiem...

Więc Morawski do łóżka się zbliżył, do księcia.

— Jak się wujaszek czuje?—zapytał—możeby wołał sam pozostać?

— Dobrze mi bardzo, panie kochanku—pospiesznie mruczał Książę.—Jakto sam? dla czego?

I wnet dodał:

— Ani mi się waży tu dysponować, panie kochanku. Ja jeszcze przecie żyję.

Wojżbunówna stała jak posąg nad jego łóżkiem, zapatrzona w tę twarz, po której już naówczas śmierć

chodziła. Łzy jej płynęły po wychudłych policzkach. Morawski zmieszany odstał.

Późna już noc była, cisza na zamku, jam stał u drzwi. Książę, jak to bywa przed zgonem, mimo woli senным chwilami był i usypiał. to się budził znowu. A ile razy się poruszył, pytał:

— Są siostry?

Na co starsza odpowiadała:

— Jesteśmy.

— A Siostra Felicja?

Więc i ona zmuszona była też odpowiadać.

— Jestem.

— Proszę mnie nie opuszczać.

Ledwie mogąc wybelkotać te wyrazy, zasypiał znowu i budził się wkrótce i powtarzało się to ciągle, przez noc całą.

Nazajutrz z rana trwoga padła na nas, bo już i lekarze i siostry i kto tylko zbliżyć się mógł do chorego, o życiu jego wątpić musiał. Po kościołach dnia tego, u Fary, u Reformatów, u Bazylianów, odprawiały się nabożeństwa z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu, aby Bóg księcia życie uchować raczył.

Poślano oprócz tego na nabożeństwa do Łosnej do Kodnia. Dla dworu osobną mszę na tę samą intencję miał kapelan w kapliczce stojącej na zamku pod wałami, w której niedys ciało św. Józefata, wprzód nim do Bazylianów je przeniesiono, pochowywało. Wszyscy tu byli i mało nie wszyscy płakać musieli.

Pod wieczór już czując się gorzej, zażądał Książę Wojewoda spowiedzi i ostatniego Sakramentu, ale sobie wymówił, aby się to odbywało bez żadnej pompy i okazałości. Gdy krządz kanonik od Fary nadszedł, i wszyscy sypialnię opuszczali, zażądał Książę od panny Starszej, ażeby do klasztoru nie powracała i z siostrą Marią została przy nim.

— Już tego nie długo będzie!—rzekł do niej—proszę was, uczynicie to. nie dla mnie. ale dla Boga.

I przyrzec musiały. poczem dopiero kanonika wpuszczono. Spowiedź trwała z pół godziny. a choć osłabiony był bardzo i o swej sile podnieść się nie mógł, do Komunii zażądał wstać i uklęknąć.

Chciał ksiądz kanonik odwieść go od tego, ale się nie dał.

— Z Panem Bogiem żartów nie ma. panie kochanku—rzekł.—Radziwiłł. czy prosty chłop, musi mu czołem bić. Ja grzeszny człowiek jestem

Narzucono mu więc futro, i wzięliśmy go pod pachy podtrzymując do Komunii świętej, przed którą bił się w piersi ze skrucą wielką. Złożyliśmy go potem nazad do łóżka, a przez chwilę ze zmęczenia i impressji przemówić nie mógł słowa. Westchnął potem i rzekł:

— Wszystko tedy skończone, odchodzę. panie kochanku, a d p a t r e s ! Bywajcie zdrowi!

Kanonik. który był pozostał, począł lepszą robić nadzieję. że częstokroć przyjęcie Sakramentów nie tylko dla duszy. ale i dla ciała jest pomocne. Księżę się nśmiechnął na to.

— Niech się dzieje wola Boża, panie kochanku — rzekł cicho—ja ochoty wielkiej do życia nie mam. Na nic się już nie przydałem, ślepy jestem. zawałidroga, więc do sklepu.

Spytałem zatem o panny. a że kanonik siedział przy nim. i czuł się istotnie orzeźwionym, zażądał. aby dozorczyniom jego jeść przynajmniej dano i czem się posilić. W istocie bowiem ledwie wodą z winem i biskoptami do tej pory się krzepiły. Poszedłem więc ja, prowadząc pannę Starszą i Wojźbunównę do bocznej salki. gdzie na prędko nakryć kazał. a w kuchni zawsze coś było gotowego. Korzystałem z tego. aby się pannie Wojźbunównie przypatrzeć lepiej, która prawie nic nie tknąwszy. siedziała wielce zamysłona

i widocznie tylko wielką siłą duszy broniła się, by nie okazać wzruszenia. Znać było jeszcze w niej i pię kność dawną, szczególnie w oczach, i charakter energiczny, patrzała śmiało, powagę miała wielką, ale życie uczyniło ją przytem łagodną i słodycz w niej łączyła się z tą mocą charakteru. Zaledwie tyła w usta wzięwszy, ażeby głodu nie poczuć, wstały obie zaraz i do pokoju Księcia wróciły. Obok niego uprzątnięto im gabinet, ażeby od czasu do czasu mogły w nim pójść odpocząć spokojnie. Odszedł Kanonik wkrótce, a że Książę zdawał się cokolwiek lepiej i na sen mu się zbierało, doktor zaś zapewnił, iż gorączka się zmniejszyła, panny mogły pójść odpocząć do siebie, mnie zaś zostawiono na straży z Pulkowskim. Ponieważ Książę się kilka razy o mnie pytał z przyzwyczajenia, Finke mi polecił, dopóki siostry nie wrócą, administrować Wojewodzie miksturę jakąś, którą piżmem czuć było po wszystkich pokojach, aż mnie od tego smrodu głowa bolała. Zegarki po temu mieliśmy przy sobie, bo bijące wszystkie pozatrzymywano.

W nocy zdaje się, że gorączka znówu przyjsć musiała, bo Książę budził się, zrywał, kołdry z siebie ściągał i nieustannie je poprawiał, gadał, śmiał się, potem wpadł w semość i chrapał tak strasznie, jakby już ostatnie grały organki. Panny naówczas przychodziły i ostawialiśmy go poduszkami do koła, podnosili, aby mu wygodniej było. Oddech coraz miał cięższy. Miksturę tę piżmową przyjmował z wielkim wstrętem, tak że mu ją niemal gwałtem łać było potrzeba w usta, a połowa jej zaraz się nazad wylewała.

Z północy panny poszły do swojego gabinetu odpocząć. Pulkowski usnął twardo, ja, aby uchowaj Boże nie zdrzemnąć się, wziąłem w papierek tabaki mocnej od Napiórki i tem sobie prawie nieustannie w nos tkał, tak, że mi nazajutrz opuchł jak trąba. A miałem z nią biedę nie małą, bo swędziła mnie do kichania, a tu kichnąć było kryminałem; nos więc

w rękę trzymać musiałem i wielką z tem miałem mękę.

Po północy usłyszałem mruczenie niewyraźne. Świece paliły się, jak zwykle za zielonym parawanikiem, i blade tylko światelko na twarz mu padało. Spojrzałem. uśmiechał się jak za dobrych czasów. na twarzy mu się jakaś błogość rozlała, jakby wszelkiej pozbył się troski.

Usta poruszały się powoli. z początku cicho, potem mówił coraz wyraźniej. bardzo żywo i prędko, jakby przyspieszał mowę. by wypowiedzieć wszystko.

— Która godzina? Ha? nie wybiła jeszcze? Jestem gotów do drogi! Z panem Bogiem rachunek zrobiony. Bywajcie zdrowi. panie kochanku. bywajcie zdrowi!

... Radziwiłłowszczyzny mi tu pilnujcie proszę, a czczuć jej nie dawajcie. Pamiętajcie, bo się, panie kochanku. z tamtego świata wyproszę i przyjdę spytać o kalkulację.

... Już mi ramiona popchnęły tyle wieków na nich dźwigając.. i orły z trąbami. Hej! hej! panie kochanku! orły te niegdyś wysoko latały, a trąby głośno larum grały światu; aż ptakom skrzydła poobcinano jak kurom. a trąby już chyba na pogrzeb zagrają. T u b a m i r u m...

... Skończyło się, panie kochanku. Wojewodziński mundur dosza rzałem do nitki. Dajcie mi go do trumny, nikt w nim już chodzić nie będzie: dla tych cienkuszów zaprzestronny. Ale Bóg wielki. nad Radziwiłłami się zlituje! a jeśli przeważą grzechy nasze i przyjdzie kara, panie kochanku. umiejcie nosić nie-szczęście tak jakieście szczęścia nosić nie umieli! Tyl ko się nie nginać, nie leżeć w błoto. Łachman purpurą się stać może. lepsze dziury niż plamy!

Przerywał tak sobie, jakby do kogo mówił i odpowiedzi czekał. a potem rozpoczynał na nowo.

— Już idę, już idę. Widzę czekają na mnie w progu, Wojewodowie. Hetmani, Kanclerze. Biskupi. . wola ją ku sobie, idę, ojcowie kochani. Dajcie mi tylko jeszcze raz spojrzeć na moje zamki, grody i puszcze. na wsi i kraje. Trzy łokcie ziemi dosyć dla Radziwiłła.

... Aby tylko ta trumna Wojewodzińska ciasną nie była: ja lubię leżeć przestronno, panie kochanku, zwłaszcza, że tej pościeli nie na jedną noc ale do sądnego dnia, panie kochanku!

... Różaniec Sierotki dać mi do ręki. nie pożahujcie go. Jam też sierotą był i sierotą, schodzę ze świata, jak palec sam! Bóg z wami, panie kochanku, nie płaczcie.

Zasnął, aż nad ranem zerwał się i zawołał:

-- Trąb pogrzebowego w Radziwiłłowskie trąby! Niedźwiedź padł, ale skóra po nim pozostała.

I zawołał na mnie z nawyknienia:

— Glinka? jest tam który? która godzina?

Pospieszyłem do łóżka, a panny też posłyszawszy głos nadbiegły. Obudził się przytomny i poprosił pić. Dała mu panna Starsza, ale usta ledwie nmoczywszy w kubku, głowę na poduszki opuszcł. Poprosił o różaniec Sierotki i począł się modlić niby po cichu. A modląc się drzemał i budził, modlitwę rozpoczynając na nowo.

Widocznie już było, że ostatnia nadchodzi godzina. Cały dwór na nogach, w ciszy wielkiej czekał co Bóg zrządzi. Nad ranem znowu wody zażądał od Wójźbmówny, ale takim głosem, że go ledwie można było dosłyszeć. Biorąc kubek pocałował ją w rękę i wnet począł szeptać:

— W ręce twoje Panie...

A potem:

— Jezus, Marja, Józef!

Twarz okryła się białością, pot wystąpił na czoło, usta zdawały się uśmiechać.

Książę nie żył.

Kłękliśmy wszyscy dokoła jego łoża, i ksiądz począł odmawiać modlitwy.

O brzasku we wszystkich kościołach poczęto bić we dzwony, i w miasteczku płacz a lament się rozległ wielki.

Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie. a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.

K O M I E C







WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom ośmdziesiąty.



PAN MAJOR.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1886.

8ra. 271a

Дозволено Цензурою
Варшава, 11 Сентября 1886 года.

Inne miasta żyją teraźniejszością, przyszłością. Kraków żyje przeszłością samą, zaczerpniętymi w niej siłami, odkradzionem od niej życiem, tlejącem pod szaremi popioły.

Wszystko w nim stare; nawet młodość rozkwita poważniej, trwać się zdaje krócej i zlewa co prędzej z harmonijnym tonem całości.

Wszelka budowa nowsza, powłoka świeższa razi w starym Krakowie. na którego licu szczyby, marszczki, mchy i pleśnie są jakby blizny wyniesionemi z historycznego łpobojowiska wieków. W ulicy też spotykasz przeważnie starców i staruszki. młodość zdaje się ukrywać i wstydzić siebie: na sukniach widać zużycie, na twarzach zadumanie. progi próbuje porastać trawa. a mury zdobywają drzewa. gmachy zdają się guiewać na ręce co je podtrzymują odejmując im fizyognomią zgrzybiałą, która najlepiej miastu grobów przystała. Obcy człowiek przybywający do tego muzeum zrazu zroznać go nie może i od dworca kolei począwszy, na którym spotyka ludzi tak dziwnie zaniedbanych i zbrukanych. jakby po jałmużnę

przyszli. powozy z końmi wyglądające na przeszłowieczne zabytki, wszystko go zdumiewa i niepokoi.

Ludność w mieście zdaje się odpoczywać, tu i ówdzie snują się ludzie najdziwniejszych postaci i twarzy, zadumani, przeżyci, wlokący się powoli bez celu, nikt się tu nie spieszy, nikomu czas nie jest drogi i mnóstwo osób wszelkiego stanu gromadzi się, patrzy, myśli. pogrąża w jakichś marzeniach. Tłumy snują się jakby uśpione, senne, wyczekujące czegoś przygniecionie jakimś życia niesmakiem.

Ale wpatrzywszy się w lica tych ludzi, na pierwszy rzut oka zwiędłe i pożółkłe, dostrzeżesz na nich nigdzie indziej niespotykanego charakteru. Panuje na nich jakaś duma pańska siebie pewna i nai-grawać się zdająca z teraźniejszości.

Żebrok spogląda na cię prawie z tą litością, z jaką ty powinienbyś patrzeć na niego... czuje się on potomkiem jakiegoś wielkiego rodu, co kosztował tu czasów szczęśliwszych, nosi w swej torbie talizman, który mu gorycz i głód dni powszednich osładza. Przyjmując grosz, zdaje ci się robić łaskę...

Nikt ci się nie przystraja i nie przypochlebia powierzchownością, wszystko przedstawia się w łachmanach królewskich z dumą granda hiszpańskiego, udrapowanego w aksamitną togę. Kościoły poczer-niałe wzdrygają się ozłocić na nowo, złoto starłoby z nich przeszłość nieocenioną, nikt pyłu nie ociera, bo to pył kości spopielałych, nikt nagromadzonych nie tyka gruzów.

W innych miastach Europy już to co się zowie cywilizacją przyoblekło nawet twarze niwelacyjnym jakimś przyzwoitości pozorem, charaktery nie śmieją

wypływać na nie, na masce nie widać nic, oprócz znamienia ogólnikowego człowieka XIX-go wieku. indywidualności poznikały tu na obliczach widać jeszcze całą grę namietności, wrażeń, charakterów, bólu. tęsknot i pragnień. Człowiek nadto jest dumny, żeby się ukrywał, jest jakim jest i dla malarza niema ciekawszych studyów ludzkiego lica nigdzie jak tutaj. Czytasz jak w księdze otwartej dzieje prawie każdej z tych żywych cegieł wielkiego gmachu. na każdym czole napisana historia człowieka, z każdych oczów myśl tryska szerokim strumieniem, żywa i gorąca... Nigdzie rysy te napozór tak jednostajne dziwniejszej nie doszły różnaitości, od ideału do karykatury masz tu wszystko, co z twarzy człowieka uczynić można... Dodaj do tego postaci najosobliwiej wykształtowane nałogiem, obyczajem, znękaniem, zobojętnieniem, dodaj suknie pokrajane jakby umyślnie dla tej ludności nieboszczyków, z grobowego zda się całuna, pokapanego woskiem świec katafalkowych... oryginalniejszego nic nie napotkasz nigdzie w XIX wieku.

Tylko autochtoni mogą nie czuć i nie widzieć jak drogocennemi są dla znękanego jednostajnością Europy nowej owe leki. W istocie o wał opasujący gród zdaje się opierać fala co nieustannie. oblicze ziemi coraz nowo przetwarza. Tu cisza i martwość świata, który walczy i opiera się powszechnemu prawu metamorfozy nieustannej, będącej nieustannym grobowcem; tu cała siła jaką Bóg dał, zużywa się na to, by nie żyć ale trwać, nie zmienić się, nie przerosnąć. Człowiek nawet przesadzony z innej strefy, przywykły do zrzućania skóry coraz nowej, traci po-

woli tę władzę, martwieje i zrasta się z tym światem skamieniałości.

Kreśliu obraz, nie wyciągamy wniosków. determinujemy stan, nie sądząc co z niego wyrosnąć może. Tak jest, a jest to wielce oryginalnem, dziwnem. Jeśli się kto chce zaznajomić z przeszłością, niech tu wnijdzie, ale zrzuci już domino XIX wieku na progu. Z fizyognomią wychowawca stolic współczesnych, nie przejdzie przez ulicę żeby go nlicznicy nie ścigali. Tu się nie godzi być dzisiejszym, coś wczorajszego tylko czyni znośnym człowieka, indywiduum jak z igły samo się siebie wstydzi... W sklepach niewiadomo czy co prócz starożytności znaleźć można, ale za to cokolwiek przeżyło się i znikło gdzieindziej, odnajdzie się tu pewnie.

Handel, najruchawsza rzecz w świecie, tu ma jeszcze jakąś inną fizygnomią. kupiec siedzi i czyta, zapytauy, zdaje ci się łaskę czynić jeśli odpowie, wszyscy się znają, wchodzący często dla gawędy więcej niż dla kupna przybywa, przysuwa stary stołek, stęka ją we dwóch. Zbiera się kupka... gospodarz sklepiu gościnny, czasem przyjmuje jak w domu, nie idzie mu o zysk, jak w przededniu tysięcznego roku, jutro się spodziewa seciny, a więc wszystko jedno. Spytasz o przedmiot nikt nie wie czy gdzie jest w sklepie, na składzie, na strychu, pod pyłem, a jeśli to coś nowszego, uśmiechają się ruszając ramionami—ua co się to komu zdać może? Otl!

Całe też społeczeństwo grodu choć jak stara kumoszka lubi plotki i bliźniego jeść się nie wzdyga gdy głodne... żyje by jedna rodzina... Powie ci pierwszy spotkany historią każdego, a przybysz co tu wpa-

dnie, spływa po wierzchu tych fali, nie mogąc się w nich ukryć na chwilę. Nic niespodzianego a mia-
sto ma swe rozrywki coroczne, comiesięczne, cotygo-
dniowe i cogodzinne. Trzyma się świętych tradycy-
j czując ich cenę. i żyje tak chlebem prądnickim jak
zabawą pradziadowską... odwieczną. Każdy Bar-
num. który przybywa w nadziei zwabienia nowością,
oszukuje się okrutnie, bo ta nowość jest zbrodnią, nie-
tylko niepociągającą. ale odstraszać od siebie,
przerażającą człowieka; grozi ona szczerbą gmacho-
wi, który stać pragnie i jak piramidy zwyciężyć wie-
ki. zjeść rdzę, zniszczyć zniszczenie.

Takim jest Kraków terazniejszy a biada temu
kto pod pozorem i w imię postępu nie uchyli przed
nim czoła. ktoby się ważył lekceważąco u tego monu-
mentu przeszłości nśmiechnąć. Uśmiech ten byłby
szyderstwem wśród poświęconego cmentarza.

Wielkim majestatem mówi do duszy wędrowca
naprzód ta ulica cicha od Floryańskiej bramy, w któ-
rej palą się lampy przy obrazie katafalkowym bla-
skiem pogrzebn;—potem niezrównany rynek... wpo-
śród którego ciemno-czerwony, oczerniały kościół
Panny Maryi strzela swą jedną ukoronowaną wieży-
cą gdzieś aż ku niebiosom... Dokoła świątyni kamień
napiętnowany jakimś słowem, twarzą. startem obli-
czem, krzyżem, lub godłem.. Z poza krat widzisz po-
trząskane stosy drzewa i kamieni. których nikt się
tknąć nie waży, bo któż wie coby zniszczył, czyniąc
porządek?... Omszone kamienie wyczekują ruiny. lub
odnowienia cierpliwie, a w koło nich codzień lata
uskrzydłona, strzegących—modlitwa... Twarz w twarz
jedyne dziecko ratnsza, który padł, nim się w prze-
szłości rozkochać umiano—patrzy wieżyca miejska

w swą panią wieżę maryacką. Zdają się po nocach rozmawiać z sobą... ale któż je zrozumie i kto ich szepty powtórzy? Ratuszowa sierota z podartemi boki na których znać jeszcze odjętych jej kości wyciski, męczennica osamotniała, stała się grobowcem domu, którego była ozdobą. Pusto wieje w jej wnętrzu wiatr po nocach, ale nie śmie szarpnąć z niej części, bo to świadectwo murowane stać musi wieki... Wie to wiatr lepiej niż ludzie... Szanuje on i Sukiennice, gdy się pod sklepienia ogromnej sali balowej zabłąka. Wpada do niej jak urwis szalony, ale w tej ciszy ciemnej, ogromnej, przelekły przypada w kącie i zamiera... Choć dziwnie zaprawdę wygląda sala balowa... w której świecznikach kotwicznych jeszczeby znalazł niedogasek świecy dawno bardzo dawno zagasłej, herbowne paludamenta pył gruby pokrywa... Na posadzce po której ślizgały się pani Kossowska, Potocka i... tutte quante... stoją wory z mąką i wąsata przekupka w zatłuszczonej sukni dowodzi jak w domu... Drzwi które wiodły do gabinetów dla pięknych pań poprzybieranych w makaty, wiodą do sklepików żelaztwa, słoju... Któż tam wyliczy jakich życia nędzy potrzeb — a jakby na przekorę zbytowski który tu balować śmiał, nędza i trud spocony rozłożył się aż w jego przybytku chylowym, nie starłszy panegiryków z naddrzwi, nie powywracawszy kandelabrow nad głową... Kotwice nie świecą... a łojowa świeczka przekupki pali się tu co dnia... Bieda zawsze przeżyje bale.

Gdyby gmach ten zakaszlał, zdaje się że runąłby natychmiast, szczęściem ziemia się nie wtrząsa a słoty przechodzą nie niebawiając go kataru. Stoi więc

ta majestatyczna pustka. a w niej jak w muszli perłowej drobne żyjątka, ruszają się handelki groszowe na popiołach cynamonowych ogniska Wierzyńska...

Tak wszędzie wczorajsza wielkość pokrajała się na kawałeczki idąc w spadku na maleńkich ludzi,— każdy swoje cząstkę wziął pod pachę i uosi ją z sobą. Ztąd ta duma ludzi, którzy między sobą korowaj. przeszłości pokrajali. W każdym podwórku tych domów co otaczają rynek, w każdej klatce małej bocznej uliczki, choćby ją malatury kilku pokoleń pokrywały coraz nową koszulą, opadającą w suchych łuskach na- zajutrz po świętokradzkiej mazaninie, domacasz się pamiątek niespodzianych a mówiących często więcej niż najwspanialsze monumenta.

Już w progu u bramy przejmuję cię dreszcz na widok tych szachownic światła i cieni pod gotyckimi łuki, wśród pnących się wschodów, poczepianych gauków i powieszanych przybudówek. Gdy z mrokiem oswoją się oczy. ze ścian wychodzą godła, lata. imiona, znaki, zabłysną misterne żelazne okucia. wysuną się odrzwia żłobione z pod grubych wapna pokryw... i hieroglify przeszłości zagadają sfinkсовym językiem... Co krok spotka cię niespodzianka malownicza, jakieś żebro wielkoluda kamieunego, które próżno karły nadkosić się starały. A któż opowie tajemnice piwnic i strychów, grubych murów których wnętrzności nikt nie zna i kryjówek których zagadki śmierć wydać nie dopuściła. Czasem runie kawał kamienicy sam, jakby mu się uprzykrzyło dźwigać zbyt długo powierzone skarby i posypią się zbutwiałe papiery... więcej pamiątek niż złota... Codzień ktoś

tu coś nowego odkrywa, a w rzeczy zakryte jest wszystko prawie.

Kto wam powie o nowym domu w Krakowie nie wiercie mu; nowe są tylko kletki i szalasze, których nikt strzedz nie będzie, a powietrze ich tutejsze nie wyżywi... ale o zniszczenie starego czegoś powieściom nie wiercie równie, w tej atmosferze zachowawczej, to co runie i obali się... jeszcze stoi tak w pamięci, oczach, jakby w rzeczywistości istniało. Starzy ludzie opowiadają, że w piękne noce księżycowe, byle oczy dobre po temu, w rynku można widzieć obalony ratusz takim jak był.

I tak jest wszędzie...

Na ulicy Sławkowskiej (nie mogę powiedzieć w którym miejscu i pod jakim numerem, aby dzisiejszemu posiadaczowi tego kawałka muru nie czyścić przykrości), stoi jedna z bardzo starych kamienic od wieków będąca w posiadaniu rodziny... ale imienia nie pamiętam także, nazwiemy ją choćby... rodziną Matesów.

Z dwóch stron ściśnięta ścianami wszelkich gmachów, które należały do możnych familij, kamienica ta ma trzy okna od frontu, w dole bramę niską wjazdową i jedno tylko zakraczone przy niej okienko. Nad drugim piętnem wznosi się szczyt z parą oknami, szczyt gotycki zębiony... którego trójkątne zakończenie zdobi kamień ze znakiem czy godłem tak dobrze zamalowywanem wapnem, iż już archeologa nawet oko oznaczonego imienia udać mu by nie śmiało. Wprawdzie jest to coś między gryfem skrzydlatym a lwem św. Marka pośredniego, ale Bogiem a prawdą mógłby to równie być pierwiastkowo i ptak

i leżący człowiek i cndowne drzewo i symboliczny kwiat. Gdyby epoka w której kamień został wyrzeźbiony mogła być z pewnością zadeterminowaną. archeologia systematyczna poszukawszy w swych rejestrach. znalazłaby pewnie zwierzę i symbol ad hoc, ale kamienica ta istniała odwiecznie, bo najstarsze akta miejskie już ją starą Matesów gospodą zowią. Czemu gospodą? to niech tam już uczeni rozwiążą...

Dosyć że dom dla ludzi dobrego serca i łatwej imaginacji, mógłby uchodzić za współczesny Krakowski, a z małym wysiłkiem możnaby w nim dostrzedz gospodę owego Skuby inwentora trefnego trucziny na smoki, w kamieniu zaś możnaby widzieć smoka... i... i tysiące innych rzeczy...

To pewna że przekroczywszy bramę starą tak okutą, jakby oblężenie wytrzymywać była niegdyś obowiązana. w korytarzu już czuć starożytność. Sklepienia niskie, ciężkie, poprzedziły jeszcze gotyckie budowy... mury grube... tu i ówdzie pod pobiałą przedzierną się rzeźba pochowana i zalepiona. Na wschodach ciemno, wchodzi się na nie przez arcydzieło ślusarskiej roboty. przezroczyste podwoje we floreny, na na których wśród kwiatów od rdzy zjedzone stoją niedobitki gotyckich liter jakiegos pobieżnego pozdrowienia... I tak co krok. w izbie przy bramie. w lochach pod bramą, w komnatach pierwszego piętra, w izbach drugiego, na strychnu. w całym domostwie, które nie mogąc się rozpierać na boki, wyjechało wgląd daleko, wkupiło się na place dawniej cudze i poszło światła szukać na sąsiedniej nlicy lub po nad dachami sąsiadów.

Widocznie nie jeden to człowiek ani wiek budował, murowano, zbijano, lepiono, psuto, naprawiano i z tych usiłowań kilkusetletnich wyrósł ul osobliwy, po którym z nicią Aryadny tylko podróżować było można. Nieostrożny przechodzień, który ufny w owe trzy okna od ulicy zapuszczał się na wschody i korytarz z odwagą i zarozumiałością niewierzącego w obłądy człowieka, po kilku chwilach wędrowni spadłszy w dół, podniósłszy się do góry, pokręciwszy się w lewo i prawo, ostatecznie zmuszony był domagać się litości i przewodnika, bo ani nazad z kąd przyszedł, ani tam gdzie iść chciał nie trafił. Niejednemu ta przygoda wcale nieprzyjemną sprawiła niespodziankę, albowiem w domu Matesów (przed kilku laty) niełatwo się było dowołać żywej duszy... Lokatorowie z fortepianami, przywykli do tapetów, odwykli od progów, nie lubiący sklepień i okien sali głęboko w murze siedzących, że do nich jak do osobnych pokoików przechodzić potrzeba—wyrzekli się tego domu zupełnie, na dole tradycyjnie mieszkał zawsze jakiś szwec (może od czasów Skuby)... na pierwszym piętrze stary Mates, inaczej zwany panem Sykstusem lub Sykstem... na drugim jego siostrzenica Jadwisia ze służącą starą i kucharką razem Knnegundą, na strychu kilka gołębi... W głębi domu w zakomurkach i izbach, komorach, komnatach i ciupkach, nie było nikogo, oprócz myszy i czarnego kota, który nad wyplenieniem ich napróżno pracując, utył, zniedołężniał i dał eksterminacyi za wygraną, gdyż panna Knnegunda przez wzgląd na wiek dodała mu młodszego adjutanta... a jemu naznaczyła emeryturę miski kuchennych ochłapów.

Lat temu jeszcze kilka wprzód, skromni lokatorowie mieścili się na tyłach domostwa i możeby byli wytrwali, ale pan Sykstus utrzymywał że nie ma się gdzie sam pomieścić, i różnemi sposoby się ich popozbywał... Był wszakże sam jeden i jedyny... dlaczego zaś codziennie mu się robiło ciasniej, to da poznać bliższe wpatrzenie się w pana Syksta Matesa, który na to ze wszech zasługuje względów.

Zacny ten potomek rodziny krakowskiej, która w radzie i magistracie zajmowała niegdyś ważne urzędy,—przyszedł na świat w tych czasach, gdy już mieszczaninowi krakowskiemu niewiele pozostawało do czynienia. Handel który jego przodków zajmował i zbogacił, dla różnych przeszkód miejscowych coraz się mniej stawał korzystnym, zwinąć go więc musiel rodzice. Ojciec Syksta umarł podobno na strapienie, obliczywszy się po spłaceniu długów, że mu tylko kamienica pozostała i bardzo szczupły kapitałik do niej z dawnych bogactw i zamożności wielkiej... Sykst i siostra wychowywani byli przez matkę już samę, dobrą kobietę, która do śmierci płakała męża, opłakiwała straty, i modliła się po kościołach więcej niż siedziała w domu. Sykst niedokończywszy nauk wyrwał się do wojska, powrócił chromy na nogę, rozczarowany, już po pogrzebie macierzy. Wydał siostrę za męża, ale ta wkrótce owdowiawszy, jedyną córkę wujowi zdała na opiekę i wstąpiła do klasztoru, gdzie lat tylko trzy przebywała i zmarła. Jadwisia odtąd pozostała przy panu Syksce, który jej całą zgasiłą zastępował rodzinę... On, stara Kunegunda sługa, co się stała jakby krewną i należącą do rodziny przez swe do niej poświęcenie, wreszcie Jadwisia,

składali małe kółko odosobnione i sobą żyjące. Do Jadwisi przychodzili nauczyciele i nauczycielki, ale w domu była samą z wujem tylko i Kunusią.

Jan Sykst o kiju wróciwszy w wyprawę, z krzyżem wprawdzie, ale schorzał i bezsilny, nie pomyślał się już żenić, choćby mu to było przyszło łatwo. Był bowiem młodym jeszcze, stosunkowo miał się nieźle bo (co rzadko) długu nie było na kamienicy ani grosza, a kapitałik mały do niej w zapasie. Ale serce mu przywiędło zawczasu i zwykł był odpowiadać zachęcającym go do stanu małżenskigo, iż na krótkie życie przysposabiać sobie bolesci kosztem kilku chwil szczęścia nie było warto.

Pan Sykst był milczący, nał towarzyski i wyjąwszy Jadwisę, serca nikomu nie otwierał. Powróciwszy z wojska, zamknął się w domu i życie uregulował jak zegarek i stał się zrazu zagadką i tajemnicą dla przyjaciół rodziny. Długo bowiem nie umiano odkryć na jakim liściu zielonym żyje ta cicha gąsienica. Któż nie wie że wszelaka istota czems się żywić musi? myślą, nadzieją, namiętnością, słabością, marzeniem, nałogiem... Każdy z nas ma ten liść, który wysysa, od którego barwy nabiera. Starano się odkryć co on tam robi zamknięty po dniach całych w pustych izbach swego domu i gdyby nie stare kumoszki i nie Kunusia, którą do spisku wciągnięto, wieleby próżnych wyszafowano domysłów. Niektórzy posądzili go o alchemię, gorsi o fałszowanie pieniędzy, pijacy o ukrywaną słabość do trunków, kobiecieciarze o wstydlive pod kluczem miłości, pobożni o skryty ascetyzm, a wszystko to okazało się fałszem, gdy Kunusia wyjawiała, że Sykst... musiał pożyczać na lichwę

gdyż w pokojach jego gromadziły się stosy takich rupiec, których przytomność inaczej doprawdy dla niej wytłumaczoną być nie mogła.

Myliła się szanowna panna Kunegunda, ale nieoswojonej z nauką archeologii mogło to być przebaczeniem: pan Sykst rozkochany w przeszłości zbierał jej szczątki... Z tego sobie zrobił cel życia. Wstydził się on tego defektu, ukrywał z nim, wypierał się go nawet, czuł niedorzeczność całą podobnego zajęcia. ale im dłużej dał nad sobą panować słabostce. tem ona go nielitościwiej pod swe rządy zajęła. Nic tak nie pochłania człowieka, jak przedsięwzięcie zbierania tego, co los rozprasza umyślnie... niszczy. sieje. łamie, chowa. aby się naśmiewał z ludzkiego trudu. Jest to walka z przeznaczeniem. bój z dołą zniszczenia wyrokujący, coraz gorętszy. zjadlejszy. namiętniejszy; im się zdaje szczęśliwszym na pozór, tem jest daremniejszym w istocie. Rozum nie stawia tu granic, pragnienie je coraz rozsuwa, ze szczupłego naczynika, które dwie łyzy mogłyby wypełnić, robi się Danaid beczka bezdenna.

To pewna, że gdy p. Sykst z nudy i tęsknoty zaczął zbierać guziki od mundurów różnych, nie domyślał się wcale, iż od nich przyjdzie do medalów. do sprzętów. do ubiorów, do ksiąg, pieczęci, obrazów. rzeźb, naczyń i t. p. Z małemi zasobami nie mógł się nawet porywać na rzeczy wielkie, ale namiętność rosła, trudno jej było od ust sobie odejmując, nie karmić... a w świecie począwszy od guzika tak się wszystko trzyma jedno drugiego, że guzik prowadzi wprost do granitowej bryły... Nie dała namiętność spokoju p. Sykstusowi, ale mu się wypłaciła chwi-

lami niewypowiedzianych zachwyków. Miały one to cudownego do siebie, że nie nasycaly do przesytku a obudzały nowe pragnienia nieugaszone... a szczęście ziemskie jestże czem innem, jak sztuką wiekui-stego pragnienia, to jest niewyczerpanej nadziei? Formułą jego musi być nie to co się pochwyci całe, ale czego spożyć człowiek nie może a żąda bez końca... Na małą skalę kolekcyomania rozwiązuje zadanie ludzkiego szczęścia tem, że nigdy nie ma ostatniego terminu a w pośrednich swych studyach chwilowo uszczęśliwia osiągnięciem cząstkowych zachceń, okupionych pracą, więc drogich człowiekowi.

Raz zaprzągłszy się do tego pługa, p. Sykst łączył się zgubionym, zawrócić się nie było sposobu, miał cel w życiu, zajęcie, miłość, żądze, ale stracił spokój i swobodę rządzenia sobą. Należał odtąd do przeszłości i jej odłamków. Nawet przywiązanie do Jadwisi nieco ostygło od tego żaru i gorączki antykwarskiej, której w dodatku potrzeba się było wstydzic i zapierać przez jakieś uczucia niewytłumaczone. Sykst przyznać się nie chciał nikomu co robił, obawiał się szyderstw, a tajemnica, którą się otaczał, pozbawiała go największej może z przyjemności rzemiosła—chwalenia się przed ludźmi ze zdobyczy. W początkach guziki mieściły się w kilku szufladach a szuflady w jednej komóдке. ale się zbiór urozmaicać począł, jeden pokój nie starczył, zająć musiano drugi. trzeci i tak dalej rozpostrzeć po całym pięttrze...

Kolekcyja starożytności miała lat już piętnaście, gdy Jadwisia dochodziła dziewiętnastu... obie prawie

razem wyrosły... Zrazu dla siostrzenicy nawet i Kunegundy był zbiór niedostępnym. ale w końcu skryć go przed niemi stało się niepodobieństwem... jak popot zalewał coraz odleglejsze kąty.

Sykst miał i szczęście osobliwe i nmiętność zbierania rzadką. Uczucie, które było pierwszą pobudką do tworzenia zbioru, niewiele widziało i odgaadywało w przeszłości, choć ją kochało, nanka nie szła mu w pomoc. ślepe a namiętne dawało się oszukiwać, łudziło samo, ztąd i zbiór najdziwaczniejsze stopy gratów przedstawiał. do których Sykst tylko szczególną z jakichś pobudek pochwyconych w powietrzu przywiązywał wagę. Można powiedzieć, że z niczego tworzył to muzeum, którego zabytkom nadawał znaczenie, historią, wartość wydobywając z niedostrzeżonych jakichś oznak cechy i rodowody przeszłości. Obok najcenniejszej pamiątki leżały tam najniezrozumialsze odłamy, które on tylko sam wytłumaczyć umiał. Te, co dla oczów i nauki były najmniej cenne, jemu się wydawały najdroższe. Naostatek zbierał wszystko... chwycił i znosił co napadał. Całe dnie spędzał wśród pyłu, rdzy, pleśni i stęchlizny najrozmaitszej, zamkniętej, rozkoszując się w tem grobowem królestwie.

Tymczasem Jadwisia rosła... o swoich siłach, ale nauczyciele. rówieśnice. młodość, osamotnienie krzepiły ją i uzbrajały do żywota. Z rana przychodziła pocałować w rękę wuja. któremu przynosiła kawę do jedyne go pokoiku przystępnego dla wszystkich, w którym rupieci swych nie trzymał. Pan Sykst czekał już zwykle ubrany w stary surdut ze zbrukaną orderową wstążeczką. z czapką i kijem, gotów do wyj-

ścia, wychodził bowiem co rano na łowy, oglądy, targi i różne spekulacje... Rozmowa była krótka i obojętna; czasem popatrzył na nią i uśmiechnął się a gdy był w bardzo dobrem usposobieniu, pocałował. Jadwisia szczebiotała o rzeczach obojętnych, nie wolno jej było bowiem zapytać się o to co więcej robił, co myślał i czego dokonał, lub co go gryzło... Czasem, bardzo rzadko, gdy pod świeżem wrażeniem zdobyczy, jakiej weselej mu było w duszy, a rzecz, o którą szło przystępną mu się zdawała dla pojęć i smaku dziewczęcia, częstował ją widokiem jakiego klejnotu, kawalka materyi lub starego na korku trzewika... Jadwisia, która wierzyła w niego unosiła się, a pan Sykst uśmiechał tryumfująco.

Sykst szczególnie był brzydki gdy twarz jego wyraz ten przybierała: kulawy, pochylony na lewą stronę, głowę nosił z wysiłkiem prosto na szyi stojącą, na wysokiej twardej rogówce czarnej, która była niegdyś wojskowym balstnchem. Z wojska został mn na pergaminowej żółtej twarzy wąs szpakowaty, gruby, ale dla wygody od dołu równo ucięty pod linią, pod nim kryły się usta tak szerokie, że zdawały się krajać twarz na dwie nierówne części: wychodziły one daleko za wąsy i przepadały kędys kółkami w pomarszczonych policzkach... Gdy się śmiał Sykst, usta te rozszerzały się, twarz skracala i robiła podobną do jakiejs fignrki drewnianej, do dziadka od orzechów...

Zaraz po kawie Sykst brał czapkę i kij i wychodził... nikt nie wiedział dokąd i po co... Spotykano go wśród dnia w najrozmaitszych miejscach, po klasztorach, na strychach, za miastem grzebiącego w ziemi,

na wszystkich licytacyach a czasem po najuędzniejszych chałupach i kletkach.

Doświadczenie bowiem nauczyło pana Syksta, że sprzęty i ludzkie pozostałości wedle niezmiennego prawa, powoli schodzą z pałaców do lepianek, albo przeistaczając się nieco lub tylko uędzniejając i zużywając... Często też bardzo zabytków zamkn. szczątek zbytku, szukał pod strzechą słomianą i znajdował je tam... Utrzymywał on, że jak na dnie stawu można oznaczyć czas zatopionego drzewa po głębokości w której spoczywa, tak wiek przedmiotu da się wyliczyć głębinią do jakiej spadł po szczeblach... przez wieki... Pan Sykst gdy mn pochlebiało odkrycie, był nadzwyczaj w ocenieniu jego łatwowiernym...

Okolo południa wracał zwykle ze zdobyczą boczuemi ulicami, tak, by go niewidziano, nieieszony, ale kryjąc się ze swą radością, bo się obawiał niesłychanie szyderstwa. Pomimo największego starania, aby ukryć swą uamiętność i jej skutki, pan Sykst podejrzany, odgadnięty, wreszcie, zaczepiony, ujrzał się wydanym na łup ludziom, którzy go zrozumieć nie myśleli wcale, ale radzi byli wypłacać mu figla, lub jak się to pospolicie zowie, wziąć go na fundusz. Łatwowieństwo antykwaryusza czyniła go łupem najbezwstydniej obmyślanych psot, a doświadczenie nie było nauką na dzień następny. Wywiedziony w pole. nazajutrz dawał się oszukać bez wielkiego wysiłku na tęż niecną psotę. Prowadzono go często do najbrudniejszych kątów pod pozorem jakiegoś nabycia, rzucono wśród ludzi nierozumiejących czego żądał, narażano na tysiączne nieprzyjemności i złe obejście. Zuo-

sił on to jak nieuchronne ciężary powołania i nasapawszy się, nałajawszy, nakławszy, powracał niezmożony do dawnego trybu poszukiwania. Ponieważ pan Sykst przywiązywał się do nabywania rzeczy niemających wartości dla wielkiego ogółu śmiertelnych, a zarobek stosunkowy na nim był nęcający, przemysłni i złośliwi najwięcej z niego korzystali. Oszukiwano go, ale w tym starym Krakowie, gdzie o zabytki nie trudno, i kiedy ich naówczas, gdy pan Sykst poczynął nikt jeszcze tak bardzo nie cenił, znalazły się w istocie cenne rzeczy, które weszły do magazynów łowów i rupieci pana Syksta.

W ostatnich czasach pierwsze piętro kamienicy przedstawiało osobliwszy widok mało komu dostępny. prócz tragarzy, którzy znosili i ustawiali i Kunusi czasem wpuszczanej tu dla ścierania pyłów i pomocy staremu. Jadwisia wciskała się bardzo rzadko, korzystając z dobrego humoru wuja, ale pan Sykst tak się i od niej szydersko obrażał, tak śledził jej wejścia, taki był niespokojny widząc ją krzątającą się wśród swego muzeum, że nie chcąc mu czynić przykrości dobre dziewczę, mimo zaciekawienia co prędzej uspakajając starego, uchodzić musiało.

Kletki sklepione różnych rozmiarów, w których zbiór się mieścił, byłyby dla malarza wnętrzów szacownym materiałem do obrazu. Wciskające się wązkiemi okienkami światło, fantastycznie ozłacało posągi świętych z kościołów zrujnowanych ocalone, całe ołtarze, rzeźby, obrazy, wieka grobowe, figury, zegary, zbroje, tarcze, dywany, obicia, suknie porozwieszane, szafy rzeźbione, stoły złociste, krzesła o wysokich poręczach, misy, dzbany, porcelany, szkła, ty-

siączne łupiny żywota przeszłego, świadczące wymownie o twarzy lat zmarłych...

Było tam wszystko co zamarzyć można, aż do ksiąg i rękopismów, pereł i drogich kamieni, łańcuchów i medalów... Cały dochód od kapitału, wszystek grosz oszczędzony. zresztą niewiedzieć z kąd brane, często pożyczane pieniądze poświęcił Sykst swoim zbiorom. Chodził w jednym podartym surducie. w tak lichym. że z czarnego stał się kasztanowatym, jadł chleb z masłem. lub suchy, odzwyczaił się od fajki, byle grosza dla swej namiętności przysporzyć.

Gdy znalazł przedmiot ponętny, a zaceniono mn go wysoko i obawiał się być podkupionym. dokazywał cudów, aby go sobie nie dać wydrzeć.

Takim był ów pan Sykst wujaszek Jadwisi. Sądźmy, że się go już zresztą domyślicie.. Trudniej odgadnąć dziewczę samotne, w pokoikach drugiego piętra wiodące życie prawie zakonne. Mieszkanie było dosyć wesołe od ulicy, i tak świeże a życiem tchnące jak Syksta zapalone i stęchłe.. Na oknach kwitły proste ale wonne i pstre kwiatki, powiewały w nich białe firanki. świeciło przez szyby słońko. jakoś ochotczy się wdzierając do panieńskiego przybytku. Jadwisia miała swój salonik ze starym fortepianikiem wiedeńskim, na którym grywała, małą biblioteczkę, stół do roboty, krosienka i obok sypialnię w kształcie ołtarza, w którym był stary obraz N. Panny, darowany przez wuja, ale z warunkiem, że z domu nigdy wyjść nie miał.. Była to deska, przed wieki gdzieś na wschodzie pobożną starannie malowana ręką. Sykst był najpewniejszy. że się przed tym obrazem modliła królowa Jadwiga. Otóż wśród czego upływało życie

dziewczęcia pobożnego jak wszystkie Krakowianki, codziennie chodzące na msze, w towarzystwie Kunnsi, która ją wiodła, szła potem na targ i ze mszy odprowadzała do domu. Kilka rówieśnic znajomych, przechodzących czasem po cichu na kawę, z warunkiem, że się będą bardzo cicho sprawowały, stanowiły całe towarzystwo. Czasem pani Sylwestrowa daleka krewna Jadwisi, zapraszała ją do siebie za pozwoleniem wujki, brała na przechadzki i dostarczała rozrywek żywych, których dziewczę łakomem nie było.

Cichą ptaszykę, lubiącą gniazdko swoje Pani Bóg stworzył na szczęście; nawet myślą nie odlatywała od niego daleko. Kochała bardzo wujaszka Syksta, lubiła muzykę, chowała gołębie, szyła drobne rzeczy do kościołów i nie wiem czy pomyślała kiedy, żeby w jej życiu zajść mogła jaka zmiana. Tak jak było, było jej dobrze, nie pragnęła więcej, aby nie stracić tego, co stanowiło szczęście. Rzadko w młodej główce było co u niej spokojne i taki instynkt prawdziwych celów żywota...

Gdy rówieśnice szczebiotały o swych projektach, często zachwalały, dziwacznych i do zbytku niepodobieństw przykarmionych, Jadwisia się śmiała z nich, bawiła nimi, ale jej chęć do naśladowania nie ogarnęła nigdy. A kiedy mnie tak bardzo dobrze! mówiła... Uważano się, że jej być musi nudno w tym pustym domu pełnym strachu i dziwadeł; trzęsła główką i powtarzała:— I nienudno i niestraszno i przywykłam i z tem mi dobrze, i niczego innego nie pragnę .

Uważano też Jadwisę za wzór rozsądku, ale po cichu osądzono ją za chłodną, a figlarniejsze panienki szeptały sobie całkiem niesprawiedliwie, że Jadwinia

musi być trochę ograniczona. Myliły się w tem wielce, poważną była, nie chlubiącą się sobą, ale samotność nazwyczaja ją wcześniej do myślenia i pracy nad sobą. a spokój duszy i serca ułatwił trud i czynił go miłym...

Jadwisia czytała wiele. odgadywała więcej jeszcze, ale jak wuj jej wstydził się swego antykwarstwa tak ona kryła się z nauką i myślami, aby się na śmiech nie narażać. Wiedziała a raczej czuła, że rozumniejszym nad tych co nas otaczają, bezkarnie nikomu być nie wolno... Skromność przytem była najwybitniejszą jej cnotą. a miłość pokoju najgoręcej upragnionem dobrem.

Jadwisia nie była tą, którą zowią piękną, chociaż rysom jej twarzy nie zarzucić nie było można — nie ożywiała ich trzpiotowata młodość. nie tryskało na zewnątrz życie. było, jakby alabaster. w którego łonie blado, bojaźliwie paliła się lampka żywota. Cierę miała trochę ciemną, oczy niebieskie. usta kształtne. ale zaledwie lekko zarumienione. owal twarzy regularny. figurkę zręczną, lecz form niezbyt pełnych. Nic w niej nie porywało, nie uderzało, nie pociągało na pierwszy rzut oka, ale im dłużej spoczywało na niej wejrzenie. tem więcej odkrywało skromnego wdzięku, a pamięć twarzy wpajała się głęboko. Gdy szła do kościoła w czarnej sukience z książeczką pod pachą, nikt nie miał ochoty gonić ją wzrokiem. lecz przypatrzwszy się jej oderwać od tajemniczej bladej twarzyczki już mu było trudno.. Kochali ją też wszyscy. a choć rówieśnice trochę miały za powolną i za chłodną, przywiązywały się do niej, przywykały tak do jej towarzystwa. że nieznacznie obojętne stosunki

w nierozzerwaną zmieniały się przyjaźń. Wuj ją kochał po swojemu, mniej pewnie niż stary ołtarzyk. który miał za dzieło Wita Stwosza. ale więcej trochę niż potłuczoną szafę gdańską. z odbitem skrzydłem jednym. nie mogącym się dopełnić.. Kunusia miała dla niej przywiązanie macierzyńskie. ubóstwiała ją. z jej przyczyny trochę nawet czasami nienawidziła starego Syksta, że się ani poznać na siostrzenicy. ani jej życia i rupieci swych poświęcić nie umiał.

Dnie upływały w starej kamienicy bardzo jednostajnie. Sykst wracał na obiad o południu, jadł mało. pił trochę kawy i zamykał się potem w swem muzeum dla porządkowania. wychodził niekiedy po obiedzie raz jeszcze na plantacye, a o zmierzchu był już przy lampie i stoliku. od którego nie zawsze wstawał do wieczery. Częściej mu ją Kunusia nosiła i nazajutrz z nietkniętą wracała. Sykst pracował po nocach, chodził po pokojach. stukał, straszył temi wędrówkami nocnymi ludzi. niekiedy zasypiał dopiero nadedniem. czasem nie kładł się wcale... słowem dziwaczył. Jadwinia około dziesiątej odmówiwszy z Kunusią nabożeństwo przed N. Panną. kładła się spać wcześniej i wstawała rano.

Pan Sykst znajomy całemu miastu. bo któż się choć z widzenia nie zna w Krakowie, wśród którego nowy człowiek wygląda jak świeża łąka na przecho-dzonej sukni? — mało miał bliższych, poufalszych znajomych, a prawdę rzekłszy przyjaciela żadnego. Nie-dowierzający, podejrzliwy, zbliżyć się do siebie nie dawał, przyjmował grzecznie, zimno, milcząco, ale niezmiernie odstręczającym chłodem. Mówił tyle tylko, ile konieczna wymagała potrzeba. nie wywnętrza-

jąc się prawie nigdy. Gdy poczuł, że się wygadać pragnie, szedł w pustą jaką uliczkę, rozmawiał sam z sobą półgłosem. rozruszał ręce, narzucał głową i nasunawszy starą czapkę na uszy. uspokojony monologiem, powracał do domu. Namiętność trzymała go w takiej niewoli, że mu zresztą wszystko w świecie zobojętniało, oprócz jednej tylko rzeczy... wspomnień jego wojskowych i ludzi tej epoki. gdy był młodym nie chromał jeszcze...

Życie coraz starzejącego się dziwaka możeby było upłynęło całe tym trybem zegarowego wahadła powracającego do jednego miejsca by od niego odbitym wprzódby znowu rozpocząć wędrówkę, gdyby nie wcale niespodziewana okoliczność.

Jednego wieczora gdy wyszedł na plantacye żeby się trochę chłodem orzeźwić, wybierając ulicę. w których ludzi było jak najmniej, pan Sykst nagle zetknął się z wysokiego wzrostu mężczyzną w granatowym surducie zapiętym pod szyję. w czarnym twarzym halstuchu, z laską pod pachą. Ów jegomość był mniej więcej wieku pana Syksta. ale daleko od niego rzeźwiejszy, twarz miał rumianą. opaloną, włosy rzadkie widocznie poczernione i wąs kruczo-miedzianej farby, zdradzający grzebyki ołowiane i preparata chemiczne. które mu nadały tak nieposzlakowaną barwę. Pan Sykst byłby go swoim zwyczajem pewnie uchyliwszy się na stronę minął i nie poznał, gdy by nieznajomy popatrzywszy nań z góry, bo był głową od niego wyższy. nie stanął a potem nagle nie uderzył go szeroką dłonią po ramieniu tak silnie. że Sykst aż przysiadł. krzyknął i myślał, że go złoczyńca napada.

Ale razem z tem energicznem pozdrowieniem. wyleciały z ust owego jegomosci wyrazy:

— Kapitanie Syksie! Syksie! kochanie! cóż do miliona kartaczy, czyś oślepl? nie poznales mnie? Jak honor kocham! Sykst! Ale cóż się z ciebie zrobiło? Pfe, czy cię w occie zamarynowano, czy zasuszo- w bibule!.. A! obudźże się...

Sykst w istocie podniósł oczy, popatrzył. obu- dził się. rozsmiał tak szeroką gębą, że mu wargi zda- wały się do uszów dostawać... i poczał coś belkotać niewyraźnie.

— Jak Boga! a! Major Dubiszewski! Majorek! Kochanie! Zyjesz! No! i taki zdrów, młody... zkądże? jakże?...

— A no! na starość zjechałem trochę spocząć do Krakowa... rzekł major. życie mi się wiejskie sprzykrzyło... spodziewałem się tu znaleźć kogoś ze starych towarzyszków... tylko nigdy takiego sucharka jak ty... Co ty robisz?

— Ja... nic! odparł Sykst zawstydzony...

— Ale przecie?

— A no! żyję. .

— Masz kamienicę.. masz grosz!

Sykst się gorzko uśmiechnął. wyciągnął próżną kieszeń brudną i potrząsł nią i westchnął.

— Bieduję. rzekł—niewyraźnie, a tu jeszcze familia... siostrzeuica... sierota... interesa, a w kraju taka nędza...

Major prawie uiesłuchając reszty, zrozumiał- szy z symbolu próżnej kieszeni, która wisiała. bo ją Sykst nazad założyć zapominał—jak się działo da-

wnemu towarzyszowi broni; pochwycił pod rękę opierającego się i pociągnął z sobą.

— A no—chodź do G... na szklanke wina, zawołał, ja funduję... tam się nagadamy.

Sykst zmieszał się, przestraszył. nie bywał nigdy w miejscach publicznych. wina od dawna nie pijał, czuł że mu się potem za przyjęcie czemś odwdzięczać przyjdzie może... zadrżał. chciał się wykręcić. ale nim przyszedł do słowa. nieubłagany major już go włókł z sobą.

— O! nie nie pomoże — nie nie pomoże wołał isć musisz po komendzie! wołać czy nie wołać. pójdziesz ty zemną bratku i pokrzepisz się nieco... może cię odżywie... Czyste wino nikomu w świecie. nawet cho-remu. w mierze użyte, zaszkodzić nie może, dają go na łożu śmiertelnem. byle bez zbytku, ne quid nimis, w miarę... w miarę... Bo ja zbytku niedopuszczę, bądź o to spokojnym...

Nie było obronienia się sposobu. z plantacyi pociągnął major ujawszy pod rękę na ulicę, z ulicy zapakował do sklepu. formując aryergardę, aby mu nie umknął. z pierwszej izby wepchnął do bokówki, kazał podać butelkę węgierskiego i sam siadł w asekuracyi odedrzwi.

Sykst dawno bardzo nie pił przez oszczędność. ale dobremu winu nie był w zasadzie przeciwnym; należał on do tych czasów po trosze, w których jeszcze wierzono. że Noe nie darmo wycisnął winne jagody i że w nich była wielka siła, dana przez Opatrzność ludziom dla odżywienia ich i pokrzepienia... Zaszedł go zapach węgrzyna jak miłe przeszłości wspomnienie. mimowolnie przytknął lampeczkę do

nosa, do ust, klasnął językiem. pociągnął hausik i weselej zaświeciły mu oczy.

— O! dalipan, nektar! zawołał mimowoli.

— A widzisz, rzekł śmiejąc się Dubiszewski. Cóż ci, to ty się zapisał do towarzystwa wstrzemięźliwości i skazał na wodę... a to ty było nie po żołniersku... Zbytku i ja nie lubię, bo to człowieka bydlęciem czyni, ale na humor lampeczka laetificat cor i dla konkokcyi nic lepszego...

— Dla konkokcyi powtórzył Sykst—tak! tylko dla konkokeyi.

Uderzyli szklaneczkami z westchnieniem.

— Żeby się nam dobrze działo! rzekł major, na na zdrowie! Hej! hej! bratku! a pamiętasz ty nasze czasy pułkowe! To to było na świecie wesoło. rażno. ochoczo... a dziś...

Od tych słów poczęła się gawędka ożywiona, bo gdy się raz sakwa podróżna wspomnień rozwiąże, sypią się z niej jak z rogu obfitości skarby niewyczerpane.

To też starzy towarzysze broni nagać się nie mogli. Gadu! gadu, od przeszłości do terażniejszości jakoś łatwo się przeskoczyło. major był ciekawy dowiedzieć się o losach kolegi. Sykst nigdy jeszcze nie czuł się przed nikim tak skłonnym do wywnętrzenia jak przed majorem. Ależ bo dawniej tajemnic dla siebie nie mieli. Począł Sykst spowiedź powszechną choć bez skruchy. Major go słuchał poważny, chłodny, nieokazując po sobie najmniejszego znaku sztyderstwa. choć w duszy często mu się potroszę na smiech zbierało. Ale też major nie był tak pospolicie odstawnym majorem jak z jego wąsów poczer-

nionych wnosić było można, na pozór rubaszny zębacz. krył w sobie naturę człowieka przynajmniej nie powszednich. jeśli nie idealnych rozmiarów.

Major Marcelli Dubiszewski pochodził z rodziny szlacheckiej, nie bardzo zamożnej, kędyś z Sandeckiego. rzucił się był za młodu do wojska. służył razem z panem Sykstem, był żołnierzem co się zowie wybournym, a, co rzadko w wojsku się trafia, miał także instynkt porządku, oszczędności i talent do robienia grosza, że z niczego niemal, gdy drudzy w długach po uszy chodzili, on pomagając innym. nie skąpiąc sobie i bez krzywdy ludzkiej się dorabiał. Wprawdzie major był snrowym dla siebie. ale nie skąpym nawet, dla ludzi z oględnością uczynnym—ale na koniach szczególnie umiał wybornie spekulować... Z ładem żyjąc, z kredką i główką jak mówiono, dorobił jeszcze w wojsku niezłego fundusiku i już miał kapitaliki produkujące po ludziach. Dziwiono się temu niepomału, bo rzadko żołnierz grosza się dorobi, podejrzrywano go różnie. ale major czysty był jak złoto, tajemnic nie miał, a całym sekretem jego było trochę szczęścia, a wiele porządku i rozsądnej rachnby.

Później już major po dalekim krewnym. wcale niespodziewanie znaczy^{ły} odziedziczył kapitał: był on pono kanonikiem w Kielcach i nie mając bliższej rodziny, choć mało sobie znajomemu majorowi. całą przekazał spuściznę...

To pewna, że wzięwszy dymisią Dnbiszewski, który próżnować nie lubił, kupił trzy piękne wioski, do których potem i czwarta dla zaokrąglenia przyszła, doskonale na nich gospodarował, dużo grosza przyrobił i wybornie sobie dawał rady na świecie.

Ale...

Wszędzie jest to ale...

Ale major bywał w domu despota. opryskliwy i niepomiarowany. prawdomówcą. nieoszczędził nikogo, gorzko często zalażał za skórę, bo języka powstrzymywać nie umiał. To mu robiło nieprzyjaciół... Drugiem ale było, że niefortunnie występował w sprawach serdecznych. choć najgoręcej ożenić się pragnął, tracił na starania i konkury wiele czasu. wiele serca. a nigdy ożenić się nie mógł—biorąc się do rzeczy trochę po żołniersku, prawie szturmem i przebojem. Dla tego też może począwszy szpakowacieć tak starannie włosy czernił i wąsy szwarcował. uparcie trzymając się na stanowisku mającego koniecznie kiedyś ożenić się człowieka.

Nadzieja ta go nie opuszczała. nią żył. nią oddychał... oddałby był wiele, wiele, żeby tę potrzebę serca mógł zaspokoić i stworzyć sobie rodzinę, której nie miał. Ale z każdym dniem, mimo poczernionych wąsów, zdawało się to trudniejszym... młode panienki obawiały się podtatusiałego majora, a dojrzalszych i przejrzałych on jakoś nie lubił.

Niejeden raz zdawało mu się, że już się do tego npragnionego celu życia dojdzie nareszcie, gdy niespodzianie wpadł ktoś, coś przeszkodziło, zaszyły okoliczności nieprzewidziane, panna się rozmyśliła, familia zawahała i nieszczęśliwy major poszedł z kwitkiem. Po każdym takim wypadku dawał on sobie słowo zostać kawalerem, wyrzec się marzeń, poświęcić gospodarstwu, wąsów nie czernić i t. p. ale... jedno wejrzenie czarnych oczek całe niewinne nawet, jeden uśmieszek schwytyany mimochodem, znowu go

w matnię wpędzały, major rozpoczynał konkury, zrazu ostrożnie, potem coraz zapalczywiej i—i wychodził z nich wiadomym sposobem... smutny i zrażony.

Napaadały go po zawodzie mizantropie i mizogonie, narzekał na białogłowy, bluźnił przeciw niewiastom, powtarzał wierszydła na nie przez kwaśnych starców pisane, ale to nie trwało... Byle jasna twarzyczka, Dubiszewski odmłodził... i znowu wąs szwarcował.

Sykst, który dawno towarzysza broni nie widział, znał go jeszcze jako owego miłego, wesołego, zapobiegliwego koleżkę, którego worek często był w rekwizycyi dla przyjaciół, a humor weselne zebranie rozweselał, nie wiedział wcale, że z chudopachołka na dorobku, major przeszedł na pana całą gębą. Wyobrażał go sobie jako brukowca z małym kapitałem w kieszeni.

Zdmniał się niezmiernie, gdy Dubiszewski wysłuchawszy jego spowiedzi cierpliwie, odplacił mu się za nią opowiadaniem o swych dobrach, folwarkach, pałacu, oranżeryach, kapitałach i dochodach... Pann Sykstowi zrobiło się jakoś smutno — nie była to zazdrość przecie, ale zwrot myśli na swoją biedę... Wprędce wszakże humor odzyskał. W starem koleżeństwie szkolnem i wojskowem jest wielka siła spajająca, a dobre też wino węgierskie ma dużo w sobie kleju i pierwiastków miłości a zgody...

Wychyliwszy po parę kieliszków starego tokaju, przysunęli się do siebie i szeptali i śmiali się i wzdychali i podspiewywali i odmawiali całą litanią nieboszczyków, braci broni, którym oczy śmierć zamknęła...

wiecznego im życząc spoczynku. Zagadali się tak. ani postrzegłszy jak dużo im to zabrało czasu.

Pierwszy to raz od lat kilkunastu pan Sykst się tak z powrotem do domu niesłychanie niepraktykowanie opóźnił, tak że już w kamienicy alarm powstał z tego powodu. Wysłano najprzód stróża na zwiady ku plantacyom. Knnusia niespokojna pobiegła w drugą stronę. Jadwisia sama stanęła w progu przerażona. Szewc na dole przejęty ważnością tego wypadku, a człek myślą daleko zawsze sięgający, mówił z żoną po cichu o trafiających się nawet najchudszyim ludziom apopleksyach, które często i zawiędłych i na pozór najmniej skłonnych, napadają.

Tymczasem przyjaciele wysuszali powoli ową butelczynę tokaju, a choć Sykst chciał postawić drugą, major się oparł, aby—ne quid nimis, nie było nadto. Dubiszewski powoli opanowywał starego towarzysza. jedno słowo wytłumaczyło mu jego manię, namiętność życia, słabostkę... Śmiał się z niego w duchu z politowaniem, ale przez próżniactwo. bo w Krakowie nie miał co robić,—był ciekawy.

Zachciało mu się widzieć te zniemane skarby i być dopuszczonym do muzeum tak szczelnie zamkniętego dla wszystkich... obawiał się aby nazajutrz Sykst nieco ostygłszy ze wzruszenia nie pomiarkował się i drzwi mu, jak innym nie zamknął.

— No! rzekł major wstając nareszcie, gdy się postrzegli, że było nieco późno, bądź co bądź, już choćby dla tego, żebym do ciebie jutro trafił, dziś cię muszę odprowadzić do domu.

Wymawiał się Sykst, ale nic nie pomogło.

— Chodźmy razem, i dopókim ja w Krakowie,

dodał Dubiszewski, już cię mój stary nie puszczę... zapomnij o innych rupieciach... wszakże to i ja potroszę antyk jestem... powinienby ci być miłym.

Pośmieli się tedy i ręka w rękę poszli do pana Syksta w jak najlepszej komitywie, podśpiewując stare żołnierskie piosenki... Po drodze już wszakże i w miarę jak się do jego domu zbliżali, Sykst rozmyślać począł, że popełnił może wielką niedorzeczność, że któż wie i—mógł sobie wprowadzić nieprzyjaciela do obozu? Dubiszewski gotów za sobą innych naściągając natrętów... no! ale cofnąć się było już trudno.

Postanowił wszakże odprawić go od bramy, pod pozorem żeby się po bardzo złych wschodach nie fatygował.

— Ale ba... a jutro?


Jntro się zawsze mniej niebezpiecznem wydaje niż dzisiaj—jutro. myślał pan Sykst pójdę z nim na plantacye i jakoś się od odwiedzin wykręcę... powiem że Kuunsia klucze zabrała.

Tymczasem się rzeczy wcale inaczej złożyły niż pan Sykst obrachował... Trafili właśnie na próg kamienicy w chwili, gdy Jadwisia niespokojna czatowała tu na wuja... a zobaczywszy go tak pod ręce z nieznajomym, sądząc że był chory... podbiegła ku nim.

Major podniósł oczy—nic dotąd o sostrzenicy nie wiedział—zobaczył piękną Jadwisę i—osłupiał...

Wszystkie dawne marzenia i nadzieje pozbyte, tłumnie wpadły do jego serca... wszystkie zakłęcia i słowa dawane samemu sobie, zostały zapomniane... Jadwisia była tak słiczną, tak młodą.. a do tego... siostrzenicą towarzysza broni... ubogiego, biednego Syksta.

— Ej! do krośet, rzekł, patrząc na nią major... albo ta, albo już żadna, ostatni raz... ale spróbuję... Co będzie to będzie..

To mówiąc, na niespokojne zapytanie dziewczęcia, zabrał zaraz głos do odpowiedzi w imieniu pana Syksta, skłonił się z pełną galanterią wesołością, zaprezentował, wytłumaczył, że zasekwestrował wujaszka, że on był winien wszystkiemu, że niezmiernie go to bolało, iż na niespokój naraził. Był w tej chwili niezmiernie wymownym, słowa mu z ust płynęły z taką łatwością, doborem, kwiecistością, że się sam swej elokwencyi dziwował. Jadwisia wprawdzie zmieszana nie wiele go rozumiała... ale już od razu mocno się złękła. był napastliwie grzecznym i nadskakującym. 

Sykst, którego to oku nie uszła, uśmiechnął się złośliwie, przez myśl mu zaraz przebiegło — Hej! majorzysko stare... a gdyby się w Jadwisi zakochał... no! no.

Majorowi znów na starość przychodziło to tak łatwo, że co Sykst ledwie jako możliwe przypuszczał, już na wpół było dokonaniem. Dubiszewski, jak jasna świeca palił się rozplomieniony przed panną Jadwigą, która zmieszawszy się, oczy spuszczała i nie wiedziała co począć.

— Odprowadziłem pani wujaszka — rzekł major, — w całości, ale to mój dawny kolega, opnieć mi go trudno, przyjmijcież mnie na wieczór do siebie.

— A z całego serca! przerwał Sykst, który już w duchu marzył o wydaniu siostrzenicy a zatem i o zbliżeniu jej do majora, chodźmy na górę. Jadwisia

nam zagra a my... herbatki się napijemy i pogawędziemy...

— Cudowny projekt! dodał major, podając rękę panience... Służę państwu...

W drodze dopiero Sykstowi a więcej jeszcze Jadwiś zaczęło przychodzić na myśl, ile w tem zuchwałem zaproszeniu było przygotowanego kłopotu... Dom był ubogi, bardzo ubogi, rzadko do niego gość zawiatał.. pan Sykst w tej chwili nie miał grosza przy duszy, herbata i jaka taka zakąska wymagały trochę wystawy, porządków, trochę wydatków. na które wcale przygotowanemi nie byli. Idąca za Jadwigą stara Kunusia, która całą słyszała rozmowę, jeszcze się może więcej nad samych państwa zafrasowała... ruszała ramionami i mruczała...

Skłopotanie nagłe wszystkich nie uszło uwagi majora, który był znawcą wielkim ludzi i odgadywał uczucia i myśli; a tu wielkiej domysłności nawet nie było potrzeba. żeby powodów pomieszanania dobadać — Dubiszewski wiodąc po wschodach Jadwinę do jej pokoików. bo tylko tam przyjąć go było można, łamał sobie już głowę, jakby zręcznie kłopot, którego się stał powodem usunąć... Kunusia mu w oko wpadła a jej mruczenie znaczące. podało myśl zaradzenia biedzie za jej pośrednictwem. Śmiały, jak stary bywalec i żołnierz, wpuścił do jej pokoiku pannę Jadwigę, a sam pod pozorem płaszcza zatrzymawszy się na progu, zbliżył się do staruszki i wciskając jej kilka talarów w rękę, rzekł na ncho: My z panem Sykstem koledzy starzy, prosił mnie abym go zastąpił. Mamy między sobą rachunki dawne... Obliguję nie żałować, żeby wszystko było jak należy.

Kunnsia z razu spojrziała zdziwiona. cofnęła się. ale major nie mogąc schować swojej natury. rzekł imponująco: — A poncz pann Sykstowi sam przypawię. Gdy tedy stara nieśmiała co na to odpowiedzieć, on nie czekając dłużej wszedł do pokoju.

Są w duszy ludzkiej instynkta czasem dziwne, zapowiedzi i groźby wczesne, które przynosi z sobą sama jakaś postać, odgłos. mowa, twarz, pierwszy raz zjawiającej się istoty. Ostrzega coś, byś się miał na baczności; może nim niebezpieczeństwo zrodziło się już zachowawcze poczucie, jak liść mimozy drży i od dotknięcia jego ncieka. Jadwinia, która przywykła była wiek i powagę każdą szanować, mimowolnie przy świecy wpatrzywszy się w twarz pana majora, a raczej na pierwszy dźwięk jego głosu zadrżała i niewytłumaczoną przejęta została obawą i niechęcią ku niemu. Pomimo, że jego wejrzenie ścigało ją. że się przesadzał w grzecznościach, że jej nadskakiwał a około wuja chodził z największą troskliwością, Jadwisia przeczła w nim jakby nieprzyjaciela... odpowiadała mało, tuliła się do kółka, była roztargnioną i smutną. Sykstns, któremu dokuczyło ubóstwo przy nieograniczonej namiętności i który w majorze mimowoli szanował bogacza, niezmiernie był tem zafrasowany, że jedyna rzecz, którą przyjąć mógł starego wiarusa, świeży uśmiech dziewczeczki... niechętnie jąkoś wykwitał na jej nstach...

Użył nawet swej powagi, by Jadwisię sprowadzić do stolika i kazał jej usiąść bliżej, w świetle naprzeciw majora. mruczając aby go bawiła.

Ale pana Dubiszewskiego wcale bawić nie było potrzeba; w doskonałym przyszedł humorze, rozczuło-

nym był dla starego kolegi, wielbił wszystko, unosił się, dowcipkował. Słowem odmłodził przejęty wspomnieniami lat szczęśliwszych.

Kunusia powróciła wkrótce z herbatą, z flaszką rumu i essencyi ponczowej. cytrynami i całym przyborem do ponczu i podwieczorku. Sykst od czasów wojskowych nie pijał nic, ale pamiętał na jedną godzinę wesolą, spędzoną przy wazie gorącego napoju wśród chłodnej nocy jesiennej na biwakach.

Major pomagał Jadwisi w gospodarowaniu, zrobiono herbatę, z niej dla obu wojskowych, dnlcis recordatio praeteritorum (słodkie wspomnienie przeszłości) lekki wyborny ponczyk i znowu przy nim pсыpały się gradem wspomnienia kampanii, obozowisk, bitw i przygód wojskowego żywota. Rozmowa szła gwarno, wesoło, ochoczo i byłaby trwała może aż nadto długo, gdyby w końcu nienawykły do podobnych rozrywek, pan Sykst powoli na kanapie, uśmiechając się, drzemać nie zaczął.

Major poznał, że czas się było oddalić, uściśnął go czule, zamówił sobie obejrzenie starożytności, pożegnał Jadwisę najwykwintniejszym ukłonem i najśłodszym, na jaki się mógł zdobyć komplementem.. grzeczne słowo powiedział starej Kunusi i bardzo rad z siebie wyszedł, zapowiadając przybycie swe na jutro...

Jeśli kto, to stara sługa, której bez ceremonii prosił, ażeby mu poświęciła na wschodach, zgorszona była tą ponfalością nagłą nieznanomego człowieka, który był już u pana Syksta, jak w domu.. Kiwała strasznie głową, dziwując się temu osobliwyszemu na-

trętown, co jej śmiało dysponować, pieniądze dawał i rozgościł się od razu niezważając na nikogo.

Przeciwko wszelkim swym obyczajom, po odejściu majora wujaszek pozostał zamysłony głęboko na kanapie. Zbierano herbatę, Jadwisia nawet wyszła się do sypialni pomodlić a pan Sykst zadumany, głową kiwając, rozważając coś, uśmiechając się sam do siebie, nie ruszał się z miejsca.

Dając mu napróżno do zrozumienia, że czas by było, aby już sobie poszedł na swoje pierwsze piętro, Knuisia zajęła stanowisko wyczekujące u progu, ale to wcale nie poruszyło wujaszka, który wielkie znać strategiczne plany układał.

Jadwisi już się czas kłaść było, nie wiedziała co począć, czekała, gdy pan Sykst rozbudzony zawołał

— Panno Jadwigo! chodźno waćpanna tutaj...

Uchyliwszy drzwi, Jadwisia powoli weszła do pokoju.

— Wiesz panna co ja myślę? spytał Sykst.

— Nie wujaszku.

— Ja ciągle o waćpannie i o jej szczęściu myślałem...

— Bardzo wdzięczna kochanemu wujowi, ale z łaski jego ja jestem... bardzo szczęśliwa.

— Ale gdzież tam! waćpanna możesz być daleko szczęśliwszą...

— Wątpię...

— Bo nic nie rozumiesz.

Tu Sykst się uśmiechnął i rzekł ciszej:

— Ty tego nie wiesz, że major jest bogaty jak Krezus, że koniecznie się chce ożenić i że...

— Pierwszy raz w życiu widziałam majora.

— Prawda? he! piękny, miły i wcale jeszcze czerstwo wyglądający mężczyzna... he?...

— Tak, ale nie młody... szepnęła Kunusia. kiedy z jegomością razem służyli.

— Nie mieszajże mi się do rozmowy, kiedy się o zdanie nie pytają zawołał Sykst. Otóż jeśli młodo wygląda, to jest młody... dosyć. Do panny Jadwigi mówię, która, gdyby, chciała i umiała...

Jadwisia się zarumieniła. ale udała. że nie rozumie.

— Major ma tegie cztery wsie i kapitały, człowiek dobry. choć do rany przyłożyć, żadnego defektu i żadnego nałogu... To jest dla ciebie spokojnej, pobożnej, dobrej dziewczyny... partya... to jest...

Kunusia mimo zakazu z oburzeniem ofuknęła odedrzwi.

— A co też jegomość coś skoncypował! Jeszcze też czegoś naszą panienkę za tego dziada!...

Sykst aż się porwał z kanapy, niewidziano go oddawna tak rozjątrzonym.

— Będziesz ty mi milczeć?

— Nie—odparła Kunusia.

— He?

— Nie, boć to tak jak moje dziecko... a któż je wyniańczył i wychował, pewnie nie wy...

— Te kiedy masz dlań macierzyńskie serce, odparł pan Sykst, nie bałamućże go... ot co! słyszysz.. Ja jej pewnie także nie gorzej życzę od was. a życzę, aby poszła za majora...

Słuchając tego sporn, Jadwisia nie wiedziała co z sobą począć, nie chciała się ani sprzeciwiać ani potakiwać wnjowi, milczała skłopotana.

— Cóż ty na to? spytał Sykst.

— Ja? — nic — nic, odpowiedziała wreszcie, bo zdaje mi się, że z pierwszego widzenia i pierwszych odwiedzin nic jeszcze ani wróżyć, ani zachować nie można.

— A ja go znam zdawna, przerwał Sykst i powiedział wam, że już jest... nasz! Niech tylko Jadwisia nie słucha tej starej kwoki.

— Już i kwoka! przerwała Kunusia.

— I niech ma rożnm, zakończył wnj. a wszystko pójdzie jak po maśle... to pan całą gębą! to magnat! a serce złote! a głowa jak rzadko. Tyłko mi się panna uśmiechnij do niego, a w parę tygodni będziemy mieli wesele.

Niewymownym strachem wyrazy te przejęły Jadwinę. Zadrżała, pobladła, załamała ręce i trwogą przejęta, aż krzyknęła. Ale pan Sykst tak myślą swoją był opanowany, tak ze swego rad planu, że niezrozumiał ani ruchu ani głosu i wziął to za zdziwienie i niedowierzanie.

— Tak jest... dodał śmiejąc się tak mościa panno—mówię to nie żartem... masz gotowego męża...

— Wujaszku kochany, przerwało dziewczę, ależ ja za mąż iść nie chcę... nie myślę...

— Co ty wiesz! co ty znasz? Każda z was tak tak powiada zrazu! Wydać cię dobrze za statecznego człowieka, to mój obowiązek opiekuna... a już ja tego dokażę...

To mówiąc wstał z kanapki i śpiewając poszedł do swego pokoju.

Ale biedna Jadwisia ani się zrazu spać położyć. ani potem usnąć nie mogła, straszliwa groźba, która na nią jak piorun spadła. sen odpędziła od powiek. W tej zapowiedzi małżeństwa z nieznajomym. niemiłym i starym człowiekiem, chociaż się ona mogła wydawać marzeniem tylko przedwczesnem. było złamanie całej przyszłości dziewczęcia. Jakkolwiek — mało ona marzyła sercem i główką nie przypuszczała jeszcze nigdy, ażeby ją obcemu jakiemuś człowiekowi rzucić tak miano dla tego. że był bogatym.

Przed oczyma jej obraz tego wyczernionego, wyprostowanego i uśmiechającego się majora stał ciągle z okrutną groźbą jej spokojowi i szczęściu... Klękała się modlić a poczęła płakać...

Kunusia. która spała pod drugimi drzwiami. a bez ceremonii podsłuchiwała łkania cichego i prze-czuwszy cierpienie swego przybranego dziecka. po ci-chnięciu do niej przywlokła.

Była to stara. prosta, niewielkiej nanki kobiecie-na, ale serca wielkiego i rozsądku niepospolitego. Mi-łość dla Jadzi jeszcze ją dzielniejszą na umyśle czy-niła. Postrzegłszy dziecko płaczące. pochylone na klęczniku, poczęła od groźnego kiwania głową.

— Czegoto panienka płacze i gryzie się. zawo-łała... Stary z pozwoleniem sam nie wie co plecie, w głowie mu się płacze... i plunąć na to nie warto...

Gdzież? co? dopiero się zobaczyli... niewiadomo, czy tamtemu ożenienie w głowie? Zresztą i jegomość. niech sobie co chce gada, sam tak zostaćby nie mógł... nie wydałby rozmyśliwszy się... Idź panienka spać i nie przypuszczaj nawet tego...

Jadzia uściśnęła piastunkę.

— Kunusiu moja, rzekła... jakem pierwszy raz na tego człowieka spojrzała, wnet mnie strach ogarnął... nie wiedziałam sama czemu. Uważaj, jak on od jednej chwili pocziwego wujaszka opanował. jak nim owładnął... widziałas. jak jakoś uparcie patrzył na mnie. jak się uśmiechał i wdzięczył?

— I cóż to znaczy? — odparła Kunusia—stary... zwyczajnie stary zjadłby oczyma młodość... aleć on rówieśnikiem jegomości!!

— Dla czegoż się ja tak lękam! spytała Jadzia, jakbym miała przeczucie...

— Bo panienka świata nie znasz... ludzi nie widziałas i boisz się wszystkiego... o! przeżegnać się i spać, i jeśli jutro ten z czarnemi wąsami przyjdzie niech się panna nie pokazuje. Najlepiej będzie tak zrobić! on przed dziesiątą nie może tu być, ja Jadzię odprowadzę do kościoła. jest u św. Piotra nabożeństwo wielkie, siedź tam, póki ja po pannę nie przyjdę...

— Ale co to pomoże?

— Już mnie panienka słuchaj, odparła Kunusia. a ja się wam klnę, na co mam najświętszego. że tego nigdy nie dopuszczę, żeby mi was za starego niedope-rza wydać miano.

Wzięła się Kunusia w boki i czepiec biały przekręciła aż na bakier.

— Ja sobie jestem prosta sługa, rzekła cicho zażywając tabaki resztę, którą w palcach trzymała — z miotłą chodzę, w pokojach nie siadam, głośno się nie odzywam, ale dobrą radę dać potrafię, i klnę się... panience... bezemnie tu oni dwaj, a choćby ich było i sześciu nic nie zrobią. Śpij panna spokojnie...

To mówiąc dobyła tabakierki, gdyż ostatnia doza nie wydała się jej dostateczną i usmiechnęła się tak do Jadwisi, że jej dnucha dodała, a strach całkowicie odjęła...

Kunusia stara sześćdziesiąt-letnia kobiecina była jedną z tych istot tajemniczych, mało znacznych które w gospodarstwie społecznem, w kółku rodzinnem na pozór skromne zajmują miejsce, grają w nich przecież rolę daleko ważniejszą niż się zdaje... Jak w świecie zwierzęcym mnóstwo istotek drobnych uchodzi przed okiem naturalistów, choć z nich rosną wyspy i tworzą się lody, tak w świecie ludzi, oczy się naprzód zwracają na wierzchołki, najpóźniej na podstawy i tajemne sprężyny żywota.

Do tych sprężyn niewidzialnych należą skromne takie Kunusie, które długie lata spędzają wcielając się do rodzin obcych, bo swoich nigdy nie miały. Los zdaje się je przeznaczać od urodzenia do tych funkcyj cichych a pożytecznych, po których często nawet wspomnienie nie zostaje. Sierota przywiązuje się powoli do rodziny, wciela w nią ofiarą i miłością, znajduje braci i siostry w dobrych sercach obcych ludzi; starzeje u cudzego progu i już przykuta doń opuścić go nie może. Powoli marzenia własnego odrębnego życia rzuca z latami po drodze, nawyka do domu,

uważa go za swój i często skromna suknia sługi nie przeszkadza jej w istocie być panią.

Przy całej niepozorności swej sześćdziesiąt-letnia Kunusia, przez obcych zwana panną Kunegundą, ważne stanowisko zajmowała w domu pana Syksta. Niegdyś była ona sługą, rówieśnicą, przyjaciółką matki Jadzi, z nią przeszła do tego domu, jej ona powierzyła swe dziecię, a gdy umarła, Kunusia przywiązała się doń jak rodzona matka. Ta miłość podniosła ją niezmiernie duchowo i umysłowo; czując się obowiązana do dania pierwszego wychowania dziecku, usiłowała pojąć jego warunki, zrozumieć zadanie, pracowała, myślała, radziła się i modliła.

Gdy Syksta napadła owa mania antykwarska którą opanowany dozwalał na wszystko co od niego żądano, Kunusia czuła, że ona jest za wszystko odpowiedzialną; niepokoiło ją to oardzo, ale miłość dokazuje cudów... Cudownym instynktem wiedzioną, z fizyognomii sądziła nauczycielki i nauczycieli, których do Jadzi brano; usnwała zręcznie jednych, wynajdywała drugich... W rozmowach z dzieckiem nie zdając się nauczyć, wpajała w nią to, co się zdrowym pokarmem na przyszłe zdawało życie... Ona Jadzię nauczyła się modlić rzewnie — i pracować.

Praca też była jedną z cnót największych Kunusi, która nie spoczywała nigdy, a nie gardziła żadną i spełniała najwstrętliwsze, najpospolitsze, byle nie siedzieć z założonemi rękami. Gdy przychodziła niedziela, którą święcić musiała Kunusia, modliła się od rana do wieczora, a jeśli ducha nie starczyło na tę długą modlitwę, nie śmiejąc przyznać się do tego, nudziła się bardzo. W dzień powszedni wszystko spo-

czywało na niej. Klucze, choć pozornie składała Jadwisi, dla tego tylko, aby jej wskazać obowiązek pamiętania o nich, w istocie należały do niej; zamiatała i opylała, gotowała jedzenie, chodziła na targ, robiła rachunki z kupcami, pomagała panu Sykstowi, bawiła rozmową Jadzię, odbywała pozyłki a zawsze z najlepszym humorem, zażywając tabakę, którą od lat dziecięciu dla oczów jej poradzono. śmiejąc się, dowcipując i niekiedy podśpiewując nawet. W tej części Krakowa znano ją powszechnie pod nazwiskiem panny Kunekundy od Syksta i szanowano, jako zającą kobiecinę, która nigdy nikomu najmniejszej nie wyrządziła przykrości... Jadzia kochała ją nad wyraz wszelki, była to jedna istota, z którą otwarcie, szczerze, do głębi serca z każdej myśli wypowiedać się mogła. Weselość dziewczęcia, jak w zwierciadle odbijała się na twarzy poczciwej piastunki, smutek jej każdy w sercu odgłos znajdował.

Sam pan Sykst, choć do wielkich czułości nie skłonny, znał się przecie na zaletach starej sługi, przyznawał się, że bez niej nie byłby nigdy wychowania Jadzi mógł poprowadzić i czasem domyślał się nawet, że nie jest i nie będzie nigdy w stanie wywdzięczyć jej za to, co dla jego domu zrobiła. Kłócili się przecież dosyć często, gdy szło o owe rupiecie pana Syksta, które bez należnego uszanowania traktowała panna Kunegunda lub w żywe oczy posiadacza wyśmiewać się z nich ośmielała.

Ale te chmurki przechodziły prędko i sam pan Sykst potem nieznacznie Kunusię w dobry humor wprowadzał, aby swaru zapomniała.

Kunusia miała swoją celkę na strychu. a było to prawdziwie zakonne schronienie... ubogie, czyste. ciche.. Dużo świętych obrazków. wianków, krzyżów i godeł pobożnych, kupka książek wymodlonych... stare pudełko od roboty, stary kuferek na czterech ceglach krzyżowo stojący. kilka sukien na kołkach, całym jej było majątkiem... Ale prócz kilku godzin snu. rzadko kiedy miała tu czas odpocząć... czasem chwileczkę po obiedzie, lub jaką godzinę wieczorem jeśli gości u Jadzi nie było. a Sykst jej pomocy nie potrzebował.. Gdy Jadzia zostawała sama. stara przychodziła do niej z pończochą, siadała sobie w kątku. a dziewczę jej jaką książkę czytało; stara bowiem nie tylko słuchać lubiała ale doskonale pamiętała co raz usłyszała i z tą zdrową logiką ludzi niepopisanych wykrętami myślenia. składała w jedną całość nabytki swe wszystkie; odrzucając z nich to co się z przekonaniami starymi, z głęboką wiarą i poczuciem serca instyktowem nie godziło. niekiedy śmiały sąd Kunusi Jadzię dziwił, rozśmieszał. ale często sprostował i pokierował nawet jej zdaniem.

Powierzchnowość staruszki odpowiadała jej charakterowi. sześćdziesiątletnia była piękną, rysy twarzy wyrażały energią i dobroć zarazem.. Marszczki okrywały jej czoło poorane. oczy zagasłe, usta wpadłe... ale mimo tych oznak starości rumieniec był na licach. a niezmierna czystość ubioru i pewien rodzaj elegancyi nawet czynił ją poważną. nadając pozór daleko przyzwoitszy niż pospolicie miewają u nas sługi. Kunusia trzymała się jeszcze prosto, chodziła zawsze w czepcu śnieżnej białości i nieposzlakowanym obuwin, fartuch jej prany własnymi rękami, nigdy nie

znosił plam długo, bo go po kilka razy na dzień zmieniała. Nawet w kolorowych chustkach od nosa starała się ukryć tę nienchronną dla wzroku tabakę, którą polubiła choć jej miała za złe, że jest brudną ..

Noc przeszła jakoś spokojnie dla pana Syksta, ale się zbudził zawczasie, choć nie dając znaku życia, aby rozmyśleć nad dniem wczorajszym i trapić się skutkami swej lekkomyślności... Nie taił on przed sobą, że okazał wielką słabość charakteru, że owe wczorajsze zdarzenie mogło mieć bardzo złe skutki. a stosunek z majorem wielkie niedogodności. Traktamenta i podwieczorki na które się raz dał skusić. mogły wraz z natrętnością Dubiszewskiego wpływać fatalnie na dalsze losy jego zbiorów i jego domu, mnożąc wydatki a zajmując wiele drogiego czasu. Ale jak zawsze człowiek wyrzutami sumienia obarczony, usiłuje się przed sobą samym uniewinnić. tak i pan Sykst wpadłszy na myśl, że ta znajomość mogła wydać owoce cudowne dla Jadwisi,—los jej zapewnić, uczynić ją panią—chwycił się oburącz tego sofizmu i poargumentowawszy nieco przekonał się najdowodniej że to wszystko uczynił dla dobra Jadzi, dla jej szczęścia i przyszłości. pomału wbił to sobie w głowę, że się niesłychanie dla niej poświęcił. Z tą myślą wstał nazajutrz, dumny wielkimi projektami, które miał doprowadzić do skutku, rozważając tylko jakby to majorowi okazać swe zbiory, nienarazając się na

śmiech jego i obudzając podziwienie i szacunek... Dumał nad tem wyglądając już gościa, gdy Kunusia ukazała się ze szczotką w progu. Po wczorajszej małej sprzeczce z pocziwą staruszką nie było wątpliwości, iż dziś we cztery oczy nastąpi daleko drażliwsze tłumaczenie. Powitał ją ujmując, jak najgrzeczniejszem—dzień dobry... Ale nienbłaganej niewiasty tak łatwo rozbroić nie było można, chmurę miała na czole i niespokojnie zażywała tabakę raz po raz, co zawsze bywało u niej złym znakiem.

— A co jegomoscinniu! odezwała się—a co? pięknie tu u nas teraz w domu będzie jak się tu pan major, a za majorem może i innych darmozjadów naciąga... Śliczne będziemy mieli życie.. a jegomość zawsze prawi że spokój kocha, że samotność lubi! no! no!

— Ależ to stary mój kolega! zawołał Sykst.

— Temci gorzej! jeszcze tu w domu gdzie młoda panienka. nasprawdzaj ich pan z całego świata. ilu się znajdzie tylko, naprowadź ich do jej mieszkania, przyjmuj, pój, karm... zobaczysz że i siebie i ją tem zamożysz...

— Ależ moja Kunusiu, odezwał się stary niecierpliwie. przecież ją za mąż wydać potrzeba...

— Tylko nie za takiego z szwarcowanemi wąsami.

— Tak! tak! z rudemi a golca, brukowca, szawilę, przerwał Sykst... a człek stateczny.

— A gdzieżby już nie miał nim być w tym wieku.

— Jaki wiek! nie jest stary...

Kunusia ruszyła ramionami.

— Mój jegomościu. zawołała, waćpan to sobie wybij z głowy, żebyś siostrzenicę miał wydawać... niech ona sama sobie wybierze kogo zechce. Wasza rzecz albo ten wybór potwierdzić, albo mu się sprzeciwić, ale narzucać jej człowieka...

— Ależ jeszcze nic niema prócz projektów.

— I tego już zanadto — odparła stara. Ej! ej! patrzno jegomość abys sobie nie narobił biedy, a tego kwiatuszka naszego na łodydze nie zsuszył.

Sykst umilkł, ale nadchnurzył się widocznie zakłopotany i w dnszy zły na siebie.

Ranek z resztą przeszedł trybem zwyczajnym, do dziesiątej, Sykst z sobą samym walczył czy nie nciec z domu, aby się grzecznie pozbyć odwiedzin majora, ale nim się na to zdecydował, zapukano do drzwi. Dubiszewski stał w progu. Kunnsia, która poradziła Jadwisi ujsć przed spodziewaną wizytą i już odprowadziła ją do św. Piotra, czatowała w bramie i z przypatrzenia się majorowi przekonała, że w istocie musiał mieć jakieś złowrogie zamiary. Powierzchność je zdradzała. Wąsy i włosy miał starannie nglądzone, suknie były wytworniejsze, na halstuchn świeciła szpilka z brylantem, na głowie zamiast czapki miał połyskujący cylinder. Cała jego postać tchnęła pragnieniem odmłodzenia, nie uszło baczności starszki, że w progu dobył szczoteczki kieszonej. wąsy poprawił, przejrzał się w jej lusterku, wyprostował i poczał nowe nakładać rękawiczki...

Miał widac zamiar iść na drugie piętro jak wczoraj, ale Kunnsia mu zagrodziła drogę i oznajmiła że pan Sykst jest u siebie. Nie było to na rękę majorowi, spojrzzał na nią z ukosa, ale pomysławszy

coś chwilę dobył talara i w milczeniu chciał nim ułagodzić Cerbera.

Kunusia w tej właśnie chwili zażywała tabakę, nie wyciągnęła ręki i uśmiechnąwszy się tylko, nie chcąc go obrażać, potrząsała głową, Dubiszewski stał zmięszany.

— Proszę waćpanny.

— Dziękuję panu... rzekła stara... bardzo dziękuję... mnie to niepotrzebne.

— Dałżebym zamało? czy? myślał major zostawszy się sam w progu.. Dalipan nie rozumiem.. Ale się to wyjaśni..

— W tem pan Sykst drzwi otworzył... był rozjaśniony, wesół i niezmiernie ujmującej postaci, chociaż trochę pomięszany, przelękły w duszy tem, że major zobaczywszy jego zbiory, naśmiewać się może z niego będnie.

Weszli do ubogiej izdebki, którą kapitan sam zajmował, tu oprócz śladu ubóstwa, przykrego, nie było nic tak bardzo uderzającego; trochę sprzętu i rupieci jeszcze nierozklassyfikowanych. Dubiszewski patrzył na wszystko zdziwionemi ale szyderskiemi oczyma.

— Ale to ty mieszkasz jak nędzarz! rzekł po chwili.

— Tak! lecz posiadam skarby nieocenione! ci-cho rzekł Sykst, inaczejbym nic nie zebrał.. Chodź, pokażę ci pobieżnie dla mego usprawiedliwienia, na co poszedł grosz, trud, głód i praca życia całego.

To mówiąc, wziął pęk kluczków i z pewną dumą wiódł za sobą milczącego Dubiszewskiego. Major nie miał najmniejszego wyobrażenia o antykwarstwie,

zastyszał coś jednak o muzeach po miastach, o zbiorach u możnych panów. nagromadzone łomy sprzętów i różnych rzeczy u Syksta, widocznie uczyniły na nim wrażenie... Patrzył milczący i zdziwiony... zdawał się obrachowywać co to kosztowało i ile mogło być warte, Sykst nie szczędził komentarzy, ocenień, przypuszczonych cen i wygórowanych szacunków... Obeszli tak z kolei kilka pokojów w milezieniu, kapitan po raz pierwszy w życiu kosztował słodczy tryumfu, widział na twarzy gościa. podziwienie i niby uszanowanie jakieś. Ale w istocie major Dubiszewski wcale nie wiele się troszczył o starożytności myślał o czem innem, o Jadzi, od wczoraj bowiem projekt ożenienia uparcie mu się myśli nczepił i swoim zwyczajem odrazu i nic w odwłokę nie puszczając brał się do rzeczy. Pobłażającym też wielce był dla Syksta, chcąc go sobie zjednać. chwalił, pytał, słuchał, nadzwyczaj grzecznie i bardzo dla gospodarza uprzejmie... Po długiej wędrówce powrócili do pokoiku gospodarza.

— Widzisz majorze odezwał się Sykst siadając i ocierając pot z czoła... otóż co to może pilność, praca i poświęcenie... Wszakto mało królewskich. publicznych zbiorów pochlebić się może tak drogocennymi zabytkami naprzykład jak mój tron z epoki Jagiellońskiej, ołtarz Wita Stwosza, klejnot Warneńczyka i pierścień królowej Bony?... a medale? a monety? a pieczęcie oryginalne? he? Tożto dziś od siebie rzucając milionby wziąć można, za te śliczności.

. Milion! powtórzył Dubiszewski, głową kiwając —ja myślę że więcej...

Pan Major.

— A gdybym ja miał pieniądze (bo teraz się wyczerpałem), rzekł Sykst, przy mojej umiejętności szperania i taniego nabywania... cobym to ja to w Krakowie mógł zrobić jeszcze! a! Ale już mi w końcu zabrakło... na kamienicę nawet zaciągnąć dług musiałem...

Dubiszewski milczał.

— Wszystko to naturalnie będzie posagiem mej Jadzi, dodał Sykst, ale zobowiązę, aby nie rozpraszano.

Imię Jadwigi obudziło majora, wyprostował się, uśmiechnął, popatrzył na towarzysza broni i po chwili ce przysunąwszy krzeselko, pocichu mówić zaczął.

— Dobrze że wspomniałeś o Jadwisi swojej... wiesz, że mi się dziewczę nadzwyczaj na pierwszy rzut oka podobało... Ty mnie znasz. ja jestem otwarty, lubię odrazu, prosto z mostu wypowiedzieć co mam na sercu... Otóż przyznam ci się, mój drogi, ty wiesz, że jabym się chciał ożenić! U nas często żenili się ludzie starsi nademnie... czuję się młodym. Gdybym się podobał pannie Jadwidze... zemuie masz gotowego zięcia czy siostrzeńca...

Rozśmiał się patrząc w oczy Sykstusowi. który w duchu rad udawał zamysłonego dla przyzwoitości, zdziwionego dla formy.

— W moim wieku, dodał major, (choć to wiek nie jest jeszcze tak straszny), staranie, nadszukiwanie, romans długi to rzecz nudna, nie mam czasu do stracenia. widzisz... Chciałbym się tak ożenić z pocziwą jaką dziewczyną cicho... bez tych ceregielów... Co ty na to?

— Ja?... rzekł po namyśle Sykst... no, jabym nic przeciwko temu nie miał... Ale Jadzia młoda... bardzo młoda... dwudziestu lat nie ma... a w główce mogą być różne fantazy, choć wychowałem ją bardzo, bardzo starannie. Naturalnie musisz też naprzód pomyśleć żebyś się jej podobał, a no potem zobaczymy... zobaczymy. Jabym przeciwko temu nic nie miał.

Major gwałtownie ścisnął go za rękę.

— Widzisz żem się szparko zdecydował. ledwie zobaczywszy dziewczynę, rzekł, ale siostrzenica staro-ego kolegi, my jak bracia z sobą byliśmy... po co tu długo myśleć... Mnie się ożenić potrzeba koniecznie, panienka ładna, miła, skromna... Nie bez tego, żeby się jej nie zapewniło coś, dożywocie... zapis...

— O tem potem — odparł Sykst... myśl teraz o głównem, o pannie, bo gwałtubym jejrobić niechciał a naprzód trzeba się podobać... tu sęk!!

Major się uśmiechnął.—No — to poprobujemy ale musisz mi pomagać... Chodźmyż na górę... dam dzień dobry...

Ruszyli się—oba, ale Kunusia która u drzwi rozmowy słuchała. znalazła się na ich drodze ze szczotką

— Jest Jadzia w domu? spytał Sykst.

— Jakże ma być?—odparła Kunusia. dziś odpust u św Piotra, poszła od rana na nabożeństwo i nie powróci tak prędko... Była dziś u spowiedzi musi być na nieszpórach...

Starzy spojrzeli po sobie... pomruczeli i zeszli, major słuchając o tem nabożeństwie posmutniał i spoważniał.

— Nie masz w tem znowu nic tak złego. rzekł przecież do siebie, lepiej jest, że wychowana pobożnie...

— Przyjdź wieczorem. szepnął Sykst... tylko już zbytków robić nie będziemy... ona zagra nam, pogawędzimy przy szklance herbaty. Dubiszewski przyświadczył kiwnięciem głowy. zszedł na dół. Tu jakimś wypadkiem zastał znowu Kunusię, wybierającą się po panienkę do kościoła. A że był człowiekiem przezornym, postanowił zabezpieczyć sobie obroty strategiczne opanowaniem pozycyi, pozdrowił ją. i idąc powoli rozpoczął rozmowę bardzo grzeczną. Nie unikała jej wcale Kunusia...

Dubiszewskiemu nie było wprawdzie łatwo przyjść do przedmiotu, ale od czegoż głowa i doświadczenie? Zaczęli zrazu od pory, od historyi Krakowa i żywota pana Syksta, major przeszedł zręcznie do uzalania się nad losem Jadzi, nad jej osamotnieniem i dobrowolnem ubóstwem domu, którego pan wszystko tracił na dzikie fantazyje... Ale Kunusi wypadało nie bardzo go rozumieć.

— E! proszę pana, rzekła—nam to tam tak jak jest, to i dobrze... panienka lubi się modlić i chodzić po kościołach...

— To więc tak bardzo pobożna? spytał major.

— Niezmiernie... tem tylko żyje... świata nie lubi... Pan wie, że i matka jej umarła w klasztorze.

Dubiszewski spoępniał, Kunusia spojrzała z ukosa. i wymierzyła wrażenie jakie to na nim czyniło, poczęła tedy Jądzę wychwalać.

— A! już to proszę pana skarb mieć będzie, kto się z panienką ożeni... rzekła, bo to prawdziwie jest

święta... Co tydzień u spowiedzi, trzy dni w tygodniu z suchotami, na każdym nabożeństwie musi być koniecznie... i część dnia większą spędza na modlitwach...

— Hm! hm! rzekł major — to bardzo ładnie, bardzo przykładowie, ale znowu życie i świat mają swe prawa...

— Ja to panience mówię nieraz, ale cóż, ona cała żyje w niebie!!

Ponieważ w tem miejscu rozchodziły się ulice, Dubiszewski pozostał sam i począł rozmyślać mocno nad pobożnością panny Jadwigi.

— Ta dewocya nic potem, mówił w duchu — ale to się da powoli przerobić, zwyczajnie dziewczyna zajęcia niema w domu... kościołów tyle... rodzaj dystrykcji... serce próżne... nic dziwnego...

Jednak już pochmurniał.

Wolniejszym krokiem niż z rana skierował się wieczorem ku kamienicy pana Syksta major Dubiszewski, opcwianie Kunusi dawało mu do myślenia. — Zobaczymy, szeptał w duchu, chociaż z Sykstem już się o tem mówiło, wycofać się czas zawsze... zobaczymy.

Sykst był już na górze... Sam przygotował przyjęcie dla Dubiszewskiego, a że wiedział, iż się lada kęskiem, bez czegoś gruntowniej posilającego obejść nie może, kazał przynieść szynki. ozora i butelkę rumu do herbaty. Kunusia z Jadzią krzątała się około tego, a wypadkiem znalazła się też i pani Sylwestrowa krewna domu... Czy tylko wypadkiem, za to ręczyć nie można, Kunusia bowiem zachodziła do niej wśród dnia.

Pani Sylwestrowa była siostrą zamożnego kupca i właściciela domu na Kleparzu... miała ona jedynaka syna, który się wychowywał w Wiedniu na lekarza, a dopóki kamienica Syksta nie była długiem obciążona, miała pewne na Jadzię projekta... Kto wie, czy Kunusia nie rachowała na przymierze w walce z majorem... To pewna, że Sylwestrowa wypadkiem się znalazła i prawie nieproszona na wieczór została, chociaż zawadzała Sykstowi, który się jej przenikliwości obawiał, a może i... projektu dla własnej córki, bo kupcowa miała też piękną, dojrzałą, wesołą, rumianą i chętną do stanu małżeńskiego jedynaczkę pannę Petronellę, dla której o małżeństwo starała się pilno. Czy Kunusia rachowała na projekta jej dla syna, czy dla córki, zawsze zręcznie zrobiła wprowadzając ją i pannę Petronellę... Była to strategiczna diwersja...

Już całe towarzystwo było zgromadzonem a na stoliku czekały przybycia głównego gościa różne przysmaki, gdy nareszcie ukazał się Dnbiszewski, we fraku, w żółtych rękawiczkach, z fontaziem na piersi, w którym sterczała owa szpilka brylantowa i z dewizkami u zegarka przepysznyemi... Włosy miał czarne uczesane misternie tak, że łysiny gdzieś tylko gładka przeświecała powierzchnia.

Na kanapie naturalnie siedziała Sylwestrowa, a panna Petronella w majestacie swej tuszy, wyprostowana, w bieli z różowymi wstążkami zajmowała znaczną część pokoju. Jadzia przy niej wyglądała jak drobne ptaszę. Pan Sykst widocznie był utrapiony Petronellą, obawiając się nowego wrażenia jej wdzię-

ków na czułym majorze... ale nieśmiały tego po sobie okazać.

Wieczór począł się wszakże jak najprzyjemniejszą rozmową. Kunusia kręcąc się około stolika obserwowała i coraz coś podszeptnęła Jadzi. Czy skutkiem jej strategii gospościa była w tak ciągłym ruchu, że major prawie z nią mówić nie mógł, nie wiemy; to pewna, iż Petronella usiłowała go zabawić, ale on oczyma gonił za uwijającą się w milczeniu po pokoju Jadwisią...

Kunusia spostrzegła, że ów korpus dla odciążenia nieprzyjaciela wysłany na flanki (styl czasów wojennych) wcale jakoś zamierzonego nie uczynił skutku... Dla czego? to tylko stary kawaler jak Dubiszewski mógł wiedzieć. Petronella była nadto świetnie piękną, zbyt żywą, bardzo śmiałą, rażąco wesołą, Dubiszewski mógł niezmiernie w jej towarzystwie smakować, ale pomyśleć o niej nie dopuszczała metryka... Jadwisią poważniejszą, cichszą, skromniejszą, zdawała mu się nieskończenie miłą na żonę eks-żołnierza, który w domu zawsze był na stopie wojennej i przywykł komenderować wyłącznie...

Otworzono wkrótce fortepianik Jadwisi, która naturalnie przodem puściła Piotrusię, prosząc ją, aby śpiewała. Jakims wypadkiem znalazły się na ustach jej mazurki pełne przypomnień wojennych, jakby umyślnie stworzone dla pochwycenia za serce majora. Dubiszewski unosił się, chwalił, pani Sylwestrowa tryumfowała. Sykst się krzywił, ale oko majora uparcie jednak goniło za kryjącą się po kątkach Jadwisią...

Nie mogła się i ona wymówić od popisu. którego zażądał koniecznie wujaszek, usiadła grać. Zagrała rzeczy trudne i mało zrozumiałe dla ludzi nie zajmujących się muzyką, przecież Dubiszewski stanął przy fortepianie, chwalił i tak przejęty, że gdy wstała ucałował jej rączki w uniesieniu... Kunusia chmur-na na to patrzała z kątką.

Nieszczęście chciało, że wszelkie jej pomysły dnia tego, spełzły na niczem, nie odstraszyła go pobożnością, nie obalamnciła wdziękami panny Petronelli. ani jej śpiewem... chodziła chmurna...

— Taki z tego nic nie będzie! powtarzała w duchu, chyba bym żywą nie była ..

Wieczór nie przeciągnął się do późna, pani Sylwestrowa nazajutrz wszystkich zaprosiła do siebie, na co major chętnie przystał; rozeszli się o dziesiątej. Dubiszewski jednak tak manewrował aby pozostać najdłużej. przysiadł się do nieszczęśliwej, drżącej Jadwisi, ujął jej rączki i nasypał komplementów. Między innemi znalazł sposób opisanie jej swojej rezydencyi na wsi, kaplicy, kościoła parafialnego, nabożeństw wspaniałych w okolicy i t. p. Jadwisia słuchała, a każde słowo raniło ją, odkrywając. że się w pierwszych przypuszczeniach nie omyliła. Sykst szerokiemi usty śmiał się, widząc, jak szanowny towarzysz broni okrutnie zaczęłapał.

Wyszli razem dwaj przyjaciele.

— Wiesz, szepnął Dubiszewski, jestem jak osiemnastoletni młodzieniec, rozmiłowany w pannie Jadwidze twojej... im dłużej ją widzę, tem więcej odkrywam przymiotów, perła to droga...

— Bylebyś się ty jej podobał—odparł Sykst, bo gwałtu jej uczynić nie chcę i nie mogę... to ci powtarzam.

— Postaramy się! postaramy! szepnął major, trochę się to wie, jak około kobiet chodzić..

Żegnając się Dubiszewski nazajutrz zaprosił na śniadanie. Sykst nie mógł odmówić, po długim życiu anachorety lusztyki majora smakowały, wymówił sobie tylko, że skoczy potem na Piaski, gdzie oddawna starą skrzynię gdańską targował, na którą mu brakło kilka talarów. Usłużny major rozwiązał sakiewkę, nastąpiły ceremonie, ukłony, nściski, a Kunusia opodal stojąca z latarką odprowadziła po wschodach gościa do bramy. Dubiszewski był w bardzo wesołym humorze...

— No cóż moja panno na to mówicie, odezwał się do Kunusi śmiejąc, że ja tu wam tyle kłopotu nadaję? Żyliście spokojnie. zamknięci, zasklepieni, na raz wpadłem jak bomba. obudziłem z letargu waszego starego... i muszę was rozruszać, bo mi żal i tej waszej panienki...

Kunusia kiwała głową...

— El mój jegomość. rzekła... my to się tego nie bojemy, bo to nie potrwa ..

— No? a czemu?

Nie było na to odpowiedzi, sc hodzili ku bramie major się zaciekawiony zatrzymał...

— Dlaczegożby to nie miało trwać? zapytał nalegająco.

— Kunusia zrobiła minę tajemniczą i szepnęła:

— Nie godzi mi się tego mówić... Dubiszewski sięgnął po dwa talary, ale w chwili, gdy je miał ofiaro-

wać, stara służba cofnęła się, schował je więc nazad do kieszeni...

— No, powiedzcież przecież, kiedy was proszę i kiedyście już poczęli...

— Toć nie żadna tajemnica... poczęła Kune-gunda, zabierając się do otworzenia bramy, nasz poczciwy pan Sykst, na te swoje fantazyje wszystko co miał utracił, ostatkami goni, gdzie może grosza łapie a wszystko to idzie na te łomy i starzyzny... Pocznie on i z was ciągnąć, to nie wytrzymacie...

Major się uśmiechnął, przestąpił próg i znikł.

— Ale bał zawołał w duchu—albowiem to ja taki głupi, jak się starej zdaje! nie będę ciągnął długo romansu, do ożenienia Sykst mi wiele wychwycić nie może, a po ślubie! ho! ho! wezmę ja go w taką kuratelę, że grosza nie zobaczy... Nie dam mu ani siebie, ani Jadzi, ani mnie zniszczyć.

Mrok i prędkie wyjście majora nie dozwoliło Kunusi obrachować, czy słowa jej uczyniły jakie wrażenie, była jednak pewna, że bez skutku nie przejdą...

Myliła się biedna, stara namiętność i marzenia są najupartszymi w świecie, utrzymują się sofizmami, żywią kłamstwem. Iudzą same siebie; major wytłumaczył sobie, że pobożność Jadwisi była bardzo cenną w życiu i że zubożenie Syksta, łatwiejszym go do przystania na wszystko uczynić miało.

— Wezmę starego w ten sposób najłatwiej, rzekł powracając do gospody — pożyczę mu pieniędzy, będę pomagał nieco, dopóki się nie ożenię, potem... zobaczymy... dam mu radę łatwo... Wszystko idzie jak z płatka!

Kunusia powróciwszy z latarką, zastała Jadzię swoją całą we łzach, siedzącą na niskim stołeczku na ziemi, spłakaną, z załamanymi rękami...

Przypadła do nóg jej...—Co ci jest? co ci jest? dziecko moje? mów...

— Alboż nie wiesz? spytała cicho Jadzia — a! ten major! ten straszny major! wszakżeś widziała, jak mnie ścigał przez wieczór cały... jak mnie za ręce chwycił, zagadywał, wychwalał, jak się z wujem naradzali, a wujaszek się okropnie, patrząc na mnie, uśmiechał...

Ledwie tych słów domawiała Jadzia, gdy ze stoczkiem w ręku. w godzinie całę niezwykłej. o której nigdy nie zwykł był przychodzić, pan Sykst zjawił się w progu pokoiku Jadzi, miał minę uroczystą, zeszepioną, a szerokie jego usta szczelnie zamknięte, nabrały jakiegoś ostrego wyrazu woli niezłomnej. Dał znak wchodząc Kunusi, aby sobie wyszła, ale stara służa rzuciła głowę tylko i słuchać nie myślała... Spojrzał na Jadzię, która śladów łez ukryć nie mogła i nadąwszy się usiadł na kanapie.

— Cóżto to jest? zapytał. Czegóż waszmość panna płaczesz! he?

Jadzia odpowiedzieć nie śmiała.

— E! to nic... to nic... panienkę zęby bolą... przerwała stara, nie chcąc rozpoczynać drażliwej rozmowy...

— Bolą to przebolą — rzekł Sykst, idźże mi ty stara. bo ja mam z nią do pomówienia.

— Co do mówienia? ofuknęła Kunusia, cóż to dla mnie macie państwo tajemnice? a toby była

rzecz ciekawa? z czemże to jegomość możesz się ukrywać przedemną, chyba z takim czego się wstydzisz?... Ja nie pójdę...

Sykst skrzywił się, ale wziął na wielką odwagę.

— No to nie idź, posłyszysz to, co prędzej, później wiedzieć będziesz.. Jestto, że nas spotyka wielkie szczęście, a ja to wszystko zrobiłem... Major Dubiszewski, człek milionowy starać się chce o Jadzię formalnie... Spodziewam się, że nie będzie tak głupią.

Nie domówił tych wyrazów, gdy Jadwiga z okrzykiem płakać poczęła, Kunusia rzuciła się ku niej. Sykst osłupiał zrazu.

— Widzisz jegomość coś zrobił! zawołała stara, masz się czem chwalić! Śliczny projekt za tego starego grzyba wydać takie dziecko.. Czy chcesz jej śmierci! patrzajże co się z nią dzieje, od dnia wczorajszego płacze, nie śpi, nie je... Ale ja jegomości powiadam wręcz, że z tego nic nie będzie! klnę się, że nie będzie...

Sykst wstał drżący i oburzony.

— Mościa panno Kunegundo! krzyknął, zapominasz się... Ja tu jestem panem w tym domu! ja dysponuję, rozkazuję, rozrządzam... Waćpanua jesteś sługą i do niczego mi się tu mieszać nie masz prawa! Słyszał kto co podobnego! fora! za drzwi!

Domawiał tych wyrazów, gdy mu się do nóg rzuciła Jadzia.

— Wuj! ojczel! godziź się z moją pocziwą przybraną matką tak obchodzić!

Kunusia blada była i drżąca, wzięła się jednak pod boki, zażyła tabaki i pogardliwie spojrzała na panna Syksta...

— Otóżto zapłata! rzekła spokojnie na pozór... fora! za drzwi! myślisz. że po dwudziestu kilku latach taki łatwo będzie mnie wypędzić? he! Jeśli ja pójdę, to ci tu pewno Jadzi nie zostawię, żebyś ją zamęczył na wolnym ogniu... Pójdziemy ztąd, ale tak jak jej matka, obie do klasztoru...

— Kunusiu! serce moje. szeptała Jadzia, nie drażnij wuja! na miłość Bożą...

Sykst rzadko się gniewał, ale tym razem był wściekły, twarz mu nabiegła krwią, usta drżały, płaskał niemi co chwila, jakby chciał wszystkich pozjadać...

Stara sługa stała nieulekniona. po raz trzeci zażywała konwulsyjnie tabakę...

— Wypędzisz mnie... no, to pójdę, dodała po chwili. ale czuwać nad sierotą nie przestanę... Siostra rodzona oddała ci jedyne dziecko swoje.. powierzyła je... miałeś mu być ojcem a teraz myślisz je sprzedać...

— Głupia jakaś! przerwał Sykstus... nie masz kropli zdrowego rozsądku... a możesz ją większe spotkać szczęście nad to? To człowiek stateczny, bogacz, obywatel szanowany, gdzie ona podobnego drugiego męża znajdzie?

— A! prawda! odpauła Kunusia, szczególnież wieki stosowne! mogłaby być jego wnuczką... Jeśli ten major wasz taka doskonała partya, czemuż się do pięćdziesięciu lat aui razu ożenić nie mógł? he? Pannien jest przecież dosyć coby wyjść chciały!

— A jeśli mn się Jadzia pierwsza tak bardzo spodobała?

Kuusia zaczęła się śmiać...

Sykst znowu rozplomieniał gniewem.

— Idź mi ztąd zaraz! zawołał — idź mi natychmiast!

— Wujaszku!... przerwała Jadzia...

— Idź mi zaraz...

Kuusia zdawała się namyslać chwilę jakąś, spojrzała dodając odwagi Jadzi. potem dobyła spokojnie pęk kluczków z kieszeni, zażyła tabaki, obejrzała klucze i położyła je przed panem Sykstem.

— Dobrze. rzekła — pójde i pójde natychmiast, ale jedną rzecz panu wprzód oznajmić muszę, to—że gdybyś mnie jutro lub kiedykolwiek nazad tu chciał zwołać, nie przyjdę... Po rzeczy przysię... bywaj zdrów... stary... pożałujesz tego!!

To mówiąc, odwróciła się do Jadzi żywo, szepcząc.—Nie się nie bój... choć mnie nie będzie.. A głośno zawołała:

— Niechże cię pożegnam dziecko moje, pani moja... niech stopki twoje uścisknę, niech pobłogosławię na tem miejscu prawem matki... niech cię łzami jak święconą wodą serca pokropię... Pan Bóg cię uchowa ode złego, a cień matki obroni...

Obie się rozplakały... Sykst wcale nieprzygotowany do tej ostateczności osłupiał, bełkotał, nie wiedział już co począć z sobą.

— Ale cóż bo znowu za głupstwo! ale... ale.

Nikt go nie słuchał, szlochanie i jęki rozlegały się po pokoju, nie mogąc podolać niewieścim łzom, porwał się z kanapki i uszedł.

Gdy Kunusia usłyszała że drzwi za sobą na pierwszym pięttrze zatrzasnął, nagle przestała jęczeć i uściśnawszy Jadzię, poczęła odmiennym głosem.

— Pan Bóg wie co robi... stary mnie wypędził, potrzeba mu dać naukę; ja muszę odejść, ale będę swobodna całkiem i czuwać nad wami nie przestanę. Będziemy się widywać codziennie, a ja muszę Dubiszewskiego pilnować i przez niego zrobić samego. żeby się was wyrzekł, bo naszemu staremu ćwieka tego z głowy nie wybije inaczej.

— Jakże ja się sama zostanę... zawołała Jadzia.

— Dziś to nic. jutro gdy mnie zbraknie, mówiła Kunusia. ja tu podeszlę moją krewniaczkę, dobrą, prostą kobietę Małgorzatę, ją weźmiecie tymczasem. no... a ja będę blisko i z oka was nie spuszczę... a co ze-
chcecie odemnie, Małgorzata mi powie.

— I chcesz tak zaraz... w nocy... odchodzić? —
zawołała Jadzia.

Choćbym w ulicy nocować miała! zawołała Kunusia. Wie Pan Bóg co robi, przepędził on mnie, ale ja was jeszcze lepiej pilnować będę... Zobaczymy kto wygra. czy stare te grzyby, czy my... z pomocą Bożą. To mówiąc Kunusia zażyła jeszcze raz tabaki, pocałowała wychowanicę i znikła.

Tak się tedy rozpoczął dramat nader prosty, którego wchodzące osoby, jak widzicie, niezbyt są wyszukane. Nie zmogła się nasza garderoba teatralna na ich stroje ani na dekoracye tej małej sztuczki z powszedniego życia, jakie się codzień niepostrzeżone przed oczyma naszymi odegrywają.

Myli się kto utrzymuje za głosem powszechnym idąc, że najstraszniejsze są namiętności lat młodych.

są to ognie wulkaniczne, których wybuchy grożą wprawdzie zasypem niejednej Pompei i zalewem niejednemu Herkulanum, ale częściej kończy się na troszę ognistej lawy, która spłynie w morze zapomnienia i na garści popiołu, który spadnie na martwe doliny. a wiatr je jutro opłucze. Daleko straszniejsze są namiętności starych ludzi, namiętności z imienia, mądry w rzeczy, bo ich siedlisko jest w głowie... Te nie mijają tak łatwo, nie wybuchają tak gwałtownie, ale trwają długo i są uparte. Uczucie się zużywa i przeżywa, idea w pożyczanej sukni namiętności nie nasyci, nie przesyca, żyje i łamie co napotka... Ludzie starzy gdy pochwycą ostatnią deskę ocalenia, gdy wymarzą sobie szczęście lub zabawkę, tylko wiedzą, że one są ostatnie i nie rzucają ich więcej. Nie mają czasu na nowe marzenia i nowe projekta, śmierć stoi przed progiem.

Do takich zajądło upartych ludzi należał, jak się domysleć łatwo, major Dubiszewski, który oprócz tego miał jeszcze żołnierską jakąś ambicją nieustępowania z placu. Co było wczoraj fantazją chwilową, dziś pod siłą oporu urosło na pragnienie. Nie wiedzieć dla czego postanowił się ożenić a już Jadzia zdawała mu się teraz jedyną możliwą dla niego żoną.

Nie tak więc łatwo zrazić go było, jak się począł wierze zdawało piastunce, a środki, których w dobrej wierze użyła przeciwko majorowi. on obrócił zręcznie na korzyść swoich planów. Ubóstwo Syksta naprzód zużytkowaniem zostało, nazajutrz Dubiszewski nastroczył mną się sam z pożyczaniem znaczniejszej sumki pieniędzy, na którą wszakże wziął jak najformalniejszy oblig z ewikcyą na kamienicy.

Żywość i zalotność paamy Petronelli zamiast go ująć. podniosła tylko w jego oczach skromną i cichą Jadzię, jej pobożność nawet wcale go nie zastraszała. Dubiszewski jeśli nie był zakochany, bo w jego wieku trudno o te uczucia, był oszalały niezawodnie. Dowodziły to jego wytworniejsze coraz ubiory, jasne krawaty, na których uporczywie błyszczał brylant ów czarodziejski, występujący w wielkich tylko wypadkach; rękawiczki ciasne i jasne, buty lakierowane i perfumy na chnstkach ekscentryczne... Ci, którzy dawniej znali majora w jego granatowym pod szyję zapiętym surdnie, z trudnością poznać go mogli w dandysie, na jakiego się przerobił dla przypodobania Jadzi.

Pan Sykst wspierał jego usiłowania, otworzył mu dom, dawał wieczorki, herbaty, radził w jaki sposób ma się zalecać, jak przyszłe życie malować; a biedna Jadzia napróżno usiłująca się ukrywać po kościołach, wypłakiwała oczy z obawy tego małżeństwa, które zdawało się nieuchronnem.

Po oddaleniu Kunusi pierwszy dzień był dla pana Syksta nader przykrym, nie wierzył on jeszcze z razu żeby na seryo dwadzieścia kilka lat przebywszy w jego domu. stara kobiecina obrażona jednym słowem, opuścić go miała. Sądził długo że powróci. że pośrednictwo Jadzi ułatwi zgodę... ale w końcu przekonać się musiał że poniósł niezmienną stratę podobno niepowetowaną. Dla niego jak dla siostrzenicy nic starej piastunki i dawnej sługi zastąpić nie mogło, a choć przyjęto ową Małgorzatę, co chwila brak pocziwej staruszki dawał się czuć dotkliwie. Pan Sykst bał się kluczków powierzyć, a dawszy je znajdował

co chwila jakąś przez nieświadomość wyrządzoną szkodę. Szacowną trumną cedrową z napisami, która leżała w sieni zapalano w piecu czy na kuchni, tak że ledwie resztki jej odratować było można, strzępami jakiegoś koronacyjnego baldachymu zatkano komin i t. p.

Pan Sykst wzdychał, dawał do zrozumienia że jużby Kunusię przeprosił. ale ona powracać nie myślała. Oddalenie to chwilowe, które wiedziała to dobrze, mogło ustać gdy zechciała, posługiwało jej do obrony dziecięcia, dawało zupełną swobodę działania. Codzień z Jadzią widywały się w kościele. Kunusia ją część drogi przeprowadzała, była więc uwiadomioną jak najdokładniej o tem co się działo w domu i stosownie do okoliczności usiłowała krzyżować zamiary majora.

Nie szło to jednak łatwo... Sykst był uparty, panna Petronella niezręczna, Dubiszewski zakochany, a Jadzia bojaźliwa. Kunusia modliła się i płakała po kościołach, wzywając już pomocy Bożej tylko, bo jej rozum nie starczyło.

Konkury Dubiszewskiego trwały już kilka tygodni, przestrach ogarniał nieszczęśliwe dziewczę, które do majora czuło wstręt nieopisany... ale choć go okazywała bez ogródki natrętnemu zalotnikowi, nie zrażał się nim wcale i zwykł był powtarzać:—Po ślubie się te chmury rozejdą...

Pau Sykst coraz nalegał o decyzją. Jadzia ją odwlekała pod różnemi pozorami, naostatek dał jej czterotygodniowy termin i oznajmił, że jeśli nie będzie mu posłuszną, natenczas powagą od matki mu przekazaną zmusi ją dla jej własnego szczęścia, aby

rada nierada poszła do ołtarza... wszelako major sam dotąd milczał jeszcze i uroczyście się nie oświadczał. Dnie upływały z nadzwyczajną szybkością. Jadzia traciła głowę. serce jej pocziwe czuło wstręt do wyrzeczenia przysięgi przymuszonej i nieszczęsnej, postanowiła więc w swej młodej głowce raczej znieść najprzykrsze losy, niż popełnić to, co się jej świętokradztwem zdawało.

Nie miała domu i rodziny do którejby się na wypadek wygnania od wuja schronić mogła... pobięła biedna do pani Sylwestrowej, w niej jeszcze pokładając nieco nadziei.

Próbę tę uczynić postanowiła za wiedzą i poradą Kunusi.

Pani Sylwestrowa była osobą dosyć majątną, była nawet chwila, gdy marzyła o ożenieniu syna z Jadzią, kochała ją po swojemu, ale zarazem umiała rachować i nauczyła się wdowiem życiem praktyczności niepospolitej. Petronela której się usidlić nie udało majora, wiele się też przyczyniła do oziębienia matki dla Jadzi. . Gdy biedne dziewczę przyszło z czerwoni oczyma wracając z kościoła do kuzynki. przyjęło ją bardzo zimno.

Uklękła przed krewną, poczęła ją całować w ręce i zaniósłszy się od płaczu, skarżyła na swój los, Sylwestrowa jakoś nie podzielała jej uczuć.

— Pozwól sobie powiedzieć moja droga, rzekła bardzo poważnie. że też ty sama nie wiesz czego desperujesz... Trafia ci się, ubogiej sierocie taki los, któregoby może bogatsze pozazdrościły... a ty grymasisz i dziwaczysz... Major nie tak zgrzybiały jest, wcale

przyjemny... a ty postarzejesz prędko. Moja rada, panu Bogu podziękować i wziąć to co on daje.

— Ale ja go nie mogę kochać... Zlitujcie się nademną! Ślub jest Sakramentem. mam że w obliczu Boga kłamać to, czego nie czuję, zaprzysięgać z dobrej woli to, do czego będę zmuszoną... Nie! ach nigdy.

Pani Sylwestrowa ruszyła z powagą ramionami.

— Wszystko to egzaltacye! eksageracye! głowa nabita jakimiś książkami niedorzeczności. Star-si wiedzą co robią. najpierwsza cnota posłuszeństwo.

Jadzia już tylko płakała... poczęła ręce pani Sylwestrowej całować...

— Moja dobrodziejsko, rzekła, mów co chcesz ja się nie potrafię przekonać... Wuj mnie wypędzi... ja na to rachuję że ty mnie przytulisz. że mi dasz tylko kącik u siebie... izdebkę... na życie ja sama za pracuję...

Ledwie dosłyszawszy tych wyrazów, zerwała się kupcowa z krzesła przestraszona i gniewna, przyszło jej na myśl, że syn z Wiednia powrócić może, że Jadzia nie ma grosza posagu. że gotów się w niej pokochać na nowo... dreszcze ją przeszły...

— A to mi śliczne rzeczy proponujesz! zawołała — to także! Jeszcze czego! chcesz mnie poróżnić z panem Sykstem, z całym światem... mam dla ciebie palec kłaść między drzwiami... Zlituj-że się! co za myśl. Piękniebyś mnie wykierowała... O! wcale proszę na to nie rachować,—to być nie może...

Serce się ścisnęło biednemu dziewczęciu, wstała okryta rumieńcem, ale mimowolnie oburzona.

— Niechże się pani nie obawia, rzekła—widząc jakaby to jej przykrość wyrządzić mogło, natychmiast cofam prośbę moję... zamykam usta... rachowałam na litość...

— Litości, powtórzyła Sylwestrowa oburzona — piękna by była litość... jutroby Petronelka za twoim przykładem poszła i gdybym ją za mąż wydać chciała rozumnie, mogłaby mi też z domu drapnąć. Proszę sobie to wybić z głowy, ja nieposłuszeństwa protegować nie będę...

Zamilkła Jadwisia... zakręciła się tylko i wyszła. W ulicy czekała na nią Kunusia... spojrzała jej w twarz i domyśliła się wszystkiego, poszły z wolna ku plantacyom... Liście kasztanów żółte opadały, szeleszcząc pod nogami; pusto było i chłodno...

— Cóż Sylwestrowa? spytała staruszka...

— Odgadniesz łatwo, rzekła Jadzia, zgromiła mnie i odmówiła przytułku, powiada że powinnam być posłuszną, a ja... ja wstrętu mojego nie przemogę. ja z fałszu u ołtarza nie stanę...

— Czekajże, odparła Kunusia powoli—do ostatniej chwili bądź cierpliwą. Może też Pan Bóg natchnie litością albo wuja, albo tego człowieka... może się znajdzie jeszcze sposób... jaki. Jeśli wszystko zawiedzie... no... to przytułek znajdziemy...

— Klasztor? zawołała z pewnym przestrachem Jadzia, która w pobożności czuła się stworzoną do czynnego życia... Klasztor?

— Nie—nie... ale izdebka uboga... w której ty i ja się pomieścimy... ja pracować mogę, ty umiesz... a jak wszyscy opuszczają, to Kunusia nigdy.

— Ja nie mogę przyjąć takiej ofiary! przerwała Jadzia.

— Ciekawam jakiej ofiary? spytała stara wesoło, zażywając tabaki—albo to mi z tobą nie będzie dobrze jak w raju? Już się tylko o to nie turbuj... Ale nim się to stanie, trzeba spróbować wszystkiego co się tylko da próbować. Myśl...

— Cóż ja wymyślę! rzekła Jadzia łamiąc ręce—jam bezsilna, ja tylko płakać umiem i modlić się...

— Jeszcze jedna rada... Stryj cię często zostawia z majorem sam na sam, korzystaj z pierwszej chwili, bądź z nim szczerą, przemów do jego uczciwości...

Jadzia spuściła głowę.

— Do jego serca, do jego uczciwości, powtórzyła... jak mało go widziałas;—odpowie mi żartem, grzecznością, śmiechem...

— Ale spróbuj...

— Spróbuję... zobaczymy.

— Bądź moja panienko odważną...

— Zkądże wezmę odwagi?

— Hm? zkąd? weź ją ze strachu i wstrętu... zawołała starszka... nie kryj mu nic, powiedz mu że... go cierpieć nie możesz...

Tak rozmawiając odprowadziła Kunusia dziecko swe przybrane do rogu ulicy, stanęła i pożeguawszy, oparta o kij, gonila jeszcze oczami, dopóki w bramę nie weszła...

Miała wrócić smutna do swej izdebki przy klasztorze, gdzie jej dano przytułek, gdy głośny—„dobry wieczór“ ją ze strapionego rozmyślenia obudził.

Odwróciwszy się, postrzegła stróża kamienicy

w rynku, niejakiego Dyngusowicza, który się przed laty dwudziestu do niej zalecał... Z tych czułych stosunków pozostała dosyć serdeczna przyjaźń. Dyngusowicz wprawdzie miał do niej trochę żalu, ale się tem pocieszał, że za innego nie poszła i dotrzymała co mu przy odmowie powiedziała, że gdyby kiedy za mąż iść miała, pewnieby go wybrała.

Dyngusowicz był starym żołnierzem, służył on w tym samym pułku co pan Sykst, choć podtuptany dobrze trzymał się jeszcze prosto, miał krzyż, który nosił w święta i w nchu lewem koleczyk z niezapominajką. Człowiek ten był bardzo zacny, na nieszczęście karierę jego zwichnął nałóg niepokonany, Dyngusowicz palił fajkę, ale palił ją tak, że z ust nie wypuszczał na chwilę. Z tego powodu musiał się wyrzec kilku miejsc i lepiej płatnych i dających lepsze na przyszłość nadzieje. Mógł tylko być stróżem kamienicy, gdzieindziej choć kilka godzin w dniu bez fajki i tytoniu obchodzićby się musiał, a tego na sobie wymódz nie potrafił, poświęcił więc dymowi przyszłe losy, został kawalerem, zamiatał ulicę i nie był dla tego w złym humorze. Dla jednej Kunusi przed laty dwudziestu zobowiązywał się na pięć godzin w dniu wstrzemięźliwości od tytoniu, ale gdy ta mu odmówiła, jeszcze zajadlej kurzyć począł. Zasypiał więc z fajeczką na ustach, a przeżegnawszy się przy wstaniu, natychmiast ognia krzesał.

Dawno jakoś Dyngusowicz nie spotkał był Kunusi, tym razem jeszcze ją czulej powitał, a zobaczwszy smutną, stanął.

— A co to pannie Kunegundzie?

— Nic wasan nie wiesz?

— Zkądżebym ja miał czego się dowiedzieć? plotek nie zbieram, z ludźmi nie gadam, a od kamienicy mojej rzadko odchodzę...

— I nie wiesz wasan żem miejsce porzuciła...

— Nie! dalipan nic...

— I co się u Syksta stało?

— A cóż się stało...

— To już chyba wszystkoby opowiadać potrzeba... a! ale to długa historia...

— Niechno panna mówi, rzekł Dyngusowicz... boć to po starej znajomości, dla mnie nieobojętne rzeczy... Kapitan Sykst pewnie co zbroił... to pół-waryata.

— To cały waryat, zawołała Kunusia... i poczęła od A do Z opowiadać całą historią swoją, Jądzi i majora. Dyngusowicz węża kręcił i uważnie słuchał, niekiedy wyrzywały mu się niezbyt parlamentarne wyrażenia—psia wiara! bestyja! kroćset... i t. p. Stosował je, jak się zdawało do majora Dubiszewskiego. Gdy Kunusia skończyła, Dyngusowicz poprawił czapki...

— Wieszże panna co... ja majora dobrze znam, ja jego historię wiem doskonałe... i kto wie czybym na niego nie znalazł pewnego sposobu... ale... póki nie dosłędzę do dna, nic nie powiem.

Kunusi aż oczy zaświeciły.

— Ojczy mój! dobrodzieju! byłbyś mi zbawcą.. mów... co masz.

— Nic; nic, nic... nie mam nic, rzekł nadąsany Dyngusowicz... ot, zaraz po swojemu, gorączka! mów dobrodzieju! zbawca, a tu palca niema w co obwinać.

Jak będzie co... no, to powiem. Co dziś mamy? spytał po namyśle...

— Piątek—odparła Kunusia łamiąc ręce.

— W niedzielę niech panna mnie czeka po summie przed Panną Maryą, jeśli będzie co, no to popiem, jak nic, to nic.

— To mówiąc podpałił fajkę, pokłonił się i odszedł. Staruszcze choć ten promyk nadziei dodał serca... poszła powoli ocierając łzy do domu...

Nazajutrz czekała na Jadzię... w zwykłym miejscu. ale zdaleka zobaczywszy ją idącą poznała że nie z sobą pocieszającego nie przynosi. W istocie niebezpieczeństwo rosło, a ratunku nie było żadnego. Sykst dał się całkowicie opanować dawnemu towarzyszowi broni i sam w siebie wmówił, że zapewnia szczęście siostrzenicy.—Major przychodził rano, bawił niemal dzień cały, siedział wieczorami natrętnie, rządził się jak u siebie, gospodarował zawczasu, usiłował przypodobać Jadzi, ale coraz bardziej ją przestraszał. Często Sykst nawet zostawiał go sam na sam z siostrzenicą i nową sługą Małgorzatą na cały wieczór, idąc do swych zbiorów, które z pozyskanych od Dubiszewskiego zasiłków pomnażał namiętnie.

W przedednin właśnie trafiło się podobnie i major, który najgorzej w świecie czytał. zoofiarował się po herbacie głośno deklamować pana Tadeusza... Sykst niemający najmniejszej ochoty słuchać go, wy-

śliznął się ze swoją lampką. Jadzia pozostawszy sama, przypomniała sobie radę Kunusi. Pocichu wybiegła na chwilę do kłęcznika. jakby po błogosławieństwo Matki Bożej i wróciła z bijącym sercem, z silnem postanowieniem stanowczego rozmówienia się z panem majorem.

Dubiszewski, choć jego postępowanie bardzo jasno dawało do zrozumienia o co mu chodziło, wyrażenie się był jednak dotąd nie oświadczył, może dlatego że się stanowczej odmowy obawiał. Potrzeba było przywieść go do jasnego wytłumaczenia i odjąć mu wszelką nadzieję. Dla nieśmiałej Jadzi było to zadanie nadzwyczaj trudne, ale szło o przyszłość, o życie—musiała...

Gdy powróciła od obrazu, a major przestawszy czytać na chwilę, z oczyma wlepionemi w nią miał na nowo rozpocząć, Jadzia stanęła przy stoliku i zebrawszy się na odwagę, poczęła:

— Za pozwoleniem pana... nim dalej czytać pan zacznie, radabym z nim pomówić.

Dubiszewski domyślał się wszystkiego, chciałby był uniknąć rozmowy, ale nie znalazł na to sposobu.

Rachował na swą zręczność.

— Jestem zawsze na pani rozkazy. najmilej mi spełnić każde jej życzenia.

— Panie majorze, odezwała się Jadzia głosem drżącym, muszę być z nim otwartą, odezwać się do jego szlachetnego serca.

— Niech pani mówić raczył proszę! proszę... zawołał książkę usuwając Dubiszewski... Sam dźwięk jej głosu...

Od niejakiego czasu uczęszczasz pan codziennie

prawie do naszego domu, zaczęło dziewczę rumieniąc się, zdajesz się szukać naszego.. mego towarzystwa, mówisz mi grzeczności... postępowanie mego wuja, wtajemniczonego w projekta pana nie pozostawia wątpliwości o jego zamiarach... pan chcesz się starać o moją rękę? Tak czy nie?

Major się coraz gorzej miewał, obejrzał się na drzwi, jakby powoływał na pomoc Syksta, ale ten siedział na pierwszym piętrze...

— Pani... odparł major... muszę wyznać, że się nie mylisz... tak jest... pierwsze wejrzenie na nią. obudziło we mnie szalone, gwałtowne, pełne szacunku przywiązanie... W niem czerpię pewność, że mógłbym jej szczęście zapewnić.

— Bardzo panu majorowi wdzięczną jestem za jego dobre chęci dla mnie, ale zdaje mi się, że szczęście, aby niem prawdziwie było, musi być dziełem własnem i wyborem człowieka. Narzucić mu go siłą nie można. Muszę panu wyznać, że nie mam ufności w to, aby szczęście moje i pańskie w jakikolwiek sposób wspólnem nam być mogło.

Major się zmarszczył, mimo pozornego uśmiechu.

— Pozwól sobie pani powiedzieć także, dodał, że co się tyczy szczęścia i życia, my trochę doświadczeni ludzie, lepiej znamy jego warunki i trafniej odgadujemy przyszłość. Wypadałoby by więc spuścić się na nas i więcej ufać sercu, które...

Jadzia przerwała niecierpliwie.

— Chciałżebyś pan, mimo mej woli i przeciwniej czynić mnie szczęśliwą niby, a w istocie najnieszczęśliwszą? Zapewne w rachunkach pańskiego doświadczenia niepospolitą cyfrę zajmuje majątek, do-

statki, zbytek... dla mnie to są rzeczy obojętne...

— Tak, dziś może, rzekł major, nie w przyszłości. Ale wyznam pani, że nie tyle liczę na mienie i bogactwo, co na pełne przywiązania serce moje, które u nóg jej składam...

— Panie majorze, odezwała się niecierpliwie nieco Jadzia—potrzeba mi było niepospolitej odwagi, aby z nim wszcząć tę rozmowę, z niej już miarkować pan możesz łatwo, jaki strach natchnął to męztwo. Ja nie mogę przywiązania pańskiego odplacić, ja nie czuję w sobie nie... ja...

Tu jej głosu zabrakło, ale Dubiszewski uśmiechając się przerwał.

— To przyjdzie z czasem, rzekł... takie przywiązanie jak moje, musi nawet wstręt przezwyciężać.

— Odzywam się do pańskiego serca, do tego przywiązania, mówiła żywo, Jadzia prawie niesłuchając odpowiedzi... proszę pana i błagam... nie czyni mnie najnieszczęśliwszą.

— Ale owszem ja chcę panię najszczęśliwszą uczynić, przerwał uparty major uśmiechając się—i otoczyć ją blaskiem, zgadywać jej najmniejsze upodobanie, stać się jej sługą pokornym...

— Zostaw mnie pan, błagam go przy mojem dziejszym spokojnym kątku i niedostatku... ja nic więcej nie chcę... ja pana zaklinam, ja go proszę...

— Więc to jest wstręt nieprzezwyciężony? spytał Dubiszewski smutnie...

— Tak, muszę przyznać, choć mnie to wiele kosztuje, mówiła Jadzia nabierając odwagi... od pierwszego wejrzenia obudziłeś pan we mnie obawę, strach, niepokój... a staranie jego o mnie rozpacz...

— Wiesz pani że to jest najprzyjemniejsze wyznanie jakieś mi uczynić mogła, odparł po namyśle major... jest to rękojmia mającego się zrodzić uczucia silniejszego, które jeśli ma być trwałem, zawsze się od strachu i niespokojności poczyną. My, ludzie doświadczeni, znamy się na tych symptomatach, które panią młodą i bojaźliwą przerażają nadaremnie. Niech mi pani zaufa...

Jadzia padła na krzesło płacząc. Major stał chłodny, nieporuszony—nieubłagany—na pozór, choć głęboko przejęty.

— Niech się pani uspokoi, rzekł, to są uczucia przemijające, będące w naturze rzeczy wolą, z której się nieochybnie zrodzi przywiązanie stałe, nie płocha sympatya, którąby lada wietrzyk mógł zmienić w trwałą nienawiść. Rodowód uczuć jest mi dobrze znany.

Z za łez Jadwiga zebrała się jeszcze raz na odwagę.

— Ponieważ pan nie masz nademną litości, rzekła, muszę dodać, że sumienie mi nie dopuści związać mego serca z człowiekiem tak mało szanującym uczucie moje i prośby... Przywiedziesz mi pan do ostateczności bez żadnego dla siebie pożytku... Skoczę raczej do Wisły, niżbym z nim poszła do ołtarza, cóż to panu pomoże, iż mi nie zgubisz...

Major począł się uśmiechać dziwnie.

— Wszystko to zwykłe, panięskie egzaltacje.. to są słowa, to są groźby... Serce przejęte dla pani najgorętszem przywiązaniem nie da się zrazić niemi.. Byłoby słabością z mojej strony, gdybym uległ chorobliwej fantazyi i ustąpił.. pozwól mi pani mieć na-

dzieję i trwać w mocnem postanowieniu zapewnienia jej szczęścia, dla którego żadna ofiara nie będzie za wielką... gotów jestem na wszystkie a moje postępowanie w tej chwili, które się pani wyda pewnie dziekiem i nieludzkiem, jest jedną z tych ofiar właśnie...

Ton, jakim te wyrazy były wymówione, zimny uśmiech majora, jego upór zrozpaczyły niemal Jadzię, która poczęła płakać na nowo i zachodząc się od łez, uciekła do swego klęcznika. Major pozostał w pierwszym pokoju, zadzwonił na Małgorzatę, kazał zanieść szklankę zimnej wody pannie Jadwidze i siadł na kanapie, czekając, aż się uspokoi. Nadszedł na to Sykst. a nie widząc siostrzenicy spytał o nią.

Wyszła na chwilę. bo ją nieco głowa dziś boli, rzekł major — czytałem zbyt głośno. może za długo... potrzebowała odpocząć...

Nie ruszył się jednak nielitościwy stary kawaler ze swego miejsca, począł rozmowę z towarzyszem. okazywał humor jak najlepszy i doczekał herbaty, na którą Jadzia uspokojona nieco wyjść musiała. Spojrzał na nią badająco, i dostrzegł na twarzy jej wyrazu tak surowego. tak pewnego iż się mimowoli zmieszał. Sądził, że zwyciężył w walce, jedno wejście przekonowało go, iż się ona dopiero rozpoczynała. Ale Dubiszewski mało ważył upór niewieści i wolę młodego dziewczęcia, powiedział sobie w duchu.

— Wojna to wojna! Zobaczymy więc, kto z nas zwycięży... zobaczymy!

Reszta wieczoru upłynęła jak zwykle na czytaniu i rozmowie między dwoma staremi. Jadzia milczała, a na zapytania majora, który jej nieoszczędzał, odrzucała prawie wzgardliwemi pół słówkami Dubi-

szewski był tem najtrętniejszy jeszcze... choć pokorny i grzeczny...

Kiedy rano nazajtrrz spotkała się z Kunusią i zaczęła jej opowiadać swoją wczorajszą rozmowę, stara sługa nie mogła utrzymać swego gniewu i z niecierpliwienia.

— To stary kamień! zawołała... no! dobrze! nie będzie innego ratunku... więc musimy uciekać od niego... ja znajdę schronienie.

— Ale moja pocziwa Kunusiu, odpowiedziała Jadzia, my się w myszą dziurkę nie skryjemy... będą nas szukać, wuj ma prawo nademną, on mnie wychował, jest moim opiekunem. Znajdą nas tu łatwo.

— To pójdziemy gdzieindziej, odparła stara... świat szeroki, a ja ciebie dziecko moje nie opuszczę... o! nigdy!

— Ale o czymże? zapytała Jadwisia... ja nie mam grosza... ty także...

Kunusia się uśmiechnęła tylko... powoli dobyła sakiewkę i pugilares zatłuszczony z kieszeni, westchnęła i poczęła pobożne kłamstwo.

— Panienska nic nie wiesz, ale pocziwa matka wasza, która mnie znała i ufała mi, a może przeczuwała co brat zrobić może, oddała mi dla was choć nie wielki fundusik... Przykazała mi nie użyć go chyba w największej potrzebie dla was, dla tego trzymałam to w tajemnicy do dziś dnia... Mamy tu tysiąc talarków.. moja panno! a to jest ogromny pieniądz! gdyby był Sykst o nich wiedział, dawnoby poszły na graty i łomy.. alem to tuliła i kryła się z tem jak z grzechem...

Kunusia kłamała; był to jej grosz własny, ciulany przez całe życie, a w części odziedziczony po rodzicach. W przewidywaniu lat niedołęztwa uzbierała go była sobie biedna sługa i przynosiła na ofiarę przywiązania do sieroty. Jadzia słuchała i nie rozumiała. wierzyła i wątpiła, ale Kunusia dokomponowała takie szczegóły, tak jej potrafiła wmówić, że to był własny jej pieniądz, pozostawiony przez matkę.. iż w końcu musiała temu uwierzyć... Oczywiście starej sługi śmiały się i płakały.

— Bądźże spokojną, rzekła—jesteśmy bogate... uciekniemy obie do Lwowa, aby uas tu nie odszukano, najmiemy izdebkę, będziemy pracować, szyć... krawcować, a choćby prać bieliznę i cerować przyszło, ręce nam od tego nie poodpadają...

Mimo tej pociechy, Jadzia się uspokoić całkiem nie mogła; rzucić się tak w świat samej z tą staruszką, na łaskę losu, wśród nieznanych ludzi, przerażało ją... Czuli, że jej młodość sama stanowiła niebezpieczeństwo, że zerwanie węzłów rodzinnych tworzyło nowe i straszne położenie sierocie... Kunusia nie więcej miała odwagi w duchu, ale ją udawać musiała i choć serce bolało, śmiała się ustami. zażywała tabakę... nsiłowała okazywać się wesołą. Pociągnęły tak rozmawiając do kościoła razem, a ztąd Kunusia poszła na radę do przełożonej klasztoru, w którym znalazła schronienie.. Wychodziła ztąd około południa i zamierzała dla szpiegowania co się u Syksta dzieje, prześlizgnąć się około jego domu lub dostać do szewca na dole, bo z nim była w dosyć przyjacielskich stosunkach, gdy na drodze spotkała znowu Dyngusowicza.

— A! a! oto szczęście, że asindzkę nadybał, zawołał stary żołnierz... a proszę-uo zemną, bo ja waćpanny właśnie szukam.

— No—cóż tam takiego?

— Ale zobaczycie zaraz sama... odparł Dyngusowić... ja po żołniersku biorę się do sprawy, kiedy ją mam na sercu... Chodźcie ze mną na Piasek...

— Po co?

— O! a na cóż ta ciekawość przedwczesna! — rzekł śmiejąc się stróż... domyślisz się asindzka łatwo, że idzie o majora... Proszę mi zaufać, zrobimy mu niezłego figla...

— Majorowi figla!! krzyknęła Kunusia... a niechże ci Bóg płaci, aby prędko...

— No, to chodźmy...

Poszli tedy razem, ale przez drogę daremnie się stara chciała coś dowiedzieć od Dyngusowicza, śmiał się tylko i powtarzał... Cierpliwości! a jak to te kobiety są ciekawe...

Na Piasku zaszli do dworku niepozornego o wysokim dachu. Dyngusowicz zadzwonił, wyszła służąca, poszeptali coś, wprowadzono ich oboje do jakiegoś mieszkania przyciemnionego. wilgotnego i niezbyt wykwintnego, ale z pewnem staraniem utrzymanego mimo ubóstwa, które znać było wszędzie...

Po chwilce oczekiwania z drugiego pokoju wybiegła dosyć żywo kobiecina nie pierwszej młodości, ale wyglądająca jeszcze świeżo, z oczyma czarnymi jak węgielki. chuda, rumiana, a na pół tylko ubrana. W twarzy jej malował się dziwny, niecierpliwy niepo-

kój, pośpiech; popatrzyła na Dyngusowicza. na niepozorną Kunusię i kiwnąwszy im głową padła na stare krzesło.

— A cóż panie Dyngusowicz! słyszę moją zgubę odkryłeś? zawołała żywo.

— A jakże, sędzino dobrodziejko, jest. jest, trzymamy go, właśnie tu przychodzę z tą godną osobą, która pani zda relację o majorze...

Kunusi aż oczy zabłysły, gdy to usłyszała.

— Siadajże moja kochana — rzekła żywo sędzina... siadaj! Jakże? jest on? he? — gdzie? nie żonaty jeszcze? nie żonaty? mów?

— Major? spytała Kunusia... jest, jest, tu w Krakowie... nie ożenił się dotąd, ale stara się o jedną panienkę i... jeśli co nie przeszkodzi, to się z nią gwałtem ożeni...

— Ale bo waćpani...

— Panna! przerwała Kunegunda.

— A! panna nic nie wiesz, żywo mówiła sędzina... Major się szalenie, zapalczywie, okrutnie i bardzo długo kochał we mnie... Miał się nawet zemną żenić, byliśmy jak zaręczeni... tak jest...

— I cóż przeszkodziło? zapytała Kunusia.

— A jużto prawdę powiedziawszy. cicho dodała sędzina... mnie się inne partye trafiały... widzisz moja kochana, on jeszcze nie był najętny... Ale...

— I major..

— Odprawiłam go! zawołała sędzina, ale ja ci ręczę, że on się dotąd we mnie kocha, że gdyby tylko mnie zobaczył, rzuci mi się do nóg. A! już to, przyznam ci się, dodała przeglądając się w lustrze, że ja sama byłam winną wszystkiemu, bo to pocziwe ma-

gorzysko, bardzo, powiadam ci, bardzo był zakochany, a ja wybredzałam... No. ale teraz... a! teraz tobym go już chętnie wzięła.

Spojrzała na Kunusię, która jakoś niezbyt radośną będąc, rozpatrywała się w sędzinie.

— Tak... dawne przywiązanie, wybąknęła przez grzeczność.

— Ale co to przywiązanie, przerwała jej sędzina—to był szal, to była waryacya—ten człowiek głowę dla mnie tracił... a gdy mu pierścionek odsyłała, o mało sobie w łeb nie strzelił.. Słowo ci daję...

Paplała biedna sędzina żywo, płacząc niewyraźnie, zrywając się i przysiadając na kanapie. patrząc w zwierciadło—śmiejąc się, to wzdychając...

— Widzisz moja duszko—dodała w końcu, gdyby teraz tylko zręczność spotkania się z nim, to już ci daję słowo. że go pochwycę... że pójdzie za moimi stopami jak mały piesek, że co zechce z nim zrobię..

Nie bardzo temu zdawała się wierzyć stara sługa. ale tonący brzytwy się chwyta...

— Któż wie? myślała sobie — może ta sędzina z którą się miał żenić, potrafi go nam odciągnąć. zawsze choć tego spróbować potrzeba.

— Ułatwcie mi tylko spotkanie z majorem, poczęła po chwili sędzina—już ja wam powiadam że moim będzie. . A to i sobie i mnie i jemu zrobicie przysługę... on nie może być szczęśliwy bezemnie, ja muszę wyjść za niego... bo to już było widać przeznaczenie... Ah! fatalność. A bardzo postarzał?

Sędzina tak nieustannie szczebiotała, nikomu słowa nie dając przemówić; ledwie Kunusia otworzyła usta, zamykała je natychmiast swoją paplaniną...

Ale już tylko mi dajcie wstęp do tego domu, dodała, ja za wszystko ręczę... A to jest rzecz łatwa... poznamomię się w kościele z waszą panną Jadwigą... ona mnie może poprosić na wieczór i... A! to major będzie miał siurpryzę! wchodzi. spogląda... oczom nie chce wierzyć... To ja... wierna Matylda twoja... I rzuci mi się do nóg! Rzecz skończona, zapowiedzie, wesela, jadę na wieś i dam waćpanannie pięknego gościa.

— A mnie? spytał Dyngusowicz trochę żartobliwie.

— Ale naturalnie... cóż fajkę? zawołała sędzina... porcelanową! cha! cha! Czy major wasy czerni... a! to nieznosna rzecz, bywało mi na ręku też szuwaks zostawiał... a wyłysiał? nie? ale bo już i wówczas był trochę łysy! Dobry człowiek! a! bardzo dobry człowiek... Trochę skąpy... ale za serce go wzięwszy — najlepszy...

Kunusia słuchała... nie mogąc się odezwać; bolało ją to nieco. ale z sędziną nie było sposobu, pytowała jak młynek na wiosnę, gdy woda wielka.

Nie rychło mogło przyjść do porozumienia, ale że rzecz była bardzo prostą i łatwą, że szło tylko o zbliżenie jej do Jadwisi, gdyż już resztę brała na siebie, ułożyły się gdzie spotkać się mają i na kiedy pani sędzina ma być gotową.

A już też się ubiorę,—przerwała wśród układów sędzina—powiadam ci.. no! zobaczysz... włożę suknię paliową, bo w tym kolorze chodziłam często, gdy się we mnie kochał, wstażki na głowę pasowe. bo to mi bardzo do twarzy... loki dawniej nosiłam à l'anglaise. to tak się tak zafryzuje... no zobaczysz. Ja wam powia-

dam... padnie, gdy mnie ujrzy! powie: królowo serca mego... pani... A ja... wstań, rycerzu... przebaczam ci. Tylko—cóż ja mu mam przebaczyć? kiedy... mniej-sza o to... uśmiechem mn odpowiem, podam rączkę... Rzecz skończona,.. W niedzielę zapowiedź pierwsza. bo ja mam z sobą zawsze wszystkie potrzebne papiery. na wszelki wypadek. we środę święto. zapowiedź druga, a trzecia przy ślubie... Nie potrzeba żadnych występów i przygotowań, skromnie ale z gustem... Al z gustem... Ja mam gust...

Byłaby może sędzina parę godzin jeszcze gadała. ale Kunusia żegnać ją poczęła... Nie skończyło się to aż w sieni.

— A! niechże ją dunder świsnie! zawołał odszedłszy Dyngnsowicz... ależ baba trajkocze! O! biedny majorzysko! chyba w uszach bawełnę będzie nosił.

— Ależ się w niej kochał! przerwała wzdychając Kunusia.

— A no! na zabój! rzekł stróż—to pewna... I tak się spiskowi rozstali.

Zjawił się tedy nowy, niespodziany i doskonały sprzymierzeniec. Z wieścią o nim Kunusia krążyła dzień cały około kamienicy pana Syksta, starała się zobaczyć z Jadzią, ale tego dnia cos jej wyjść przeszkodziło.

Gotowała się burza nad głową pana Dubiszewskiego. który się niczego nie domyslał.. Dni kilka przeszło spokojnie i najpodejrzliwsze oko nic dostrzedz nie mogło, oprócz nieco weselszej twarzy Jadwisi. Na niedzielę zaprosiła Jadzią, panią Sylwestrowę; miał naturalnie jak codzień tak i tego dnia być Dubiszewski. Przy obiedzie od niechcenia poprosiła

wuja, całując w rękę siostrzenica, żeby jej pozwolił zaprosić na herbatę poznaną w mieście osobę, bardzo miłą, z którą przyjaźń zabrała.

Pan Sykst nie dopytując nawet o kogo chodziło, najchętniej zgodził się na to... Już lampa się paliła na stoliczku Jadzi (dwie panie zaproszone przyszły wcześniej), gdy Sykst z Dubiszewskim wróciwszy z przechadzki, zbliżyli się do drzwi bawialnego pokoju.. Na kanapie wystrojona, wyróżzowana, niespokojna, rwąc chustkę, którą trzymała w rękach, z oczyma zwróconemi na drzwi, ledwie słowo mogąc przemówić... kipiała niespokojna... sędzina... W najlepszym humorze, strojny, wesół, nic się nie domyślając co go spotkać miało, wszedł lekko i swobodnie pan major... Pierwsze wejrzenie jego zwróciło się ku Jadzi, ale wypadkiem rzuciwszy okiem na kanapkę, nie bez wzruszenia dostrzegł na niej paliową suknię i pąsowe wstążki... Niestety! podobno tylko te barwy a nie twarz sędziny przypomniały mu przeszłość.

Jejmość, która się sceny teatralnej spodziewała na pewno, siedziała uśmiechnięta. Major w istocie z początku stanął jak wryty, potem usta powoli jakiś śmieszek mu dziwny przeciągnął i zbliżył się śmiało ku kanapie.

— Kogóż to ja widzę!... pani sędzina! zawołał... co za miła niespodzianka! Ale myślę się może niewłaściwym zowiąc tytnę!.. bo .. spodziewam się, że pani musiała znaleźć człowieka do nszczęśliwienia i dziś...

Major wymówił to nieco szydersko...

Sędzina, która się wcale innego spodziewała wrażenia, pobladała. nczuła się obrażoną...

— Dziś, jestem wdową, rzekła... tak jak byłam... mylisz się waćpan sądząc, że łatwą jestem w wyborze i płochą... Wolałam nie pójść za męża, niż wyjść lada jako...

— A! zawołał major... to bardzo słusznie...

Była krótka chwila milczenia, Dnbiszewski zupełnie spokojnie usiadł przy pannie Jadwidze, był tylko trochę bledszy niż zwykle. bo znać było, że się domyslał intrygi i obraził użytym przeciwko niemu środkiem derywacyju.

— Jakże też to dawno, odezwał się, pochylając ku sędzinie — jak nie miałem przyjemności widzenia pani dobrodziejki.... wszak to lat...

Arytmetyka ta wcale była nieprzyjemną dla wdówki, która za młodą uchodzić chciała; nie dała ona mówić Dubiszewskiemu...

— A tak... ale dla mnie, poczęła paplać, lata te upłynęły, nadzwyczaj wesoło i prędko.

— Bardzo się cieszę, dodał major — ale bo to państwo nic nie wiecie, rzekł umyślnie od razu chcąc wypowiedzieć wszystko... wszak to ongi należałem do liczego tłumu adoratorów pani sędziny dobrodziejki i kochałem się w niej szalenie, i byliśmy po zaręczynach...

— A! a! po zaręczynach—przerwał Sykst.

— Tak jest, kończył major... po zaręczynach. ale pani sędzina dobrodziejka wzgardziła sercem i ręką moją... potrzeba się było poszedłszy z kwitkiem pocieszyć i szczęśliwшему ustąpić z drogi...

Sędzina o mało się nie rozplakała z gniewu, policzki jej pałały, usiedzieć spokojnie na kanapie nie mogła.

— A tak... przerwała... coś podobnego było... ale ja... tyle w życiu doświadczyłam od mężczyzn i ich niegodziwości... że postanowiłam była nie iść za mąż...

— I trwała pani w tem postanowieniu? spytał szydersko major.

— To się okaże... dwuznacznie odpowiedziała sędzina—to się okaże.

— Przynajmniej może pani na wesele zaprosićby powinna, dorzucił nielitościwy major i zwrócił się cały ku pannie Jadwidzie.

Po tej krótkiej rozmowie widocznem już było, że wielkie nadzieje, jakie Knnusia i Jadzia budowały na owej gadatliwej wdówce, spełzły na niczem, i naraziły je tylko na zemstę majora, gdyby major był mściwy. Prawdę rzekłszy, zmartwił się on mocno tym dowodem niechęci Jadwigi, ale ukrył przykre wrażenie i starał się okazać obojętnym i wesołym.

Sędzina próżno popisywała się z dowcipem, z muzyką, ze śpiewem, z figlarnemi wejrzzeniami; nic na nim nie czyniło pożądanego efektu, był zimny... Wspomnienia obudzały w nim uśmiech tylko.

Wdowa udawała wesołość i trzpiotowatość, ale w sercu miała gniew i chęć zemsty nieubłaganą. — Major tem większą udawał także wesołość. Sykst był chmurny, bo się domyślał jakiejs sztuczki a Jadwiga siedziała na ustroniu, prawie sobie wyrzucając, że za poradą niewczesną tak dziwnego chwyciła się środka. Wieczór był dla wszystkich nadzwyczaj męczącym, ale najprzykrzejszym prawie dla nieszczęśliwej sędziny, która tylko przez jakiś wstyd do pewnej godziny placu dotrzymywała.

Aby nieco położenie swe poprawić, musiała się w końcu biedna, upokorzona kobiecina udać do kłamstwa po ratunek i wyznała, że jest zaręczona i wkrótce ma wyjść za mąż. Imię jednak przyszłego małżonka z powodów familijnych, musiała jeszcze zachowywać w tajemnicy... Tą ostatnią strzałą, raziwszy niewdzięcznego majora w piersi, pożegnała się i odeszła...

Na wschodach dopiero lzy jej się rzuciły z oczów...

W saloniku panowało po wyjściu sędzinej, którą major przeprowadził, głuche, śmiertelne milczenie: pan Sykst z gniewem spoglądał na siostrzenicę, Jadzia z oczyma suchemi, z gorączką jakąś, w osłupieniu, nie widząc patrzała przed siebie... Pani Sylwestrowa nie wiedziała co począć.

— Śliczna historia... jak Boga kocham. mruczał Sykst... tego mi brakło... a to wszystko z łaski wac-panny... to wszystko, żeby się uwolnić od najpocziwszego z ludzi, który nam szczęście przynosi... Otóż to wdzięczność! otóż to zapłata za przytulenie sieroty...

— Wuju mój, rzekła Jadzia śmieiej, gdyby to dla twojego szczęścia było potrzebnem...

— Otóż dla mojego potrzebne... bo twoje jest mojem. Ależ nierozsądna... bełkotał Sykst. Sylwestrowo, czemu jej tego nie wybijesz z głowy, a to oszaleć potrzeba...

— Ileż to razy próbowałam... odezwała się nieśmiało krewna—ale Jadzia słuchać nie chce...

Jadzia milczała, bladła tylko straszliwie, głowa jej pochyliła się na piersi... a ciało stoczyło martwe na posadzkę... Pan Sykst poskoczył z krzesła...

Dziewczę było omdlałe. . Straszny rozruch zrobił się w pokoju, wszystkie dzwonki poruszono, wbiegła Małgorzata... cucąc oblaną wodą Jadzię, i właśnie, gdy oczy otwierającą podnoszono z posadzki, wszedł do pokoju napowrót major Dubiszewski, uwolniwszy się od Matyldy, która raz pozbywszy się ludzi, wyłajała go z największym gniewem bez ceremonii i precz mu sobie iść kazała.

Ślady omdlenia świeżego jeszcze, zrobiły na nim wrażenie przykre, stanął milczący, jakby się wahał, co ma począć, spojrzał na biedną Jadwisię z pokorą i błaganiem... i słowa nie mówiąc usiadł... Ale wieczór po tych wypadkach nie mógł się przeciągnąć długo. pani Sylwestrowa się żegnała, wyszli z Sykstem razem.

— No cóż, trwaj w swem postanowieniu? spytał Sykst towarzysza broni... mimo tych wszystkich historyi.

— Do końca wytrwam... odparł major spokojnie... Na wielkie szczęście, nie dziw, że długo i uparcie pracować potrzeba...

— Gdyby to było wielkie szczęście! pocichuteńku szepnęła zazdrosna nieco pani Sylwestrowa, jakby od niechcenia wskazując mn wejrzeniem pannę Petronellę... Ale Dubiszewski tak był smutny i pogrążony, że na piękną pannę ani się oglądnął... Wyszedł na ulicę... i nie wiedział sam, jak się dostał do domu.

Pan major Dubiszewski zmierzał nazajutrz swoim obyczajem do kamienicy pana Syksta, gdy się z nim spotkał w progu. Antykwaryusz miał twarz pobladłą, wywróconą, był pochylony, błydy i jakby przybity.

— Dzień dobry? no cóż?

— Daj mi pokój, odparł Sykst kwaśno, daj mi pokój majorze; od czasu jak noga twoja stąpiła na próg mojego domu, nie mam chwili jaśniejszej... weszło z tobą utrapienie... oszaleję... daj mi pokój.

Major cofnął się parę kroków.

— Cóż ci to jest? zapytał... w jaki sposób odzywasz się do mnie?

— Co mi jest? Nie wiesz? odparł Sykst... dziecko leży chore, nieprzytomne, ludzie mnie okrzyczeli za bezdusznego tyrana... doktor straszy... księża nacierają...

— Wszystko to głupstwo. rzekł major, jesteś słaby, bez woli... drażliwy... tchórz. Co ma być! dziewczyna młoda. nie postawiła na swoim. z gniewu się rozchorowała, to jej odejdzie. Doktor głupi, a księża intryganci...

— Przecież ja mam serce... mruknął Sykst, nie potem wziął sierotę po siostrze, abym nią frymarczył... Rób sobie asindziej co chcesz... a jak się ona uprze, ja jej mimo woli nie wydam.

— A! to tak! to tak! rzekł zimno major — a no, dobrze... Nie mam i ja nic przeciwko temu. Szczęścia nikomu narzucać nie można. Mówmy o interesach.

Sykst podniósł głowę, jak osłupiały, nie odzywając się słowa.

— Pójdziemy z sobą na górę, rzekł major spokojnie. musimy pokonać rachunki... a że ja, wedle wszelkiego podobieństwa w tych dniach wyjadę, nie chcę za sobą pozostawiać ogonów... lubię porządek.

— Myślałem, że to później.

— A i ja sądziłem, że toby się mogło być na później odroczyć, ale tak jak dziś stojemy, trzeba wszystko pokonać. Chodźmy na górę... Ład we wszystkim...

Pan Sykst nie dobrze jakoś pamiętając już, gdzie były wschody, pomieszany bardzo powlókł się jak ofiara wiedziona na stracenie. W ciasnej izdebce jego zarzuconej gratami ledwie na dwóch znalazło się miejsce; major zajął krzesło u biurka, dostał z kieszeni pugilares, poszukał pióra i popatrzawszy na Syksta, który siadł z obwisłymi rękami na krawędzi łóżka, tak począł rachunek:

— Dnia... talarów piętnaście... potem talarów siedem na skrzynię.

— Ha! powtórzył Sykst — ha? na skrzynię! tak!

— W tydzień potem, summy rękodajnej talarów sto...

— Tak... sto... coraz ciszej mówił Sykst... sto.

— Procent na miesiąc... dla ciebie po koleżeńsku (wymagający nie jestem) bankierski, półtora... taniej grzyba...

Sykst milczał, ale się pocił.

— Potem, wykupienie weksłu Moszka Abzaca talarów trzysta. procent...

— A tak... Abzaca... prawda..

— Chciałem cię po przyjacielsku uwolnić od tych parszywych dłużków, mówił major zapalając cygaro, z tego powodu nic ci nie mówiąc, ponabywałem twoje długi u Mojżesza Papierowicza, u Tolesa i u innych... Jest tam tego na trzy tysiące talarów, bez procentów... Summa ogólna z zaległemi prowizjami, z pożyczkami drobnemi nie przejdzie pięcin tysięcy talarów... Dwa tysiące było hipotekowanego długu dawnego, to byłem zmuszony spłacić, aby moją należność lepiej ubezpieczyć... razem siedem tam z czem-ciś... głupstwo...

Sykst błąd był jak chusta, porwał się za poręcz łóżka, wstał, nogi mu się zatrzęsły, śmiech dziwny skrzywił mu szerokie wargi i padł znowu na łóżko... Pot ciągle kroplami z czoła mu spływał.

— Te siedem tysięcy talarów, mówił major głosem nieporuszonem, muszę bądź co bądź natychmiast odzyskać. Jestem w potrzebie, w robotach, w interesach... nie wiesz co to majątek! podatki! nakłady! fabryczki, najemnik... ceny małe, nie weźmiesz mi za złe, kochany Sykście, że ci będę natrętny... trzeba oddać...

— Ale zkądże ja ci wezmę tak nagle! zawołał kapitan.

— To już twoja rzecz! mnie to nie obchodzi, ja wyjeżdżam i grosz mój odzyskać powinienem. Naturalnie, jeśli się nie ułożymy, muszę to powierzyć adwokatowi, a już cię środek znajdziesz. aby kamienicy ci nie zlicytowali... Ten mój poczciwy adwokat dr.

Prażek, ja go znam, rygorzystą, jak się weźmie. nie popuści... I ma słuszość! nie radbym ci robić przykrości, Bóg widzi, ale interesa... ale czasy! Co to dziś grosz kochany Sykście.. ty to wiesz!

Była chwila znowu śmiertelnego milczenia. Sykst się pocił, major palił cygaro.

— Jakże będzie? zapytał Dubiszewski.

— Albo ja wiem! odparł Sykst... zwarjuję, odeślę mnie na ulicę szpitalną .. dom diabli wezmą... i po wszystkim. Albo ja wiem...

— To wszystko być może! rzekł major wzdychając, podobne rzeczy trafiały się nieraz. Ale któż ci winien?

— Jakto?

— Dla czegożeś uparty i z domu mnie wypędzasz? Czy ja ci nóż na gardło kładę, żebyś mi jutro dawał siostrzenicę... ja czekam: będę czekał, aż się ona opamięta. Jestem i będę cierpliwy, rok, dwa... trzy... o co ci idzie... nie pędzę... Ale naturalnie jeśli mi dajesz odprawę. to dawajże i pieniądze .. Niech mnie żyd sądzi, czy nie mam słuszości?

— Widzisz przecie co się z tem dzieckiem dzieje! rzekł Sykst... masz po swojemu słuszość, ale maszże odrobinę litości nad nią?

— Co do stu diabłów, ależ ja ją kocham! krzyknął major... ja chcę jej szczęścia... ja ofiaruję jej to co mam najdroższego... samego siebie.... i przysięgam ci, że będzie szczęśliwą.

Znów zamilkli.

— Trzymasz mnie w rękn, odezwał się Sykst, nie ja tobie, ty mnie nóż w gardło kładziesz. jestem przybity, zmuszony... ale się wstydzę samego siebie...

— A to się sobie wstydz, mnie to wszystko jedno, zawołał major... ale miej rozum przy wstydzie. Chcę twego słowa? wypędzasz mnie? nie?

— Nie... nie... krzyknął Sykst, zakrywając oczy. Na twem sumieniu...

Pakuj na nie co ci się podoba... podźwignę, to ci ulży... A teraz, dodał, chodź na śniadanko...

Sykst się opierał.

— Chodź, nie bądź dzieckiem... zgryzoty, wstydy, gniewy. wszystko to święcie ginie przy dobrem śniadaniu... Mówię ci... Pereat mundus fiat bombancia! jak mówiono w pułku... Chociaż zdaje mi się, że to nie w pułku, ale w Paryżu gdzieś słyszałem...

I pociągnął Syksta na śniadanie, ale oba je zjedli smutni, zafrasowani i nie mogąc się rozweselić. Major fantazją nadrabiał.

Gdybyśmy weszli w ścisły rozbiór sumienia pana majora Dubiszewskiego... chemiczny skład tego ciała. zadałby nam niemało do rozwiązania trudności. Przywykliśmy człowieka sądzić hurtownie złym, dobrym, ideałem, zbrodniarzem, lub wzorem cnót wszystkich. Jestto empiryczna metoda, coś nakszałt dawnych orzeczeń alchemii i medycyny średniowiecznej, które znały ciała jednolite i z gruntu całe w sobie...

U nich rośliny i kruszce były lub lekarstwa nieocenionemi. lub wyklętymi truciznami. Dobrze później domyślano się, dobadano, że trucizny bywają lekiem, a leki otruć mogą w danym razie. Ale to nawiasowo, idzie nam o to, że ludzie są ludźmi, że ani całkowicie złych. ani całkiem doskonałych niema na świecie; najwystępniejsi mają jeszcze odrobinę jakąś dobrą, którą im pozwoliła zachować Opatrzność, jako ziarno odrodzenia; najcnotliwsi często kryją w sobie słabość, która ich jeszcze zgubić może. jeżeli jej kiedy ulegną. Dla tego ten świat istot żywych tak jest do nieskończoności rozmaity, bo tu jak w świecie natury, w różnych stopniach składają się cnoty i ułomności na każdego z nas...

Sumienie majora Dubiszewskiego w tyglu rozbieralnym, dawało wprawdzie wiele części składowych twardych, ostrych, wiele naleciałości dziwnych. ale na dnie jego były i kryształy świecące młodości...

Świat się z nim obchodził ostro. on też z nim nie lepiej; łagodnym nie był wcale, ale z gruntu złym nie można go było nazwać. Nagrzeszył przez nieświadomość, przez naśladownictwo, przez namiętności sporo; zawsze jednak chował w duszy jakąś nadzieję że przyjdzie chwila, w której będzie się starał za grzechy zapłacić i zmazać winy przeszłości. Do tego potrzeba mu było istoty czystej, któraby jak anioł stróż powiodła go w świat nowy. Na nieszczęście starał się o nią po swojemu, po żołniersku, usiłując zdobyć przemocą i nie przebierając w środkach. Jądzia była dla niego ideałem tym, który miał go zbawić; dla niej obiecywał sobie zerwać z nawyknięciami

życia przeszłego, ze wszystkimi słabościami, dla niej postanowił nowym cale zostać człowiekiem.

Niecierpliwiło go to i gryzło że do odkupicielki tej nie mógł się dostać innemi środkami, tylko przemocą, siłą i narażając ją samą. Ale przysiągł sam sobie, że byleby dostał jasnego anioła owego, wszystkie strapienia jakich się dłań stał przyczyną, sownie wynagrodzić będzie się starał. Serce jego miękło. niezdolnym był tylko do tej największej z ofiar, by siebie i swe odkupienie. jak je nazywał, poświęcić dla jej spokoju...

Gdy Jadzia zachorowała, tegoż dnia u łoża jej zjawiała się Kunusia; Sykst zobaczył ją i nic nie powiedział...

Stara piastunka sądziła się tak dalece w swem prawie. przychodząc do łoża sieroty, że się nawet o pozwolenie nie spytała, ani tłumaczyć myślała, przytomność też jej podziałała skutecznie na biedne dziecię; kilka słów wyrzeczonych na ucho, przywróciło rumieniec na lica, uśmiech na usta. Na drugi dzień Jadzia wstała, niebezpieczeństwo minęło, doktor się zdziwił, Sykst ucieszył, a uparty major nie pokazując się sam jeszcze, przysłał bukiet przesłiczny, który wyrzucono przez okno.

Wypadek chciał, że idąc nazad od Syksta, Dubiszewski sam podniósł z bruku ten dar wzgardzony. na chwilę się pogniewał, oczy mu zaszyły krwią. chciał powrócić nazad, ale się rozmyślił, bukiet posłał przez Małgorzatę raz drugi, a sam poszedł dalej.

Okrutnie mu wszakże na sercu było ciężko.

— Dziewczyna mnie nie chce... rzekł do siebie...

ale... przekona się że nie taki diabeł czarny jak się zdaje... postawię ją taki na swoim...

Jakoż choć go nie puszczo no do pokoju Jadzi. codzien przychodził do kamienicy; choć wyrzucano bukiety, posyłał coraz nowe; choć nieprzyjmowano darów, słał już nie prezenta dla panny, ale na ręce jej jałmużny dla ubogich... tego odmówić nie było podobna.

— Szatan nie człowiek! mówiła Kunusia, uparty kiedy nparty!

Przez cały miesiąc Jadzia nie wychodziła z domu, nawet do kościoła, ale pierwszego dnia gdy z Kunusią udały się do Panny Maryi. major ją pozdrowił na drodze, przyczepił się. odprowadził i choć mu s'owa nieodpowiedziano, dopiero n święconej wody pożegnał.

Wieczorem już był na stanowisku i w liliowych rękawiczkach. z wąsami kruczemi, z brylantem w chustce, uśmiechał się do Jadzi, która na niego nie patrzyła.

Nie było sposobu pozbyć się go.

Ubiór odmładzający nie był nadaremny... Major który niecierpliwie czekał uzdrowienia panny Jadwigi. po herbacie wystąpił z najuroczystsze m wyznaniem swego afektu, składając u nóg bożyszcza osobę swą, majątek, imię i serce...

Jakkolwiek spodziewane oświadczenie o mało znowu nie sprowadziło młodości, ale wuj tak był zmieszany, drżący. tak zdawał się zaklinać siostrzenicę. aby przynajmniej stanowczo nie odrzucała majora, że Jadzia dosyć niezręcznie jakoś poprosiła tylko o tydzień jeszcze do namysłu... Dubiszewski widząc w tem

promyk nadziei przystał chętnie... biedne dziewczę zebrawszy się na kilka słów nieśmiałyeh, łzawych, blade, przełękłe siadło w krześle.., i wieczór przeszedł a nst już otworzyć nie śmiało.

Niestety! major pochlebiać sobie wcale nie mógł, by się bohdance jego uśmiechała przyszłość... znać to było ze smętnego lica i zalzawionych oczów.

Rozmowa nie wiodła się; na żądanie wuja zagrała Jadzia, ale wybrała coś smutnego... był to marsz żałobny Beethowena. ów sławny marsz, który popularnością poprzedził niezrównane arcydzieło Chopin'a.

Dubiszewski słuchał go ponury, westchnął, wziął za kapelusz i wyszedł. Gdyby nie ta reputacya twardego jak żelazo i nieczułego jak kamień człowieka. powiedziałby kto że płakał. Ale oczewiście udawał chyba, bo to być nie mogło.

Wujaszek odprowadził go do bramy nadzwyczaj zapobiegliwie, serdecznie koło niego chodząc i szepnął na ucho, aby był dobrej myśli, a sam powrócił zaraz na górę.

Jadzia jeszcze siedziała przy fortepianie z głową na piersi spuszczoną. z rękami opadłemi. w oczach błyskały łzy dwie, które się stoczyć z nich zapomniały, zdawała się smutnie zrezygnowaną.

— No, rzekł Sykst wchodząc. masz więc wacpanna swój i część mojego losu w swych rękach... masz coś chciała. tydzień do namysłu... Ja zmuszać nie będę... ale powiem ci jedno. Major mi pożyczył pieniędzy... jeżeli pójdziesz za niego, może mi dać czas powolnego wypłacenia się z długu: jeśli mu odmówisz, sprzedadzą kamienicę i muzeum, pójde z tor-

bami... Zatem, co zemną będzie to będzie, ale ciebie przytulić nie będę miał ani gdzie, ani o czym.. Zostaniesz sama jedna na łasce Bożej, na niełasce ludzi... Niema co marzyć nawet, żeby cię pani Sylwestrowa wziąć miała. Rób jak chcesz.

— Ale wujaszku... ty? cóż ty poczuiesz?

Sykst uderzony został tem zapytaniem, które kazało się domyslać odmowy.

— Jakto? więc odmówić mu myślisz?

— Ja jeszcze nic nie postanowiłam... będę prosić natchnienia u Boga... Nie wiem... nic nie wiem... ale ty wuju?

Ja, uśmiechnął się Sykst... ja? także nie wiem co zrobię.. Kamienica warta dwadzieścia tysięcy talarów. winienem jemu siedm... Żle się sprzeda, zawsze mi coś zostanie. Zbiory ocale... ale waćpannie nie dam ani złamanego szeląga, choćbym miał miliony... tak jest! ani złamanego szeląga...

Jadzia westchnęła tylko... pocałowała go w rękę i tak rozeszli się... Pan Sykst pobiegł do ulubionych swoich rupieci i zauknął się z niemi.—Nastraszyłem ją, rzekł w duchu... musi rada nie rada rączkę wyciągnąć, a major uszczęśliwiony... ha! ha.

Zatarł ręce.

Nazajutrz dzień zszedł spokojnie. Jadzia miała powieki czerwone. Sykst i Dubiszewski usiłował wyczytać z jej twarzy jak tam przeszła ta walka o przeszłość... ale na czołe wypogodzonym spokojnie było i cicho—jak bywa przed burzą.

Major liczył dnie i godziny, a im ów stanowczy moment się zbliżał, tem był niecierpliwszy... trzeba było czekać. Wciąż wypytywał Syksta:

— No, jak ci się zdaje co będzie? co odpowie? Przystanie? odmówi?

— Musi przystać. mruczał Sykst... już ja te rzeczy przygotowałem.

— A ja mam złe przeczucie, mówił major.

Tydzień upływał... dwadzieścia cztery tylko godziny od niego dzieliły, zaświtał ów ranek oczekiwany uroczystego dnia... Sykst wstał do swych starożytności, niemyśląc już o ważności chwili. cały był zatopiony w pieczęciach Piastowskich, gdy Małgorzata jak piorun, trzaskając drzwiami. z krzykiem, z płaczem, z jękiem wpadła do jego pokoju ręce łamiąc.

Sykst porwał się przerażony, sądząc że się pali.

— Co? ogień? gore! ogień! ryknął nie wiedząc za co pochwycić...

— A! nie! nie—ale stało się wielkie... straszne nieszczęście w domu.

Gdy tych wyrażen domawiała, major z różą u surduta zjawił się w progu... na krzyk nadbiegł szybko.

— Co się stało?

— A! nieszczęście! nieszczęście! powtarzała szlochając Małgorzata...

— Ale mówże co...? pięści podnosząc zakrzyczał pan Sykst.

— Panna Jadwiga...

Major niedosłyszawszy padł na krzesło.

— Panna Jadwiga uciekła! dokończyła Małgorzata... niema jej...

— Kiedy i jak?

— Ja nie wiem... ale w domu nie nocowała, a ja na nieszczęście nie wiedziałam nic o tem. Z wiecz-

ra wcześniej odprawiła mnie na górę... Szewc powiada że widział jak o zmroku wychodziła z małym węzełkiem pod ręką; powracającej nie postrzegł... Ale łóżko nietknięte...

— Rozumiem .. to dziś wieczór upływał tydzień, rzekł major gorzko... tak jest.

— To nie może być, krzyknął przerażony Sykst, gdzieżby się schroniła? dokąd? sama jedna... Chyba chwilowo do klasztoru... Może gdzie zasłabła. Potrzeba iść, szukać, biedz... gonić... Kochany majorze widzisz moją rozpacz... Ależ ty głupia niewiasto— odezwał się do Małgorzaty,—jakże mogłaś pozwolić!

— Cóżem ja winna.

— W istocie jeśli kto winien. to ja, przerwał major... na pół gniewnie, pół smutnie.

— A ja dla tej sroczki dom stracę! pójdę z torbami! zawołał z budzącym się naiwnie egoizmem Sykst... o ja nieszczęśliwy.

Dubiszewski ramionami ruszył.

— Cichoż, cicho, stary ślimaku, rzekł, jeszcze cię nikt ze skóry nie wypędma, dajże pokój lamentom... Idźmy, szukajmy... śledźmy...

— Tak! naróbmy hałasu, żeby całe miasto wiedziało i śmiało się z dwóch starych trutniów.

— Słuszna uwaga bardzo słuszna—prędko podchwycił major... i odwrócił się do Małgorzaty. Jużes pewnie popaplała?

— Nie, nie, tylko pytała szewca.

Dubiszewski jak piorun zbiegł po wschodach na dół do izby, w której szewc właśnie coś rozprawił, udał śmiejącego się i poprosił o ogień do cygara.

— Co to? spytał, pewnie gwarzycie już o tej

przygodzie co się ślepej Małgorzacie przywidziało.

— Ho? rzekł szewc, jak to? przywidziało.

— A jużciż! dodał Dubiszewski, panna Jadwiga była na wieczorze u pani Sylwestrowej, bawili się do późna i tam zanocowała.

Szewc spojrział na niego i uwierzył.

— Ależ to głupia ta Małgorzata!!

— To prawda! potwierdził major i pędem wrócił na górę.

— Zakleilem tam usta szewcowi, zawołał, a jeśli mi waćpani więcej komu piśniesz, no, to ja milczeć nauczę... Panna Jadwiga jest u pani Sylwestrowej... idź na górę i wrzawy nie rób... A my, kochany Sykście, pójdziemy... dodał major żywo, trzeba się przejść. Na ucho zaś szepnął mu:

— Ustąpił gdzie na stronę, musimy się naradzić... Tu ludzieby nas podsłuchali. I ja i waćpan ratować się musimy... wypadek ważny, a winowajcą... ja, ja, tylko ja...

Uderzył się mocno w piersi.

— Stary jestem a głupi... ale kto zgrzeszył odpokutować powinien, chodź waćpan...

Kapitan ledwie się zwlókł tak był przybity. poszli naprzód oba do pani Sylwestrowej, która o niczem nie wiedziała. Dubiszewski miał postawę i twarz dziwnie rozdrażnionego ale mocnego postanowienia—człowieka.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł... Stało się z mej przyczyny nieszczęście w domu mego przvjacie-la Syksta... jam je moim uporem zgotowałam... Panna Jadwiga wczoraj uszła z domu... niema jej...

Sylwestrowa zerwała się z kanapy i już potem zapytań miała ich zalać, gdy major jej przerwał.

— Proszę mnie wysłuchać... potrzeba tę rzecz utaić... Panna Jadwiga mogła pojechać do krewnych, pojechała. jużciż niepodobieństwem jest, żebysmy jej nie znaleźli... Są na to sposoby... ale jeszcze się zgłosi i powód ucieczki i moje staranie... przyznam się pani, że mi śmieszność na którą narażony będę, równie nie miła, jak przykrość wyrządzona pannie Jadwidze.. Kombinujmy!! O moich staraniach mało kto wiedział prócz pani... bywałem w tym domu. ale często też i u pani dobrodziejki. Któż obcy zaręczyć może za to, czy miałem na myśli zaslubić pannę Jadwigę... lub pannę Petronellę?

Sylwestrowa nie dobrze zrozumiałwszy, otwarła oczy; kombinacya ta niespodziana jakkolwiek pochlebna dla niej, była nieco obrażającą dla Piotrusi.

Żadnej młodej osobie nie może być miło być zaswataną i zaslubioną z rozpacz, z gniewu i.. kiedy lepiej nie można. Z drugiej strony wydanie Piotrusi, która pod sekretem miała lat dwadzieścia i kilka. chociaż broniła się od metryki jak mogła. wydanie za obywatela, który miał pałac, oranżerye... ananasarnie, bażantarnie, rządce, plenipotentą i pisał się Jasnem Wielmożnym panem baronem Dubiszewskim. nie było do pogardzenia.

— Ależ proszę majora, odezwała się Sylwestrowa, moja córka nie jest znowu tak do pozbycia się... ona może nie ześleć...

— Wszakże to dotąd fikcyja tylko, rzekł major. ja się niby oświadczam, a państwo możecie mi niby

głośno dać harbnza... byle ukryć. żem był powodem natarczywością moją.

— Dalibóg nie rozumiem, przerwała Sylwestrowa, boć ja znowu nie wiem co myśli Piotrusia... a nie mam jej do zbycia... i znowu tego, słowo honbru nie rozumiem, bo zresztą to jest dziewczyna rozsądna, poważna... bardzo stateczna i lubiąca osoby nie płóche, dojrzałe.

Major westchnął ocierając pot z czoła.

— Ja nie nagłę o nic—rzekł, tylko proszę wziąć to na uwagę...

— Więc mogę powiedzieć Piotrusi, spytała Sylwestrowa.

— Owszem, proszę bardzo! żywo dodał Dubiszewski, a my pójdziemy z panem Sykstem śledzić i gonić...

Tu chwilę stał zamyślony major.

— Nie, nie, zawołał — pan Sykst wróci spokojnie do domu. Kto piwa nawarzył. ten je wypije... ja sam pójdę... Zarazby po nim poznano co się święci. ja lepiej to potrafię.

Sylwestrowa odprowadziła ich aż do drzwi. ale niespodziane wieści tak ją dusiły, że musiała się oprzeć aby nie paść, nie miała siły zawołać córki, poczęła dzwonić, a sama padła na kanapę... Zbiegło się co było w domu—ale z kwadrans za łzami, śmiechem i pomieszaniem nic się od niej dopytać nie było podobna.

— Wiesz co się stało? poczęła wreszcie do córki całując ją i ściskając... a! a! majorował jak Boga kocham, umrę... Jadzia uciekła... wczoraj... ten z desperacyi oświadczył się...

— Komu? spytała Piotrusia.

— Ale jakże, ty nie rozumiesz! Nie mogłam znowu przyjąć tak obcesowego oświadczenia. więc ni to ni owo... tymczasem grozę... Sykst jak trup... major cały czerwony... Długo żyć nie będzie, apopleksya, ja ci powiadam, trzeba tylko, żeby zapisy porobił...

Piotrusia jeszcze nic nie rozumiała, a że z natłoku myśli i uczuć pani Sylwestrowa wytłumaczyć się jasno nie umiała nie łatwo przyszło do wyjaśnienia. Nad wszelkie spodziewanie Piotrusia przyjęła tę wiadomość bez wstrętu, owszem bardzo rozsądnie.

— O. że nie odmówię to pewna. i że nie uciekę za to ręczę... szepnęła na ucho matce, ja dawno sobie życzyłam takiego majora i... biorę go, jak mamę Kocham.

Byle tylko się nie cofnął.

— Już ja mu nie dam ze siebie żartować; niech mama nagotuje pierścione!!

Gdy tu tak stanowczo przysposabiają się na majora Dubiszewskiego, on odprowadziwszy Syksta, pobiegł do miasta... Wypadek ten zrobił na nim wielkie wrażenie, czuł zgryzotę w sercu i żałował swojego nporu. Na myśl o tem nieszczęśliwym dziewczęciu uciekającym z domu przed nim, idącym w świat bez opieki, bez grosza, między ludzi. których złe strony major znał od tak dawna, sam sobą się brzydził, nie mógł przebaczyć sobie postępowania swego.

Po żołniersku ale z pewnemi ostrożnościami aby rzeczy nie czynić zbyt głośną, wziął się Dubiszewski do śledzenia zbiegłej. Poszedł do klasztoru, w którym zmarła jej matka, widział się z przełożoną, za-

klął ja na wszystko aby mu wyznała prawdę i przekonał się tylko, że Jadzi tu nie było. Dopytał schronienia Kunusi. której pomocy w ucieczce był pewny, znalazł tu wieść tylko, że się od dni kilku bez wieści wyniosła, a jak mówiono wyjechać miała. Poszedł rozpytywać się o tych, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wyjeżdżali z miasta. ale tu opowiadania były ciemne, poszlaki niepewne, nic z nich wyciągnąć się nie dawało.

Major nabrał tylko przekonania, że Kunusia z Jadzią jeszcze zapewne w mieście gdzieś zaczajone być musiały.

Ale Kraków jakkolwiek nie jest już dziś ową wielką przeszłych wieków stolicą, jak w nim odkryć dwie biedne kobiety, ukryte gdzieś może na strychu, w izdebce ciasnej? Na to potrzeba było czasu, i trafu szczęśliwego... pomocy ludzi, których wtajemniczać się nie godziło... lub władzy do której zanościć skargę byłoby wstydliwem.

Całą trudność zadania tego łatwo obrachował major, ale go ono nie odstraszyło; postanowił poświęcić mu się z całą energią do jakiej był zdolny. Poszedł uspokoić Syksta, który cały dzień nie jedząc siedział osłupiały na łóżku, a sam rozpoczął cichą pracę nurkowania po mieście.

Prawda, że przeciw sercu i miłosierdziu ciężko zgrzeszył pan major, a byłato nie pierwsza już wina jego żywota, na którego dnie jak kamienie w rzece leżały przypomnienia wielu przestępstw tego rodzaju, ale też pokuta była ciężka i poczynawszy od zgryzoty sumienia, które się po długim śnie odezwało, od załotnego despotyzmu Piotrusi, która objęła nad nim

komendę z zapalem dawno w stanie spoczynku zostającego generała. dostającego nagle komendę, a kończąc na próżnych, ciężkich, upokarzających trudach śledzeń pobytu Jadzi, której śladu znaleźć nie było podobna.

— Bądź co bądź, muszę ją przeprosić, a o ile się da, wyrządzoną krzywdę nagrodzić się starać, mówił w duchu major... pożałuje ona kiedyś, widząc Piotrusię szczęśliwą że mnie nie chciała, ale będzie po czasie. Nie chcę innej zemsty nad tę jedną... że będę dobrym i czułym mężem, a nie despotą jakiego się we mnie ulęka.

Chodził tak Dubiszewski na rozwiady, rachując na trafy, gdy jednego razu zamiatającego przed swoją kamienicą, zobaczył wypadkiem Dyngusowicza. Pamięć twarzy miał doskonałą, zatrzymał się, kolczyk w uchu wiarusa też go uderzył.

— Ale służyłeś asan w wojsku? zapytał?...

— A jakże proszę majora... a jakże, odparł nie puszczając z ust fajki, ale salntując ręką Dyngusowicz... Służyło się to i ponoś w pułku pana majora.

— O! o! Dyngulskil kapral... znam cię! a co na stare lata... bruki się zamiata.

— A cóż, majorze, ja zamiatam je, a major zbija... jedno od drugiego nie lepsze... odparł żołnierz, z przeproszeniem za poufałość.

— Chwat z asana! odpowiedź nie zła, rzekł major. No! a jakże życie idzie. Żonaty jesteś?

— Chowaj Boże! zawołał żołnierz, raz w życiu mi się to głupstwo zrobić zachciało, ale się szczęściem nie powiodło. Pono i pann majorowi nie lepiej?

— Oh! oh! wiesz o mnie! rozśmiał się Dubiszewski... patrzajcie! nie sądziłem bym był tak sławny... Ale ty raz bratku się żenić chciałeś, a ja...

— To się wie—odparł Dyngusowicz... a sędzi-
na... a pani Ż, a pani B. a panna M...a...

— Do stu kartaczów!

— A w ostatku i ta panna co od jegomości uciekła.

Dyngusowicz począł się śmiać zatulając usta, major się zachmurzył.

— Słuchajno—żart żartem... gadaj kto ci to popłóti?

— Panie majorze, to cały świat wiel

— Ale to fałsz... panna Jadwiga wyjechała nie uciekła, a ja się nie o nią starałem, tylko o pannę Petronełę, z którą się też i ożenię.

— Mówże to pan komu chcesz, ale nie mnie... odparł Dyngusowicz... ja to lepiej wiem niż inni.

— No zkadże? nalegał Dubiszewski.

— At! co to tam plotki robić... ot wypadkiem...

Major czuł instynktowo że na coś trafił jał się tedy uparciej coraz dopytywać.

— Słuchaj—zawołał, biorąc go do kąta. to prawda żem się o tę panienkę starał... alem jej życzył dobrze i życzę najlepiej, może wiesz co... uszczęśliwiłbyś mnie, gdybyś naprowadził na drogę... Podjąłbym się stryja przebłagać..

Dyngusowicz ruszył ramionami.

— Ale zkadże ja co mam wiedzieć.. ja nie wiem, nie znam... cos się zasłyszalo wypadkiem.

Major spojrzal mu w oczy i łatwo w nich kłam-

stwo dopatrzyl; ale z żołnierza dobyć nic nie mógł. Ukrył w sobie podejrzenia i zmartwienia. dał mu talara na wódkę, od niechcienia niby wypowiadał się przed nim że się żeni na pewno z panną Petronellą i dlatego tylko szuka panny Jadwigi, aby ślady swego nieroztropnego natręctwa zatrzeć...

Po tej rozmowie, w której końcu Dyngusowicz coraz uparciej był milczący, poszedł major do domu, rozmyślając nad swem położeniem... Wieczorem, jak zwykle musiał do pani Sylwestrowej podążyć, choć tam go serce nie ciągnęło tak jak niegdyś do biednej Jadzi. Radzi mu też byli, Piotrusia się stroiła, uśmiechała śpiewała mu, wdzięczyła, ale istotnie ładne. miłe dziewczę nie miało dla starego majora tego nroku co pierwsza. Dla niej nawet nie tak się starał o nadanie sobie pozorów młodości, wąsy mu często odrastały białe, włos spłowił. rękawiczki były nie pierwszej świeżości.

Miała mu to Piotrusia za złe, a smutek na twarzy, niepokój o Jadzię wyrzucała jak zbrodnię.

— Nic się tej dziwaczce nie stanie, mówiła kwaśno, ręczę że ma z sobą swoją Kunnsię i czeka tylko na mój ślub, aby wyjść z kąta... Ale pan się w niej kochałeś?

— Kochałem się, rzekł major z rezygnacją.

— No. a we mnie?

Dubiszewski pocałował ją w rękę.

— Kocham się teraz...

— Dopiero?...

— Tak. im więcej panią widzę...

— Pan jesteś bałamut...

— Byłem pani, ale teraz... statkuję.

— O! pamiętajże! bo ja jestem zazdrosna! dała Piotrusia, i dobrze pana trzymać będę ..

Pani Sylwestrowa dopomagała córce do wesołych żarcików w tym rodzaju. ale one Dubiszewskiemu nie smakowały jakoś.

Najmilej mu było wykraść się z rana do Syksta, posiedzieć z nim godzinę, powzdychać i o Jadzi pomówić... Gdyby to Piotrusia była wiedziała!! Co gorzej, major w nadziei powrotu jej, uprosił wuja o pozwolenie urządzenia na nowo mieszkania na jej przyjęcie .. Wyrzucił z niego stare meble, sprawił nowe, kupił wiedeński fortepian, dywany, zwierciadła, kilka wazonów z saskiej porcelany, parady kłęcznik i mnóstwo fraszek codziennie przynosił w kieszeniach. Sam ustawiał, wieszał, opylał i meblował. W tem staraniu jego było coś tak pocziwego, ojcowskiego, że wiele win odkupywało. Sykst kiwał głową i nie nie mówiąc gryzł się w sercu.

Chodząc, śledząc, major Dubiszewski dowiedział się historii Knnusi i jej wypędzenia z domu i roli jaką ona przy Jadzi odgrywała...

Tak schodziły tygodnie, a pani Sylwestrowa delikatnie, ale coraz częściej poczyniała mówić o oznaczonym dniu ślubu. Dubiszewski zaklinał się, że samby go rad przyspieszyć, ależ przecie należało wystąpić przyzwoicie. trzeba było koni, powozów, liberyi, a wszystkie te przygotowania wymagały czasu... Nie można więc było oznaczyć jeszcze ..

Wlokło się więc, a im bardziej nalegano na Dubiszewskiego, tem on dziwniej się jakoś wycofywał.

— Słuchaj Sykście, rzekł raz wszedłszy do niego rano... to kara Boża ta twoja kuzynka Piotrusia...

Powiem ci szczerze, w impecie chwyciłem się tego ożenienia, żeby ludziom oczy zamydlić, ale dziś...

— Jakto? cóż?

— Co? oto powiem otwarcie... dałbym wiele, żeby się nie żenić. Na co to tać! Jestem stary! pan-na jak fryga, ja jej nie dogonię... weźmie mnie za nos i będzie wodziła... Ale, słowo się dało! leż w kosz kiedyś grzyb...

— A! grzyb! grzyb! powtórzył Sykst, niema ratunku.

— Jeżeli już mam ginąć... niechby się do przyszłego roku odwlokło... Wkładam to na ciebie, wyperswaduj im... Jej pewnie nie pilno... a mnie...

Potarł się po czole i umilkł.

— A chciałeś się żenić z takim impetem? rzekł Sykst powoli.

— No! to prawda! ale z Jadwigą to co innego... spokojne. miłe dziewczátko byłoby mi ciche stworzyło życie, byłbym się dla niej poświęcił, byłbym przy niej odmłodził... a z tą...

— A z tą? spytał Sykst.

— No—a z tą mogę oszaleć! rzekł major po cichu.

— To cię zamkną do czubków!

— Dlatego też. Sykście, duszo moja, postaraj się u pani Sylwestrowej, aby się zaręczynami kontentując, dały mi folgę...

— Widzisz, rzekł Sykst poważnie, to są kobiety z energią... z niemi trudno! nie trzeba było zaczepiać!

— Rób co chcesz, ale przez przyjaźń dla mnie, musisz mnie ratować z tej toni.

Dubiszewski nie mówił otwarcie; bliższe poznanie Piotrusi, niewulczając jej charakterowi trwogą napełniło majora, był w duszy najmocniej przekonany, że ją nieszczęśliwą i siebie uczyni... Rachował na wypadki... i myślał jak się wykręcić. Tyle razy mu się w życiu nie udawało ożenić, że i na ten raz do łaskawej opatrności się odwoływał. Ale przyszła kreska na Matyska...

Tegoż wieczora Sykst zaklęty, aby dopomógł majorowi, poszedł z nim do Sylwestrowej, dom zastał pustką i na górze modliła się tylko Małgorzata, gdy do jej drzwi cicho zapukano. Poszła je otworzyć i zobaczywszy Kunusię starą, położyła palec na ustach.

— Na miłego Boga, a gdyby cię zobaczył!

— Ale nikogo niemal niby to ja nie wiem, odparła Kunusia. patrzałam jak oba poszli do Sylwestrowej... pilno mi było zobaczyć się z tobą, a prawdą a Bogiem zająrzeć też do tego domu! A nie darmo człek w jednym miejscu żyje długo, przyrośnie mu serce do ścian! tęskno potem za niemil Jam tu w tym domu tyle przebyła! tum wychowała moją Jadzię, na wyklam go za swój uważać. Być z niego wygnaną... na starość mnie i jej...

I lzy się z powiek nabrzękłych potoczyły stare-Kunusi... siadła, rozglądając się po swojej dawnej izdebce...

— Cóż u was słyhać? co słyhać? spytała.

— A co ma być? odparła Małgorzata, postaremu wszystko, tylko te majorzysko to powiadam wam, za waszą Jadzię formalnie szaleje...

— A toż się żeni...

Pan Major.

— No, żeni z desperacyi! ale to jeszcze widłami pisano... bo z tego co ja widzę. choć to stary człowiek, ale kocha się strasznie... i ze serca mu to nie łatwo wyjdzie.

— Ej! zaś! przerwała Kunusia—co ci się здаje! pleciesz!

— Plotę! albo to ja oczów nie mam, świata nie znam! mówiła Małgorzata. Moja kochana... Kiedy się człowiek zaleca w oczy pannie... to udawać może, ale straciwszy ją, jeśli po niej płacze i tęskni niepo cieszony, to już chyba nie kłamie.

Kunusia słuchała.

— Jakże ty to wiesz? spytała.

— Co nie mam wiedzieć, kiedy to w oczy bije... mówiła Małgorzata. Niema dnia żeby tu nie przyszedł i godzinami nie siedział w pokoju panienki, a co się nawzdycha, nastęka, namarudzi, to gdyby oszalał. Razem go zastała że płakał, jak chustkę prędko do nosa podniósł, żebym nie postrzegła... Długi czas to pilnował żeby tu w pokojach nic nie ruszono z miejsca, potem mu coś zaświtało w głowie... uprosił jego mości o pozwolenie i dopieroż się rozgospodarował.. tobyście panny pokojów te raz nie poznali. Stary sprzęt wynieść kazał do pokoju na tyle i ustawić wszystko, a tu...

— Cóż takiego? zapytała Kunusia...

— A no, chodź tylko po cichu to ci pokażę...

Weźmiemy lampkę...

Stara piastunka zaciekawiona sama chwyciła za klucze. zeszyły na drugie piętro, a gdy światło roztoczyło się po pokojach... Kunusia w ręce klasnęła z podziwienia.

W istocie salonik i pokój sypialny były wspólnie przyozdobione choć skromnie zarazem. Zwierciadła, dywany, firanki, fortepian nowy, klęcznik czarny, kilka lamp. naczynia na kwiaty, wazon y kwitnące... czyniły je do niepoznania ślicznemi.

— A trzeba żebyś wiedziała... dodała Małgorzata, że te on sam wszystko rękami własnymi ustawia. że te fraszki sam przynosi, niemal co dnia coś dokupi... A te kwiaty, a te szkatułki. już tam nie wiem co... Przyjdzie i godzinę siedzi i medytuje... aż mi go też żal, bo musi jednakże bardzo kochać tę pannę Jadwigę, kiedy już i nadziei nie mając żadnej. takiby rad ją przebłagać.

Kunusia chodziła, dziwowała się, głową kiwała... poszła do sypialnego pokoju, oglądała toalety, szafy, ruszała ramionami i wdychała...

— Co to wszystko pomoże, kiedy jej nie sądzo no mieć go za męża! zawołała... darmo... Możeby i dobrym był dla niej, ale z pierwszego wejrzenia wstręt powzięła... a dziecko się przekonać nie może...

Siedziały tak z pół godziny razem. potem po ci chutku Kunusia pożegnała Małgorzatę, a znając doskonale wschody i bramę ciemną, wyszła omackiem...

Na ulicy była noc czarna, lampy jak to bywa w miastach oświecanych przez spekulantów oszczędzających gazu i kieszeni, paliły się jakby zakatarz one i drzemiące... Mało kto sunął się chodnikiem... a cisza panowała w grodzie nieboszczyków... Kunusia odeszła już była na kilkaset kroków, gdy się jej zdawać poczęło, że ktoś za nią idzie zdaleka... Obróciła się, w istocie w dali włókł się jakiś mężczyzna,

słusznego wzrostu, obwinięty płaszczem... ale szedł zapewne wypadkiem tąż samą drogą...

Jednakże niepokój jakiś opanował staruszkę, czuła że gdyby ją wysledzono, odkrytoby razem schronienie Jadwisi, zamiast więc wziąć się w prawo, umyślnie ruszyła w lewo na wypróbowanie. Odszedłszy kawałek drogi dobry, obejrzała się, mężczyzna ów szedł ciągle tąż samą drogą, staruszka jakoś poczęła być niespokojną, zatrzymała się, sądząc że ją minie. Cień ów znikł gdzieś za węglem kamienicy.

— Ha! pomyślała, to mi się przywidzieć musiało, ale ostrożność nie wadzi.

Poszła tedy powoli nie tam, gdzie iść była powinna, nastawiając ucha i oka... i spostrzegła że to ta sama postać znówu zdala po pod murami za nią się posuwa. Ale strach ma wielkie oczy, byłato też sama czy inna?

Rozmyślała Kunusia co począć, gdy spojrzawszy na oświeconą lampą figurę Zbawiciela, jakich pełno w Krakowie, a widząc przed nią klęczących kilka ubogich kobiet, powiedziała sobie, że najlepiej zrobi, gdy i ona tu pomodlić się przykłęknie, naglądając co się stanie z idącym za nią człowiekiem. Rachowała i na to że wnięszawszy się między ludzi, może potem ujść niepostrzeżona. Wsunęła się między babki zręcznie, potem miejsce zmieniła, chustkę, po której ją było można poznać, zdjęła z głowy i przytuliła się do muru... Owa postać ciemna krążyła jakoś zdaleka, widocznie niepewna co począć i gdzie iść dalej; choć stare oczy Kunnsi, poznały w niej a raczej domyśliły się majora.

— Słuchaj, szepnęła do klęczącej przy sobie

babki dobrze znajomej, weź moją chustkę na głowę, jutro mi ją oddasz n Panny Maryi. i idź do domu... Mnie szpiegnie ktoś... nic ci się złego nie stanie... a trzy złote ci dam...

Uboga się nieco złąkla, ale uspokojona przez Kunusię, dała się namówić i zarzuciwszy chustkę poszła... Cień który się był w dalekim kramie zatrzymał. powlókł się za nią, Kunnsia się ucieszyła niezmiernie ze swej przenikliwości; poczekała chwilkę i wykradła się z bijącym sercem w drugą stronę.

Nazajutrz raniutko ledwie Sykst wstał, wszedł major i rzucił czapkę na jego łóżko.

— Wiesz com miał wczoraj za przygodę? zapytał.

— No? jakąż?

— Ale osobliwszą... Przypominasz sobie żem do pani Sylwestrowej dochodząc pożegnał się z tobą zmiarkowawszy, że przy tej rozmowie prędzej zaszkodzę niż pomogę .. Otóż, wróciłem w stronę twojej kamienicy...

— Po co? spytał Sykst.

— No, bom stary a głupi! odparł major. same mnie tam nogi prowadzą .. Idę, mówił dalej—patrzę i oczom nie wierzę, poznaję... Kogo...

— Jużciż nie Jadwigę? przerwał Sykst.

— Ale starą Kunegundę.

— No! to być nie może.

— Ale tak było... Wśląd tedy za nią. Weszła do twojego domu, przyczałem się, prosto poszła do Małgorzaty, siedziała tam z godzinę, chodziły razem oglądać mieszkanie panny Jadwigi. Mnie tylko niecierpliwość brała, żeby już się to raz skończyło, bom obrachował sobie, że za nią pójdę... no! i odkryję, gdzie jest panna Jadwiga...

-- I odkryłeś.

— Ale ba! diabeł się w to wmięszał... Idę, mówił major smutnie, idę na palcach ostrożnie, stanie ona, stoję przytulony w bramie. aż mnie diabli biorą. Kłękła pod figurą modlić się, wlałem w przymurek za szkapę, czekam, oczy wytrzeszczałem... wstała, idzie, ja za nią... Wlokę się. wlokę i... przywlokłem... do szpitala!

— Jakto do szpitala? spytał Sykst.

— No, wyobraźcie sobie, oczy mnie zmyliły. Inną babę po nocy wziąłem za tę i... omyliłem się.

— Ba! ba! rzekł gospodarz, to nie może być... ona cię w pole wywieść musiała, to kuta baba! Ale zawsze tyle zysku, że Jadzia w mieście...

— O! tego jestem najpewniejszy, odparł major. Nie mogę sobie tylko darować, że tej czarownicy zaraz nie pochwycił, musiałaby mi powiedzieć.

Sykst głową kiwnął..

— Byłbyś ją nmęczyć mógł, a słowaby nie pisenęła; ja ją znam... Tyleby z tego było korzyści. że Jadzia zostawszy sama strachuby się nabrała...

— To prawda. rzekł major, ale jakież jest sposób?

Sposobów we dwóch znaleźli ci panowie z dzieiątek; były wszystkie doskonałe, na nieszczęście potrzebowały też wszystkie współdziału opatrności, która się do tej zawikłanej sprawy mieszać nie chciała... Sykst zdał potem relacyą majorowi z wczorajszych swych starań, i potrafił przekonać Sylwestrową i jej córkę, że małżeństwo uroczyście przyrzeczone, odroczonym być musiało dla tego samego, iż major je chciał wspaniale obchodzić.

Uściskał Dubiszewski gospodarza, i w zapale wdzięczności ofiarował mu kupioną wczoraj dla niego tabakierkę z miniaturą Augusta III-go, która przynajmniej szambelanowi dworu tego króla służyć musiała. Była srebrna, wyłaczana. pięknej roboty, a portret miniaturowany na porcelanie. Sykst tak się rozczulił, że zapłakał.

— Powiedzże ty mnie, zawołał—dla czego z początku taki dla nas, dla mnie i Jadwisi byłeś twardy.

— Bom był i jest twardy dla wszystkich, odpowiedział major, bo mi się serce otworzyło pierwszy raz w życiu dla tego dziewczęcia i to uczucie zrobiło mnie lepszym, pocziwszym... Począłem kochać i starać się dawnym obyczajem, a skończyłem — dodał ze wstydem—ślamazarnie i jak student!

Zakrył sobie oczy major.

— Sam siebie nie poznaję, rzekł—dotąd rzucałem ludźmi nie wiele ich ceniąc, ta kobieta wzbudziła we mnie pierwsza bezinteresownością swoją, szlachetnością charakteru, poszanowaniem małżeństwa... szacunek i uwielbienie... oto cała tajemnica mój Sykście. —

A Pan Bóg chciał, by w chwili kiedy się stałem lepszym. może godniejszym trochę szczęścia—jedyne, jakiego pragnąłem... cofnęło się na wieki odemnie...

Sykst patrzył, słuchał, był z respektem dla majora, ale znać było, że się nad nim litował, jak nad niešťczęśliwym kaleką.

— No, cóż robić! westchnął, trzeba się poddać woli Opatrzności.

— Naturalnie, kiedy inaczej nie można, rzekł kapitan; chodź na śniadanie, utopim frasznek w węgrzynie...

Sykst tak był przejęty darem tabakiery, że choć śniadaniom nie dowierzał, wypróbował, iż mu łatwo się po nich w głowie kręci, nie opierał się tą razą; poszli...

Dubiszewski wszakże zbyt ufał we wszechmocną siłę węgrzyna... pił, czerwienił, a był co raz smutniejszym...

— Wiesz co, zawołał po chwili, z mocnem postanowieniem... bądź co bądź.. ja się nie ożenię nigdy!

— No—a Piotrusia... jakże będzie z Piotrusią. Major się uśmiechnął i zmilezał...

Nigdy się to dawniej nie trafiło majorowi, żeby, wyjąwszy wielkie święta, do kościołów chadzał, teraz stał się jakoś tak nabożnym, że niemal codzień zajrzał do któregośkolwiek z nich. a wiadomo, że ich w Krakowie nie brak na żadnej ulicy. Są zaś takie, na których i po kilka naliczyć można.

Wprawdzie domyślali się złośliwi, że to czynił. szukając tej zgnbionej Kunnsi i przypuszczając, że panna Jadwiga także w którymś z kościołów bywać musi. Może to była i prawda, ale zrazu major chodził bez książki, potem sobie staroświecki ołtarzyk kupił i modlił się.

Otóż nie wiem, czy to sobie u Pana Boga uprosił, czy dziwny traf szczęśliwy w pomoc mu przyszedł, ale się stało, że panna Petronella obudziła nadzwyczajną miłość w odstawnym pułkowniku węgierskim od honwedów... i, ponieważ magnat był młody, przystojny, bardzo majątny, znalazła się w przykrej konieczności szukania powodów do zerwania z panem baronem Dnbiszewskim.

Dawno on już o to do Pana Boga wzdychał, ale gdy się rzeczy tak ukartowały nadspodziewanie, rolę nieszczęśliwego narzeczonego odegrał wybornie. Panna Petronella miała tę pociechę, iż się z nim rozstała z mocnem przekonaniem, że pamięć jej zaniesie do grobu... Znajdowała bowiem bardzo naturalnem,

aby chociaż ona nie kochała, ją miłowano wiekuiście. Nie miałyby była nic przeciwko temu, żeby się major utopił lub w łeb sobie strzelił, ale na te ciężkie czasy, musiała się zadowolnić nienleczoną jego rozpaczą; powód do zerwania znaleziony był nader zręcznie przez samą panię Sylwestrową, która w tęsknocie pana majora, w jego humorze. w usposobieniu całym, nieupatrywała rękojmi dostatecznych przyszłego szczęścia swej córki. Była pewna sprzeczność w zapatrywaniu się na serce majora matki i panny Petronelli, ale niekoniecznie zawsze dzieci dzielą przekonania rodziców.

Gdy po oddaniu zaręczynnego pierścionka Dubiszewski zaprosił Syksta na śniadanie, antykwaryusz uląkł się, aby go nie udusił w przystępie radości. Na śniadaniu był i ów pułkownik węgierski, przysły mąż Panny Petronelli, lecz tej radości jakoś nie dopatrzył. Śniadanie trwało do ósmej wieczorem, jedli nie wiele, ale pili i jedli dobrze, a mimo to pogrzebłszy obu Dubiszewski wyszedł z sesyi, jakby po szklance zimnej wody...

Los poczynął mu widocznie sprzyjać; nazajutrz w kościele odkrył w ciemnym kącie Kunusię. Zaczaił się; stara go postrzegłszy została na sumę. Major wysłuchał summy, po mszach kościół się wypróżnił, babki tylko i dziady krzątały się u drzwi, a Kunusia się modliła... Dobrze z południa nareszcie spróbowała wyjść. ale Dubiszewski znalazł się przy niej tuż.

— Jeżeli pan zechce iść za mną, szepnęła mu staruszka. to ja przysięgam, że do nocy tu zostanę, albo pójdę w świat a panienki nie zdradzę...

— Moja panuo Kunegundo, przecież ja nieprzyjacielem waszym nie jestem, a gonić cię nie będę. słowo daję...

— A, czegoż pan chce? spytała Kunusia niedowierzająco.

— Chcę się z wami rozmówić...

Stara piastunka wlepiała w niego oczy ciekawe...

— Widzicie, rzekł smutnie, żem dosyć dla waszej panny wycierpiał, pokutując za to, żem zrazu był obcesowy. Spójrzcież na mnie, twarz wam powie, że jak na starego, stwardziałego człowieka, miałem bólu dosyć... pocóż mi ma zadawać panna Jadwiga dłuższą pokutę? Niech powróci do domu, daję wam słowo honoru uczciwego człowieka, że natrętnym nie będę. Pozwoli mi widzieć siebie, odwiedzić czasem, będę jej za to wdzięcznym jak za dobrodziejstwo, nie? to przysięgam, że progu kamieńczy nie przestąpię... Nie będę nalegał na pana Syksta, aui ua nią, poddam się losowi mojemu. Kocham ją, to prawda, ale kocham tak, żem gotów wszystko jej poświęcić byle była szczęśliwą... powiedzcie jej to... Słowem starego żołnierza ręczę jeszcze raz, że mówię co myślę i czego postanawiam dotrzymać... Ma do mnie wstręt nieprzezwyyczajony. ulegnę mu, usunę się... ale wiem i czuję, że gdyby bez uprzedzenia chciała... lepiej mnie poznać.

— El! nie mówmy już o tem! przerwała Kunusia.

— Dobrze, nie mówmy, podchwycił major; zgadzam się na wszystko co chcecie, uiech tylko do domu powraca. Macie w niej wiarę, macie nad jej umysłem przewagę, użyjcie ich na dobre... Gdy powróci, powiemy że była u krewnych...

— A Sykst? spytała Kunusia.

— Ja go biorę na siebie, zawołał Dubiszewski. Słowa nie piśnie, przeprosi, będzie pokornym... mam go w ręku... Najmniejszej przykrości, jednego wyrazu ostrzejszego obawiać się nie powinniście...

Major nalegał tak. prosił, głos jego był tak przekonywający i pełen uczucia, że Kunusi łzy stanęły w oczach, pocałowała go w rękę.

— Mój ty miły Boże! szepnęła... gdybym ja była pana przedtem znała... i gdybyś pan miał choć piętnaście lat mniej.

Dubiszewski nśmiechnął się smutnie.

— Szkoda, odparł, że serce nie starzeje wraz z twarzą; wielkie to nieszczęście w piersi kaszlącej nosić młode uczucie... a gdy Pan Bóg chce za winy lat młodych ukarać człowieka, straszniejszej kary nad taką dolę zesłać mu nie może.

To mówiąc major uklonił się Kunusi, która łzę w jego okno postrzegła, odwrócił się szybko i odszedł.

Dwa dni tak upływały bez zmiany. z rana trzeciego Dubiszewski podług swego zwyczaju szedł do Syksta, gdy podniosłszy głowę do góry postrzegł w pokojach panny Jadwigi okna otwarte.. Kilka wazoników z kwiatami wystawiono na powietrze a wychylone ich gałązki piły chciwie słońce poranne... Nie

było w tem nic nadzwyczajnego, przecież majorowi uderzyło serce, a wszedłszy do Syksta po śmiejącej się jego twarzy, domyślił się, że Jadzia... wróciła. Stało się to tak jakoś naturalnie, jakby tylko była wyszła do kościoła... Wróciwszy, milcząc, przyklekła przed wujem i pocałowała go w rękę. Sykst się rozplakał... nie powiedzieli słowa do siebie... i cała ta historia pokryta została milczeniem.

Sykst był tak uszczęśliwiony z obrotu rzeczy, iż usiłował majora zamówić na wieczór na górę, ale ten się oparł stanowczo.

— Słuchaj, rzekł—dość głupstw narobiłem i dosyć za nie odpokutowałem, dobrze jeszcze, że się to tak wszystko skończyło, szczęśliwy jestem, że ją choć zdaleka czasem zobaczę... będę się tem kontentował co możliwe, a na nowe szaleństwa porywać się nie myślę. Ja ją kocham tak, mój drogi Sykscie, że mi starczy wiedzieć, iż jest spokojną i szczęśliwą; radbym, żeby się przynajmniej lękać mnie przestała, żebym w niej obudził zaufanie i dosłużył się przyjaźni.

— No, jak chcesz, odparł Sykst, jak chcesz, ja nie namawiam, ale ci się przecie należy, choć Bóg zapłać za to coś dla jej przyjemności uczynił... tyle darów.

— To dzieciństwo, zawołał major, niema o czem i mówić, byle zapomniała tylko, że mój strachu i bóleści był przyczyną.

Mówili tak z sobą, gdy weszła Kunusia trochę skłopotana i stanęła w progu...

— No, a co? pieniędzy na obiad? spytał Sykst... wszak zgadłem...

— Ei to tam mniejsza, odparła stara, ale muie tu panna przysłała z inną rzeczą. Widząc, że pan major tu jest, kazała prosić na wieczór na herbatę, jeżeli pan pozwoli.

— Kogo? mnie? mnie? krzyknął przyskakując Dubiszewski... Złota panna Kunegundo, powtórzył prawdą to...

Stara się zaśmiała, ramionami ruszając.

— Oh, tylko pan znowu tego nie bierz tak do serca... bo to...

— Bo, rozumiem! verstehe! capisco! je comprends, począł major... bo to tylko prosta litość, miłosierdzie... No! dobrze, ale zawsze ja pannę Jadwigę zobaczę...

— A ty powiedz pannie, przerwał Sykst, że z niej kontent...

Major wcisnąwszy w rękę Kunusi co znalazł w kieszeni, porwał za czapkę i poleciał do domu. Zaniedbane wąsy i zrudziałe włosy dopominały się barwy nowej, a jakkolwiek major przysięgał, że pretensyi żadnej nie miał, że mu z głowy wywietrzały projekta... nie rad był się pokazać zaniedbanym, jeszcze starszym i bardziej odrażającym przed Jadzią.

Dzień szedł mu tak wolno, że się wieczora nie doczekawszy, pośpieszył do Syksta; ledwie zmierzchło, oba razem wchodzili do ślicznie przystrojonego saloniku... Jadzia stała w białej sukience, bledsza niż zwykle, trochę pomieszana, ale dodając sobie odwagi, Major przystępując do niej chwiał się na nogach, a gdy z raz mówić począł, zrozumieć go nie było można...

— Pani, rzekł... jesteś chrześcianką i pobożną, modlisz się codzień o win przebaczenie, choć ich nie

masz, darujże wielkiemu przestępcy wszystkie jego grzechy, których powodem było nierozsądne, ale i żywe i serdeczne... przywiązanie pełne poszanowania. Biję się w piersi... winienem... ałem ucierpiał za to i jeśli uleczonym być można. jestem nim. Nie obawiaj się mnie pani, widzisz przed sobą starego — niestety! zmuszonego na swój wiek pamiętać. przyjaciela. Daję pani słowo, że nim pozostanę, byle byś mnie nie wypędzała i zdała choć jednym z sobą pozwoliła oddychać powietrzem...

— Ale i ja... odpowiedziała Jadwiga, powinnam przeprosić pana majora, że na jego sercu poznać się i ocenić go nie umiała. Jeśli były winy, to wzajemne, przebacz mi pan...

Dubiszewski do łez się prawie rozczulił, padł jej do nóg, chciał je całować, jednak prędko zmiarkowawszy, że tym zapałem może znowu napędzić obawy, wstał i rozpromieniony, wesół, zwrócił rozmowę na rzeczy obojętne...

W pół godziny potem, pani Sylwestrowa, Piotrusia i pułkownik od houwedów, który nie odstępował swej narzeczonej, zwiększyli towarzystwo... Piotrusia weszła rozpromieniona, tryumfująca, a choć ścisła Jadzię, na ucho zaraz o swoim szczęściu. wielkości, bogactwach, szeptać zaczęła... Na palcu jej błyszczał pierścień ze szmaragdem tak olbrzymim, że tylko cenę jego mogła wytłumaczyć przytomność na paluszku kobiety...

— Nic ci nie powiem więcej o sobie, w pół godziny później zawołała Piotrusia. odrecytowawszy cały romans węgierski, ale dodam tylko o czem najmocniej jestem przekonana, że... major jest tobie przezna-

czony... Nauczyłam się go lepiej cenić... to bardzo pocziwy człowiek i jak na galicyanina majątny! Co innego te węgierskie magnackie fortuny... jak mego męża przyszedł, ale też to kraj bogatszy.

Po herbacie grano, śpiewano, a Jadzia zagrała marsz węgierski Liszta pułkownikowi. Natomiast Piotrusia odśpiewała parę mazurków dla majora.

Siedziano dosyć długo, a co wszyscy łącznie postrzegli, to, że ten wieczór pierwszy po powrocie Jadzi, całe był inny i niepodobny do wielu poprzedzających, które w saloniku jej spędzano wprzód. Jadzia była swobodniejszą, weselszą. Major chłodniejszy na pozór ale spokojniejszy widocznie... Nie unikała go gosposia, sama kilka razy przemówiła do niego. uśmiechnęła się nawet, a gdy się rozchodzili, podała mu rączkę dobrowolnie.

— Za jedno się na pana gniewam, rzekła cicho, to za ten salonik i pokój! Panie majorze... wszystko to przesliczne, przepyszne. a dowodzi zacnego, szlachetnego serca twego... ale... wiesz pan jak drogie są człowiekowi sprzęty, na które patrzeć przywykł od dzieciństwa, które są dla niego pamiątkami... tych nic... złoto i jedwabie zastąpić nie mogą... Mówię to tylko dla tego, żebyś pan mi za złe nie wziął, że do darów, które wuj przyjął dla mnie, a które mi są miłe... jutro moje stare mebelki, gdzieśniedzie poprzysuwam... Trochę to będzie może mniej ładnie, ale...

— O! pani, bylebyś tych gratów nie wyrzuciła, czyń co się podoba...

Od tych wypadków, które nową erę życia rozpoczęły w domu pana Syksta, rok upłynął cały. Major Dubiszewski na krótki czas wyjechał był na wieś i powrócił, aby stale osiąść w mieście. Znalazł sobie obok kamienicy Syksta pierwsze piętro, umeblował je i dwa te domy składały niemal jedno gospodarstwo. Dubiszewski stołował się u dawnego towarzysza, a większą część dnia u niego spędzał, a że nie było co robić, pomagał mu ustawiać i porządkować jego muzeum. Powoli nabrał do tego smaku, pochwycił wiadomości i przywiązał się do zbioru, który z metodycznością wojskową postanowił spisać, ustawić, ponumerować, i uczynić przystępnym i użytecznym. Sykst przekonawszy się, że umie szanować zabytki, przyjął tę pomoc wdzięcznem sercem. Nie bez tego, żeby się często nie posprzeczali hałaśliwie, ale spory najzajadlejsze zawsze jakoś major opłacał potem dla świętego pokoju i zgody.

To zbliżenie się do pana Syksta nie tyle było może dziwnem, ile prawdziwie ojcowska, serdeczna przyjaźń majora dla Jadwisi, która go się zupełnie obawiać przestała i jak się zdaje wstręt dawny do niego straciła. Żartowała sobie z majora czasami, płała mu figle, a powoli przyszło do tego, że nim jak piłką rzucała... ale pocziwe dziecię czując swą siłę

nad nim, nie nadużyło jej nigdy... a on! jakże był szczęśliwy, gdy jej najmniejszą potrafił zrobić przyjemność.

Stosunek tych dwojga istot był zaprawdę dziwny, Major krył się z namiętnością szaloną, która w nim cale nie wystygła. Jadzia zdawała się oswajać ze starym przyjacielem i poznawszy go bliżej, mawiała czasem pół żartem do Kunusi:

— Wiesz co, że gdyby major wyjechał i opuścił nas, doprawdyby mi bez niego smutno było i tęskno...

— Moja pannusiu, odparła cicho stara... gdybyś ty mnie posłuchać chciała... jabym ci coś powiedziała...

— Cóż takiego? mów matusiu...

— Ot—nie dziwaczyłabyś, a poszłabyś za niego i koniec... Czasem taki mąż stary lepszy i przywiązanszy od młodego... Przynajmniej ci go lada sroczka nie zbałamuci.

— Ale on o tem już myśleć sam przestał...

— No! no! szepnęła Kunusia, gadaj zdrowa, a ja co wiem to wiem...

Jadzia się zarumieniła...

— Ale moja Kunusiu, kiedyż bo toby było śmiesznie nawet; onby mógł być moim ojcem...

— Moja pannusiu... Kobieta jak kwiat więdnie prędko... a lepiej zawsze mieć u nóg tego, co do śmierci kochać będzie, nie młodszego, co potem prześwistawszy młodość twoją, pójdzie sobie szukać innych...

I nie mówiły więcej nic, ale Jadzia oswajała się doprawdy z myślą, nie już zaślubienia majora,

bo o tem mowy nie było, ale zatrzymania go na zawsze przy domu.

Jakby się były skończyły te sprawy nie wiem, gdyby los też do nich nareszcie się nie mieszał w sposób nieprzyjemny ale skuteczny. Pan Sykst zamoczył się chodząc za stolikiem jakimś bardzo misternie wysadzonym drzewem, który gnił w kącie u żyda, dostał kataru, plaury, paraliżu płucnego i tak niespodzianie skończył żywot, że nawet testamentu zrobić nie miał czasu... Major jak brat najszczerzy. przy łóżku jego do ostatniej dosiedział godziny... Biedny starzec, już prawie mówić nie mógł gdy po spowiedzi u łóża jego uklękła płacząc Jadzia... Sykst ruszył ją sił ostatkiem, wziął jej rękę i złożył ją w dłonie majora... potem padł, oczy przymknął i wkrótce ducha wyzionął...

Major głęboko był wzruszony, rozumiejąc znaczenie tej ostatniej woli Syksta, nie śmiał jednak wcale dopominać się o jej spełnienie... Po pogrzebie potrzeba było myśleć o nowem jakimś urządzeniu się, gdyż tak pozostać nie mogli... Major poszedł o tem pomówić z Jadzią, nie przypuszczając nawet, aby rozkaz wuja spełnić chciała...

Na pierwsze wszakże nieśmiałe bełkotanie jego, Jadzia wyciągnęła doń rękę i szepnęła cicho...

— Majorze, wola wuja jest dla mnie święta. Nie sądź, ażebym posłuszną jej była tylko przez poszanowanie opiekuna... oddawna postanowiłam wytrwać twą i szlachetną przyjaźnią zawdzięczyć zaufaniem zupełnem... Teraz znamy się dobrze... przeżyliśmy wiele, ty moje słabości poznałeś, ja twój zacny

charakter, bądźże mi opiekunem, ojcem, bratem, mężem i rodziną...

Major jak stał tak padł na kolana przed nią, posadzka się zatrzęsła. Kunusia wbiegła sądząc, że sprzęt się jaki obalił... i ona im dała błogosławieństwo pierwsze, jako przybrana matka...

Mimo żałoby, Dubiszewski wymógł, że ślub prywatnie w kapliczce klasztornej odbył się w miesiąc potem.

Państwo młodzi wyjechali zaraz na wieś i jakos mi się już o nich więcej słyszeć nie nie zdarzyło.

Ciekawą powieść o tej dziwnej miłości pana majora, opowiadała mi sama panna Kunegunda. pokazując ów zbiór starożytności nieboszczyka Syksta Mateksa nim jeszcze upakowanym został i przewieziony do dóbr Dubiszewskiego, gdzie bardzo wspaniale ma być umieszczony.

Lepiej też była objaśnioną panna Kunegunda o wypadkach życia Jadzi swej wychowanki, niż o starożytnościach dozorowi jej powierzonych, względem których dopuszczała się tak śmiałych określeń. iż słuchając ich z największem pobłażaniem, przychodziły straszliwe wątpliwości o losach tradycji, podań i legend, których lud jest piastunem. Ludzie, epoki. nazwiska umiała w tak niespodziany łączyć z sobą sposób. zawsze z największą wiarą we własną nieomyślność, iż słuchacz nie wiedział co więcej podziwiać, czy ubóstwo jej pamięci, czy twórczą siłę wyobraźni. Bądź co bądź, żaden przedmiot nie pozostawał bez objaśnienia i historii, a w tem panna Kunegunda przypominała wielu uczonych, którzy nie chcąc się

przyznać do nieświadomości, wolą bąka ustrzelić. niż cofnąć się przed zagadką.

Ukończywszy swe opowiadanie staruszka, zamknęła je słowy, które mogłyby stanowić morał powieści, gdyby ona koniecznie go potrzebowała.

— Mój panie, rzekła, pocziwe uczucie w człowieku zawsze prawie prędzej później się wynagrodzi... ludzie się na niem poznać muszą i Opatrzność ulituje... Passya zła wzbudza tylko obawę i wstręt... Niech im tam Pan Bóg błogosławił...

K O N I E C.

Kraków — Drezno, Sierpień 1866.



Biblioteka Raczyńskich

JK 271



JK0271